AMERYKA-POLSKA



AMERYKAŃSKO-POLSKA IZBA HANDLOWO-PRZEMYSŁOWA W POLSCE

Warszawa, Nowy-Świat 72, Pałac Staszica
Tel. 26-62 — Adres tel.: „WARINDCOM"

Art. 2 statutu:

W celu osiągnięcia zadań, wyszczególnionych w art 1, Izba:

1) zbiera, opracowuje i publikuje materjały statystyczne, dotyczące życia ekonomicznego Polski i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej we wzajemnem ich oddziaływaniu;
2) przeprowadza badania nad wzajemnemi zapotrzebowaniami wytwórczości i zbytu, celem unormowania wzajemnego współdziałania rozwoju wszelkich gałęzi handlu, przemysłu, finansów i transportu;
3) informuje o stanie obustronnych rynków za pośrednictwem wszelkiego rodzaju wydawnictw, odczytów,— urządza wystawy i muzea wzorów;
4) podejmuje starania u władz o przeprowadzenie pożądanych reform i ulepszeń w dziedzinie handlu, finansów i transportu, dla osiągnięcia czego Izba komunikuje się bezpośrednio z władzami, Izbami handlowemi, Komitetami Giełdowymi i innemi odpowiedniemi instytucjami w Polsce i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, oraz prywatnemi organizacjami handlowemi, przemysłowemi i finansowemi;
5) współdziała wszelkiemi sposobami Rządom Polskiemu i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w pracach, dążących do skoordynowania i rozwoju stosunków ekonomicznych między Polską a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej;
6) inicjuje i popiera wszelkiemi sposobami zrzeszenie się kupców i przemysłowców, zakładanie instytucyj handlowych, przemysłowych i kredytowych, któreby swą działalnością przyczyniały się do rozwoju akcji, określonej przez Izbę;
7) wskazuje bezpośrednie i najdogodniejsze źródła zakupu oraz ułatwia w zakresie wzajemnych stosunków polsko-amerykańskich zawiązanie wszelkich umów i tranzakcji handlowych, przemysłowych i finansowych, dokonywanych przez państwowe, komunalne, społeczne i prywatne organizacje, jak również przez osoby prywatne obydwóch krajów.

CZŁONKOWIE RADY:

1. Stanisław Arct.
2. Leigh Ballenberg.
3. A. B. Barber.
4. Eugenjusz Bojemski.
5. Stanisław Budkiewicz.
6. Stanisław Dębczyński.
7. Konstanty Hejmowski.
8. Jerzy Iwanowski.
9. Paul Klopstock.
10. Leopold Kotnowski.
11. Feliks Kowalewski.
12. Karol Kowerski.
13. Michał Kwapiszewski.
14. Aleksander Leszczyński.
15. Franciszek Liszewski.
16. Stanisław Lubomirski.
17. F. W. Morse.
18. Kazimierz Porębski.
19. Jan Raue.
20. Leighton Rogers.
21. Antoni Roman.
22. Zdzisław Słuszkiewicz.
23. Lech Straszewicz.
24. Marceli Szejnman.
25. Stefan Szumański.
26. Wacław Walter.
27. Kazimierz Wejchert.
28. Antoni Wieniawski.
29. Michał Woroniecki.
30. Jan Zagleniczny.

KOMITET WYKONAWCZY:

Stanisław Arct.
Konstanty Hejmowski.
Paul Klopstock.
Feliks Kowalewski.
Leopold Kotnowski Prezes.
F. A. Liszewski.
Frank W. Morse.
Stefan Szumański.
Antoni Wieniawski.

KOMISJA REWIZYJNA:

Helena Bisping. August Iwański.
J. Hebdzyński. Cezary Łoziński.
Maurice Pate.

Członek Honorowy Hugh Gibson. Radca Prawny Adwokat Konstanty Hejmowski.

CZŁONKOWIE WSPIERAJĄCY:

Foreign Trade Supply Corp. Baldwin Locomotive Works.
F. A. Liszewski.

„Lista Członków" — patrz na str. 3-ej okładki.

AMERYKA-POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY LITERACKO-EKONOMICZNY

ROK III | MARZEC 1925 | Nr. 3

V A D E   M E C U M

PREZYDENT Wojciechowski jest skrystalizowaniem idei narodowego ducha polskiego i dlatego też zyskuje sobie w całym świecie uznanie powszechne, jak o tem świadczy artykuł „J a k i m G o w i d z ą A m e r y k a n i e".

IMPERJALIZM Stanów Zjednoczonych jest okrzyczaną w Europie tendencją polityczną Amerykanów. Kto jeszcze wierzy tym często demagogicznym bredniom, zmieni swą opinję po przeczytaniu artykułu „R e k o r d n a d r e k o r d a m i", w którym pojęcie imperjalizmu ustępuje miejsca nowym i trafnym określeniom „a m e r y k a ń s k i e g o r a j u i c z y ś ć c a".

„A WYKONYWAJĄ tę pracę pionjerską w Paranie n i e k a p i t a ł y i m a s z y n y, lecz zahartowane w trudzie i kierowane zaciętą wytrwałością i wolą ręce polskiego osadnika, walczącego z nieznaną przyrodą..." Oto zagadnienie nie tyle już emigracji polskiej, ile gospodarki wewnętrznej Państwa naszego, które nie może dać terenu dla pracy tym bezcennym, „zaciętym wytrwałością i wolą rękom polskiego" robotnika, o czem pisze p. J. J a h o ł k o w s k a.

W NOWELCE „L ą d o w a n i e z p r z y m u s u" dziwnem jest nie to, że młodziutka Amerykanka ochoczo pije koktejle i pali papierosy, że aeroplan szybuje w przestworzu, jak pochodnia płonąca, ląduje jednak nieuszkodzony i zwraca ziemi żywego i zdrowego lotnika. Dziwnem natomiast jest to, że Amerykanin traci wielką fortunę, traci nie w spekulacjach giełdowych, a na drodze życia „nad stan", w europejskiej atmosferze d o l c e f a r n i e n t e. Zaprawdę, Ameryka zaczyna się już degenerować!

POWRACAMY jeszcze raz do zagadnienia „p o t ę g i j a p o ń s k i e j"; autor tego artykułu Dr. J. J a k ó b k i e w i c z usiłuje odnaleźć w Polsce źródła, podobne do japońskich, z których trysnęłaby nowa energja dla stworzenia potęgi polskiej.

PREMJER Rządu polskiego „stoi samotny u boku Prezydenta Rzeczypospolitej — i w tem jego siła i wielkość". Takiej „samotności" nie zna żaden premjer państw współczesnych, żaden z nich nie jest tak oderwany od podłoża partyjnego większości narodowej, ale też żaden z premjerów nie przezwycięża tak uporczywie i z takiem powodzeniem największych trudności państwowych, jak to czyni Premjer polski. W osobie jego Polska znalazła „O p a t r z n o ś c i o w e g o m ę ż a s t a n u".

PSYCHOTECHNIKA, badająca przyrodzone zdolności człowieka w celu najskuteczniejszego wyzyskania jego pracy, brzmi bardzo uczenie i skomplikowanie; sprowadza się ona jednak do bardzo prostych czynności, tak samo zresztą, jak wyższa matematyka do elementarnych działań arytmetycznych. O tych prostych badaniach psychotechnicznych traktuje artykuł „A m e r y k a ń s k i e b a d a n i a k w a l i f i k a c y j p r a c o w n i k ó w b i u r o w y c h".

ETYKA BYZNESOWA — to najistotniejsza moralność publiczna, albowiem byznes „z natury swej jest twórczy i konstrukcyjny, a działalność jego polega na wytwarzaniu, rozpowszechnianiu i zaspokajaniu wszelkich potrzeb człowieka, powiększając przez to bogactwo świata oraz wartość i szczęśliwość życia". Tak określa pojęcie b y z n e s sędzia E d w i n B. P a r k e r w swym artykule „P i ę t n a ś c i o r o p r z y k a z a ń b y z n e s u a m e r y k a ń s k i e g o". Pan Parker znany jest w Polsce z czasów paryskiej Konferencji Pokojowej, jako wyjątkowo czynny członek Komisji Likwidacyjnej, przekazującej Polsce różne materjały wojenne.

GOMPERS — „w ó d z m i l j o n o w y c h r z e s z r o b o t n i c z y c h", na zdrowym gruncie związków zawodowych, przyczynił się do rozwoju Stanów Zjednoczonych nie mniej, niż najwięksi mężowie stanu oraz wielcy byznesmeni amerykańscy.

SZCZEGÓŁOWY spis treści na ostatniej stronicy.

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA POLSKO-AMERYKAŃSKIEGO
I AMERYKAŃSKO-POLSKIEJ IZBY HANDLOWO-PRZEMYSŁOWEJ W POLSCE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 72 (PAŁAC STASZICA)

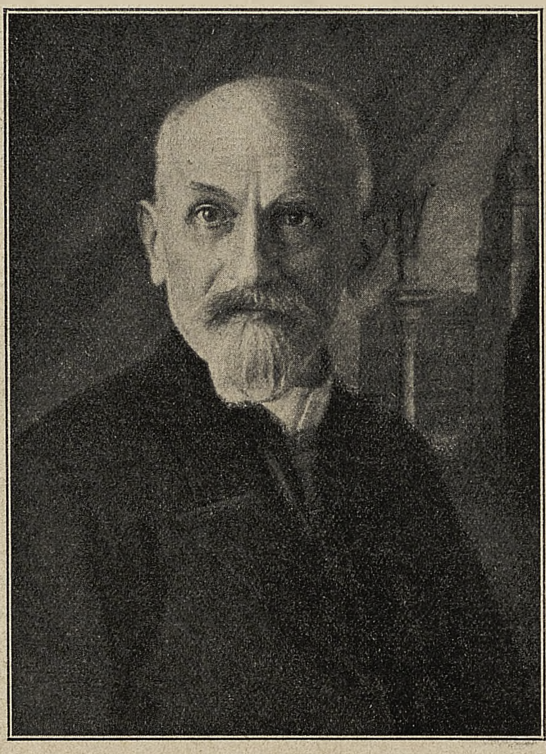
NAKŁADEM ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 35

PREZYDENT WOJCIECHOWSKI

JAKIM GO WIDZĄ AMERYKANIE

Papież Pius XI zanim został wyniesiony na tron papieski przebywał w Polsce w charakterze nuncjusza w czasach dla kraju najtrudniejszych. Papież zachował miłe wspomnienie ze swego pobytu w Polsce, czego dowodem jest zaszczytne obdarzenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Jego żony P. Wojciechowskiej dwiema pieczęciami pamiątkowemi, zdjętemi z wrót Bazyliki Św. Piotra.

Zaszczyt, który przypadł w udziale Prezydentowi Polski z rąk Najwyższego kapłana, spotkał się z powszechnem uznaniem. Ten mąż stanu zasługuje bowiem na ogólny szacunek. Urząd swój dzierży od 2 lat zaledwie, lecz ten krótki czas wystarczył dla nadania Mu cechy niewymuszonej godności, tak że wywiera głębokie wrażenie na osobach, mających sposobność z nim się zetknąć.



W r. 1923 w lecie król i królowa rumuńscy wybrali się z oficjalną wizytą do Warszawy i do Krakowa; z tej okazji odżyła znów na krótko etykieta i świetność Królestwa Polskiego z czasów XVIII w. Wtedy to zdobył sobie Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nie tylko podziw, lecz też i serca gości królewskich. Panuje ogólne mniemanie, że tylko w Nowym Świecie mogą ludzie wznieść się przez noc z nic nieznaczących stanowisk do najwyższych godności państwowych. Jest jednak kwestją, czy właśnie Europa nie daje nam obecnie, częściej niż zachodnia Półkula — przykładów nagłych zmian losu i stanowiska.

Zaledwie dwa lata temu zajmował Prezydent Polski skromne trzypokojowe mieszkanko w jednym z wielkich domów czynszowych w Warszawie. Z braku służącej Prezydent i żona zajmowali się sami gospodarstwem i gotowaniem. Dzisiaj zaś jest Pan Wojciechowski panem okazałego pałacu Belwederskiego, otoczonego wspaniałym parkiem.

Podobnie jak pałac i park łazienkowski, położony jest Belweder przy najpiękniejszej w Warszawie ulicy, przypominającej paryskie Champs Elysees. Sam gmach jest imponującą budowlą i Rzeczpospolita dba o utrzymanie jej świetności. Służba niższego i wyższego stopnia spełnia z ochotą rozkazy Prezydenta i stara się odgadywać Jego życzenia. Często zapełniają się sale pałacowe ludźmi, noszącemi wielkie rodowe, historyczne nazwiska. Panie polskie słyną od najdawniejszych czasów z piękności, wdzięku i owego czaru, któremu trudno się oprzeć. A wśród tego świetnego towarzystwa Prezydent, który kilka lat temu pracował w Londynie jako zecer i drukarz, wysoki, szczupły, siwowłosy, zachowuje się z wyjątkową wrodzoną godnością i prostotą, i jest pozbawiony wszelkiej zarozumiałości i pozy.

Prezydent zawdzięcza swe wyniesienie pracy nad rozwojem ruchu spółdzielczego w Polsce. Na obecne stanowisko wyniosły Go sfery pracujące. Jest głęboko religijny, o wpływie zaś, jaki osiągnął, świadczy choćby następujący fakt: gdy Jego wielki poprzednik, dawny Naczelnik Państwa, Marszałek Piłsudski popadł w zatarg z Ministrem Wojny i wyzwał tegoż na pojedynek, Prezydent oznajmił obu gorącym żołnierzom, że nie życzy sobie dalszego sporu, i to wystarczyło, by wyrzekli się myśli o rozlewie krwi. Tylko ten, kto wie, jak wielką rolę odgrywa pojedynek w życiu narodu polskiego i wogóle w życiu wszystkich prawie narodów kontynentu europejskiego — ten tylko ocenić zdoła, jak rozstrzygającym stał się autorytet Prezydenta, który zdobył sobie nie tylko szacunek, lecz też i przywiązanie wszystkich sfer społeczeństwa.

(Dalszy ciąg p. na str. 62)

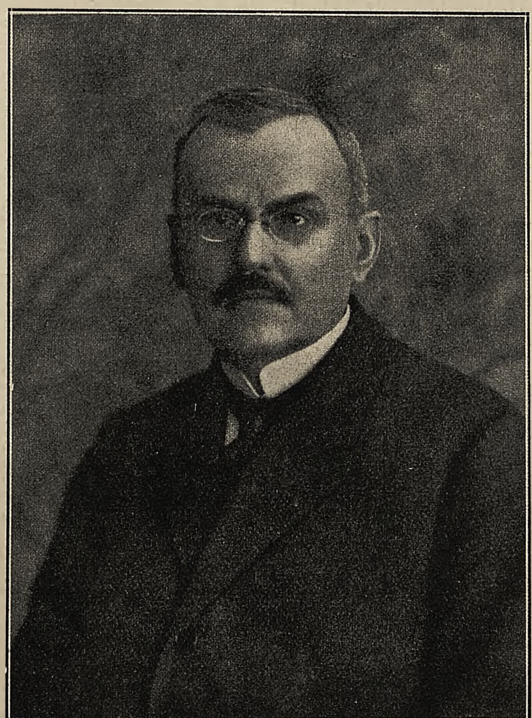
Od Redakcji: W ostatnich tygodniach prasa amerykańska odezwała się o Polsce. Nawet „The N. Y. Times", zachowujący względem nas wielką rezerwę, często zamieszcza pochlebne dla nas wzmianki. Powyższy artykuł, pióra Fr. Cunliffe-Owen'a był opublikowany w niedzielnym numerze z dn. 11 stycznia b. r. Cunliffe-Owen w roku 1921 zajmował się specjalnie pisaniem artykułów nieprzychylnych Polsce. Jest to bardzo znamienny zwrot.

W Ł A D Y S Ł A W G R A B S K I

OPATRZNOŚCIOWY MĄŻ STANU

W kilka tygodni po utrwaleniu złotego znany publicysta amerykański, p. Elbert F. Baldwin, ogłosił w „The Outlook", a następnie i w „Poland", swe wrażenia z wizyty u Prezesa Ministrów i Ministra Skarbu, p. Władysława Grabskiego.

P. Baldwin jest oczywiście stuprocentowym i pełno-krwistym Anglo-Sasem i nic też dziwnego, że w opisie jego wrażeń znajdujemy taki ustęp: „Nie ma on w sobie cech słowiańskich (mowa o naszym Ministrze), przynajmniej w tem znaczeniu, jakeśmy zwykli wyobrażać sobie Słowian, to znaczy ludzi o bardzo akademickim, niepraktycznym, marzycielskim, melancholijnym i pesymistycznym sposobie myślenia i zachowania się. Przeciwnie, Premjer polski jest optymistą. Powiedział mi wręcz: Nawet gdybym nim nie był, jest moim obowiązkiem być optymistą".



Oto najwyższe uznanie w ustach Amerykanina, kwalifikującego w ostatnich czasach wszystkich ludzi ze stanowiska teorji wewnętrznej wyższości nowourojonej rasy nordycznej.

Czy istotnie p. Grabski jest optymistą? Sądzimy, że odpowiedź twierdząca byłaby banalną, przecząca zaś — absurdalną. Pan Grabski w swej żywej i twórczej działalności codziennej przerósł te określenia przeciętnego obywatelskiego poglądu na świat. Premjer jest przedewszystkiem tym, co po angielsku nazywa się „hard-worker" — pracowitym robotnikiem, a następnie intuicyjnie doskonałym i na rozumnej rozwadze wspartym organizatorem.

W splocie tych dwóch darów — w umiejętności pracy osobistej i w zdolności organizowania pracy cudzej, leży tajemnica, powiedzmy to otwarcie, genjuszu p. Grabskiego.

Nie pragniemy bynajmniej robić taniego panegiryku na cześć Premjera. Chcemy, bo to jest naszym obowiązkiem i zarazem najwyższym zaszczytem, stwierdzić fakt, uprzedzić jeno historję, która wyda swój wyrok o Jego działalności obecnej nieskończenie wyższy i doskonalszy, niż my to uczynić potrafimy.

Nie zginamy też bezkrytycznie i bałwochwalczo kolan przed cudem stabilizacji waluty polskiej — to jeden tylko fragment twórczości p. Grabskiego. Zdajemy sobie sprawę, że stabilizacja walutowa w owym okresie czasu wisiała niejako w atmosferze nad całą Europą. Uskutecznił ją nawet p. Sokolnikow w państwie Sowietów prędzej i nie gorzej, niż uczyniły to Niemcy, niż uczynił to p. Grabski.

Dlatego też niema większego błędu w ocenie Jego działalności, jak wyraz przeważającej opinji polskiej, że wielkość p. Grabskiego leży w granicach kompetencyj Ministra Skarbu, nigdy zaś nie wznosi się do wyżyn Prezesa Ministrów. Jest to, naszem zdaniem, błąd zasadniczy i fatalny, który, rzecz prosta, nie tyle godzi w osobę Premjera, ile świadczy o dezorjentacji naszej opinji publicznej.

Pan Grabski jest opatrznościowym mężem stanu dla kraju naszego. Pracując, jak tylko fanatyk pracować może dla dobra swego narodu, zrozumiał, że wzmocnić rozpadający się gmach państwa można jedynie sięgając do jego fundamentów, do materjalnej podstawy, do budżetu. Ten zaś bez trwałej waluty pomyśleć się nie daje. Więc w toku zaciętej i ciężkiej pracy codziennie wyłaniały się tysiące zagadnień, których rozwiązywanie wypływało już jakby samo przez się, albowiem oparte były na zdrowym, dobrze pomyślanym i wykonanym fundamencie.

Jakże ohydnie dźwięczą nasze krakania wronie o wszystkich kryzysach gospodarczych, spowodowanych jakoby przez „politykę Grabskiego". Jakim rajem dla przemysłowców i robotników, dla turystów polskich i polityków wydawały się jeszcze kilka dni temu warunki gospodarcze we Francji i w Czechosłowacji. Te dobre socjalistyczne rządy (bo jakże socjalistyczne rządy mogą być nie dobre, wszak jedynem ich pragnieniem jest dobro

(Dalszy ciąg p. na str. 62)

Lądowanie z przymusu

Opowiadanie lotnicze z nieprawdopodobnemi prawdopodobieństwami. Autorem tych przygód lotniczych jest Amerykanin Austin Parker, ilustratorem Leslie L. Benson, tłumaczką Marja Czaban.



Allan Brent i Willard Weston Clively Towar siedzieli na werandzie klubu w Bombaju, patrząc ponurym wzrokiem na barwną ruchliwość prażonego słońcem miasta. Było to podczas jednego z kwartalnych okresów braku pieniędzy, lecz już wkrótce mieli obaj młodzieńcy podjąć swe zwykłe, dość zresztą znaczne sumy, które przeznaczali na dalszą włóczęgę po świecie.

Pobyt w Bombaju nie był znów tak zły. O tym czasie naprzykład mogli właśnie polować w Trengganu, lecz w tej chwili nie było mowy o polowaniu. Rozporządzając wspólnie sumą, nie przenoszącą w tej chwili trzech funtów, zażywali największej rozkoszy, jaką mógł im chwilowo dać Bombay. Lecz nie brak pieniędzy nastrajał ich tak ponuro. Allan Brent i Will Towar mieli wszędzie wstęp wolny, a ich chwilowy materjalny niedobór uważano nawet za dobry żart. Taka sytuacja zdarzała się już kilkakrotnie w przeciągu ostatnich czterech lat i było rzeczą naturalną, że następny chudy miesiąc zastanie ich wprawdzie podpisujących kwitki, lecz grających polo w Singapore, lub też zabawiających się w chacie, nazwanej przez sułtana Trengganu pałacem.

Lecz to popołudnie oddaliło ich znacznie od formalnego biegu życia.

Allan otrzymał właśnie wiadomość telegraficzną i starał się uświadomić sobie wyraźnie, że nie był już więcej Allanem Brent Junior, tylko poprostu Allanem Brent.

— Strasznie jestem zmartwiony, mój stary — rzekł Will, zwany Psem Morskim. — Przypuszczam, że zechcesz wskoczyć na pierwszy lepszy parowiec do Stanów. Djabelnie szkoda! Nie mogę ci opisać.

Allan skinął głową.

— Tak. Muszę teraz wracać, by zająć się moją małą siostrą. Janka jest młodziutka i pomyśl, sama tam teraz. — Zamilkł. — Powinien był pojechać do domu po skończeniu wojny. Ojciec był tak poczciwy i ja — byłoby dobrze móc go zobaczyć raz jeszcze. Niech djabli wezmą! Żałuję, że nie byłem w domu, że nie pożegnałem się z nim. Lecz nigdy mi do głowy nie przyszło, że coś takiego może się zdarzyć. Jest temu lat—mój Boże, 8 lat już nie byłem w domu.

Usiadł przygnębiony, trapiony myślą o swej niedbałości, o winie względem ojca. Przed jego oczyma zarysował się dom rodzinny, biel starego pałacu, na tle alei wiązów zielonych, ciągnących się hen od przedmieść Sound Brook. I zapragnął wiedzieć, czy jego ojciec wrócił ze swych ustawicznych wędrówek, czy umarł w domu. Telegram Jany wysłany był z Sound Brook. Jak dobrze byłoby, gdyby był w swoim czasie wrócił do domu, gdyby mógł raz jeszcze spacerować z ojcem po jej pięknej posiadłości. I siedząc w gorącym Bombayu, błądził duchem w chłodnym cieniu wiązów, wstępował

na białe stopnie i wchodził do cienistego hall'u z dwoma szerokiemi szeregami schodów, które szły w górę w majestatycznym zakręcie. Widział w głębi wielkie szklane drzwi otwarte naoścież, z których patrząc w dół, spostrzegało się minjaturową przestrzeń szmaragdowego jeziora, kryjącego się wśród ogrodów i gęstwy drzew sosnowych. Przestrzenny, wygodny był jego dom rodzinny, siedziba ciszy i piękna. I nagle odczuł gorące pragnienie ujrzenia go raz jeszcze. On był teraz panem tego domu: pałac Brentów był jego własnością.

— Nie potrafię ci wyrazić, jak smutny jestem, stary przyjacielu.

Głos towarzysza, który usiłował znaleźć słowa na wyrażenie swego wzruszenia, doszedł go jakby z wielkiej odległości i dotknął jego uszu tak lekko, że ledwo zdołały pochwycić sens mowy.

Allan westchnął i zapalił znów papierosa, o którym był zapomniał w swem poprzedniem zamyśleniu.

— Dziwna jest moja rodzina — rzekł wkońcu. — Nigdy nie byliśmy razem. Matka, widzisz, wciąż była na występach.

Urwał a Pies Morski zapytał:

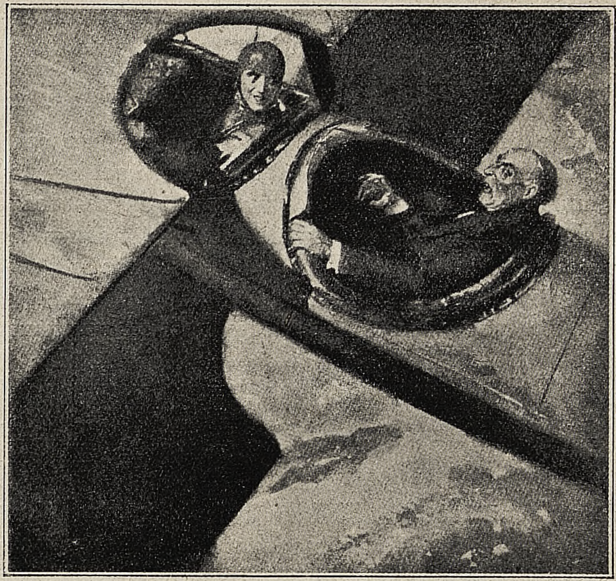
— Nie wiem czy ci opowiadałem, że Jego Łaskawość widział ją podczas jej występów w Londynie. Musiała być niezrównana. Przynajmniej, gdy mu powiedziałem, że jesteś jej synem, zapomniał, zda się, o wszystkiem, nawet o mojej obecności. Musiała być nadzwyczajna.

Przezwany ironicznie Jego Łaskawością był książę of Tallbout, wróg Psa Morskiego, jego brat.

— Tak, była cudowna — odparł Allan. — Była przedziwnie piękna i przytem wielka artystka. Tak jakby całą swą piękność i cały swój talent rozdmuchała w jaśniejący żar. Gdy zaś zgasła, została z Gertrudy Janeth tylko mała garstka białego popiołu. Miałem 9 lat, gdy umarła.

Jego oczy zdawały się odnajdywać obraz w przestrzeni i na chwilę stracił wszelkie poczucie rzeczywistości. Towarzysz jego siedział wgłębiony w swój fotel z założonemi nogami i przypatrywał się w milczeniu przyjacielowi.

Allan Brent był uderzająco przystojny, zwłaszcza wtedy, gdy twarz jego wyrażała jak najgłębsze odczucie. Istotny wyraz jego twarzy zacierał się zwykle w przelotnym ujmującym uśmiechu. Włosy miał ciemne, układające się na głowie gęstemi falami, twarz była szczupła, oczy zaś o metalicznym połysku łagodził nieco ich ciemnoniebieski kolor. Jego rysy wyrażały tak dalece podobieństwo do obojga rodziców, że podobnym był tak samo do minjatury ojca, którą woził ze sobą, jak też i do matki, słynnej Gertrudy Janeth, której piękność i genjusz żyły jeszcze w pamięci ludzi zajmujących się teatrem u schyłku ubiegłego stulecia. Zdarzało się często, że ludzie starsi, którzy



znali ją i kochali, przenosili na jej syna część tego uwielbienia. To zaś wzruszało go głęboko i czyniło szczęśliwym i sięgał wtedy pamięcią do lat, gdy był dzieckiem, gdy był w pobliżu tej istoty ze wszech miar doskonałej, której obecność była olśnieniem. Wszystkie inne znajome kobiety w porównaniu z nią traciły bardzo wiele w jego oczach.

Will, zwany Morskim Psem (nazwa ta przylgnęła do niego jeszcze w szkole, gdy oznajmił swój zamiar wyrzeczenia się dobrodziejstw cywilizacji i wypłynięcia na morze) — był nieco wyższego wzrostu, jasnowłosy i w przeciwieństwie do przyjaciela, wybitnie smukły. Niedawno obchodzili wspólnie w Konstantynopolu rocznicę swych 26-tych urodzin, które, biorąc dokładnie, dzieliły przestrzeń dwóch miesięcy, i uroczystość ta była bezpośrednią przyczyną ich obecnego braku pieniędzy.

Poznali się w ostatnich dniach wojny we francuskim szpitalu, jako jedyni mówiący po angielsku pacjenci. Allan Brent ranny był od kuli, która, naruszywszy okolice żołądka, utkwiła w lewej nodze. Strzał otrzymał, kierując aeroplanem nad linją wrogów, i zanim stracił przytomność, zdołał jeszcze wylądować bezpiecznie. Pies Morski, mając misję poza francuskiemi linjami, otrzymał dwanaście odłamków szrapnelowych. Oszołomiony jeszcze narkozą, ujrzał Pies Morski, obudziwszy się, drugiego młodzieńca obok w drugiem łóżku, który z unoszącego się nad nim zapachu eteru wyrzucał słowa angielskiej komendy.

Zanim wolno im było usiąść na łóżku, skończyła się wojna. Razem potem wyszli na świat i odtąd byli nierozłączni.

— Dziwna jest moja rodzina — powtórzył Allan. — Od czasu śmierci matki nie wiem czy przez jeden miesiąc na przeciąg dwudziestu czterech dom był zamieszkały. Ojciec był stale w podróży. A Janka — moja mała siostra — albo była w szko-

le, albo podróżowała pod opieką guwernantki. Ojciec i ja pisywaliśmy raz na trzy miesiące do Jany; na listy nasze zawsze odpowiadała. W dziwny sposób odbiegliśmy od siebie. Weszło w przyzwyczajenie nie zwracać na siebie wzajemnie uwagi. Naturalnie, gdyby stało się coś złego, rodzina natychmiastby się zjechała. Przypuszczam, że ułożyło się tak wszystko głównie dlatego, żeśmy się wzajemnie nie potrzebowali. Gdyby nie to, z pewnością byłoby inaczej.

Wstał pochmurny i oparł się na poręczy krzesła.

— Czy sądzisz, że teraz będziesz się musiał tam zamarynować — zapytał Pies Morski. — Głowa rodziny to nie byle co.

— Nie, być głową rodziny Brent'ów, to niewiele zajmuje czasu. Będę tylko musiał zarządzić jakoś majątkiem i zabezpieczyć Jankę. To jeszcze przecież dziecko. Biedne maleństwo! Dopóki nie wrócę, nie wie pewnie, co czynić. Zostanę tam miesiąc, przypuszczam. Gdzież to, mówiłeś, będziemy za cztery miesiące. Rio- Uganda?

— Słusznie! — Ta myśl rozbudziła na nowo życie w beztroskim Psie Morskim. Wyprostował nogi i wyciągnął z kieszeni monetę. Orzeł—Rio, reszka—Uganda. Moneta potoczyła się, lśniąc po werandzie. Pochylili się nad nią. — Otóż Uganda, od dziś za cztery miesiące!

W dzień odjazdu Allana Pies Morski był głęboko zamyślony. Wkońcu rzekł:

— Dlaczego właściwie nie miałbyś oddać majątku w dzierżawę, aby móc otrzymywać kwartalnie tę samą sumę, co dotychczas. Wtedy moglibyśmy, jak dotąd, razem podróżować, to dla nas jedyny sposób życia. Żleby było, gdyby człowiek miał zawsze tyle, ile potrzebuje. Cała radość bierze w łeb, jeśli się ma wszystko, czego się pragnie. Zawsze się złościć muszę na Jego Łaskawość. Wciąż zamęcza mnie swym świętym bilansem. Co za sens ma wogóle bilans?

Allan się roześmiał:

— Nie bój się, mój drogi, floty nie będzie na pewno więcej, niż dotychczas. Wiesz, co myślałem ostatniej nocy? Że mając stosy złota, nie moglibyśmy się lepiej bawić jak wtedy, gdy żyjemy na kredyt.

— Słusznie — zgodził się wesoło Pies Morski. — Wypijmy więc zdrowie niedostatku.

Allan przypomniał sobie ten ostatni toast, gdy rozdzielał napiwki na okręcie i liczył, ile zostało mu jeszcze z dwóch tysięcy dolarów, które otrzymał ostatnio w Bombayu. Wystarczy chyba jeszcze na drogę koleją do Sound Brook.

W pociągu osobowym, który wlókł się od stacji do stacji poprzez zieleń okolicy, leżącej między ostatnim przystankiem expressu nowojorskiego, a jego domem, myśl jego pobiegła naprzód, starając się po raz pierwszy stworzyć prawdziwy obraz Janki Brent. Lecz wciąż powracał utrwalony oddawna obraz dziewięcio-letniej dziewczynki. Od tego czacu upłynęło osiem lat i obecnie miała lat siedemnaście, siedemnaście! Jej urodziny były — zdawało mu się — choć nie był pewny — w maju.

— Siedemnaście lat — powtarzał.

Starał się przypomnieć sobie znajome panienki w tym wieku, lecz nie na wiele to się zdało. Janka była wciąż jeszcze tą małą, tą najmłodszą w domu, która ostro wzbraniała się wyruszyć w podróż, dopóki nie dostała osobnego kuferka dla swych lalek i ich garderoby.

Po opuszczeniu pociągu wzrok jego przeleciał szybko po twarzach ludzi, oczekujących przybycia podróżnych. Oczy jego, mijając wiele dziewcząt, z których żadna z pewnością nie była jego siostrą, zatrzymały się wreszcie na młodej osobie, która stała nieco dalej, przypatrując się bacznie poczwórnej fali pasażerów. Chciał krzyknąć: Janka, lecz słowo wyszło z ust zdławionym szeptem. Przypatrywał się jej ze wzruszeniem.

Stała na palcach z wyrazem gorączkowego oczekiwania na twarzy. Jej spódniczka w jasne kraty powiewała w podmuchu chłodnego wiatru i okręcała się w okół jej ślicznej postaci. Lewe ramię uniosła nieco w górę, podtrzymując od wiatru małą opaloną dłonią niebieski sportowy kapelusz.

— Allan!

— Janka!

Rzucił na ziemię pakunki a ona padła mu w ramiona, obejmując go i całując w policzki.

— Janka!—powtarzał.—Boże kochany! Janka!

Śmiała się, lecz usta jej drżały i wilgotne były oczy błękitne, prawie tego samego koloru, co kapelusz. Uściskała go raz jeszcze. Podniósł swoje dwa pakunki, ona zaś chwyciła za jeden z nich, jakby chcąc mu dopomóc.

— Gdzie samochód? — zapytał.

— Złożymy pakunki na omnibusie — odparła. — Już nam je odstawią do domu. My zaś pójdziemy pieszo, pragnę pomówić z tobą. Czy nie zanadto jesteś zmęczony?

— Ależ bynajmniej, lecz...

Obróciła się, by pomówić z woźnicą omnibusu, on zaś przypatrywał się jej tymczasem.

— Jesteś prześliczna, Janko!—wykrzyknął.— Nie mogę ci się napatrzyć.

Wzięła go pod ramię i nagle Allan zapytał:

— Lecz jeśli wolno zauważyć, w jakim celu te jasne stroje?

On sam nosił ciemne ubranie i krawat, choć dopiero dziś rano w kabinie po raz pierwszy włożył żałobę.

— Opowiem ci wszystko — odrzekła spokojnie — lecz wprzód wyjdźmy stąd.

Prowadziła go dobrze znaną drogą, wiodącą do pałacu, przez uliczkę opasującą miasteczko, poprzez pagórek zalesiony sosnami, którędy wychodziło się na drogę główną.



Dziewczyna była milcząca, oczy wbiła w ziemię, a twarz jej wyrażała smutne zamyślenie.

Doszedłszy do lasku, przemówiła z widocznym trudem:

— Ojciec, Allanie, wrócił do domu na dwa dni przed śmiercią. Posłano po mnie do szkoły i byłam z nim cały ten czas. Koń upadł pod nim, dokładnie nie wiem, jak to się stało, gdyż nie wolno mu było mówić wiele. Ten zakaz bolał go bardzo. Jedną rzecz tylko zdołał mi powiedzieć. Prosił, byśmy po jego śmierci nie nosili żałoby, ani jej nie zachowywali. Miał na myśli tańce i inne rozrywki. Kazał mi złożyć obietnicę. Wiedział, że umiera a myśl, że mamy przestrzegać konwencjonalny smutek, nękała go bardziej niż wszystko inne. Również odebrał przyrzeczenie od czcigodnego Mr. Dodge, że nie wygłosi kazania.

— To całkiem w jego stylu—szepnął Allan.— Kochany ojciec. — Głos jego drżał. — Czy więcej nic nie powiedział? Czy nie miał do mnie żalu, żem nie wrócił do domu?

— Nie mam tego wrażenia, Allanie — odrzekła. — Był z ciebie bardzo dumny. Kazał mi tylko wezwać cię, abyś — zamilkła.

— Abym co? — zapytał szybko.

— Abyś się mną zaopiekował.

Spuściła tak szybko głowę, że z twarzy jej mógł tylko dojrzeć usta, układające się do płaczu.

Przycisnął jej ramię do siebie.

— Naturalnie, zaopiekuję się tobą, mała Janko!

Przystanęli i trzymał ją w objęciach dopóki się nie uspokoiła.

— Usiądźmy tu, Allanie! — rzekła. — Chcę z tobą pomówić, zanim dojdziemy do domu.

Usiedli na gęstej pokrywie igieł sosnowych i Janka westchnęła głęboko.

— Proszę cię, Allanie, zapal mi papierosa — rzekła.

— Ty palisz? — zapytał z niedowierzaniem.

— Od czasu do czasu. Proszę cię bardzo.

Jej wzrok wyrażał tak gorącą prośbę, że nie miał siły odmówić, jak początkowo zamierzał. Zapalił dwa papierosy i podał jej jeden z nich. Naogół przyzwyczajony był do kobiet palących, lecz myśl, że czyni to Janka, mała jego siostra, wyprowadzała go z równowagi. Wciąż jeszcze trudno mu było w jedno zespolić wyobrażenie dorosłej kobiety z obrazem małej dziewczynki, którą znał dawniej.

Po chwili milczenia przemówiła:

(Dalszy ciąg p. na str. 54)

Rekord nad rekordami

Amerykański raj i czyściec

Dużo się mówi, dużo się pisze o rekordach amerykańskich. Dziwna, że jakoś ani razu nie słyszałem, ani czytałem o największym, któremu słusznie przystoi miano rekordu nad rekordami. Proszę jeno posłuchać.

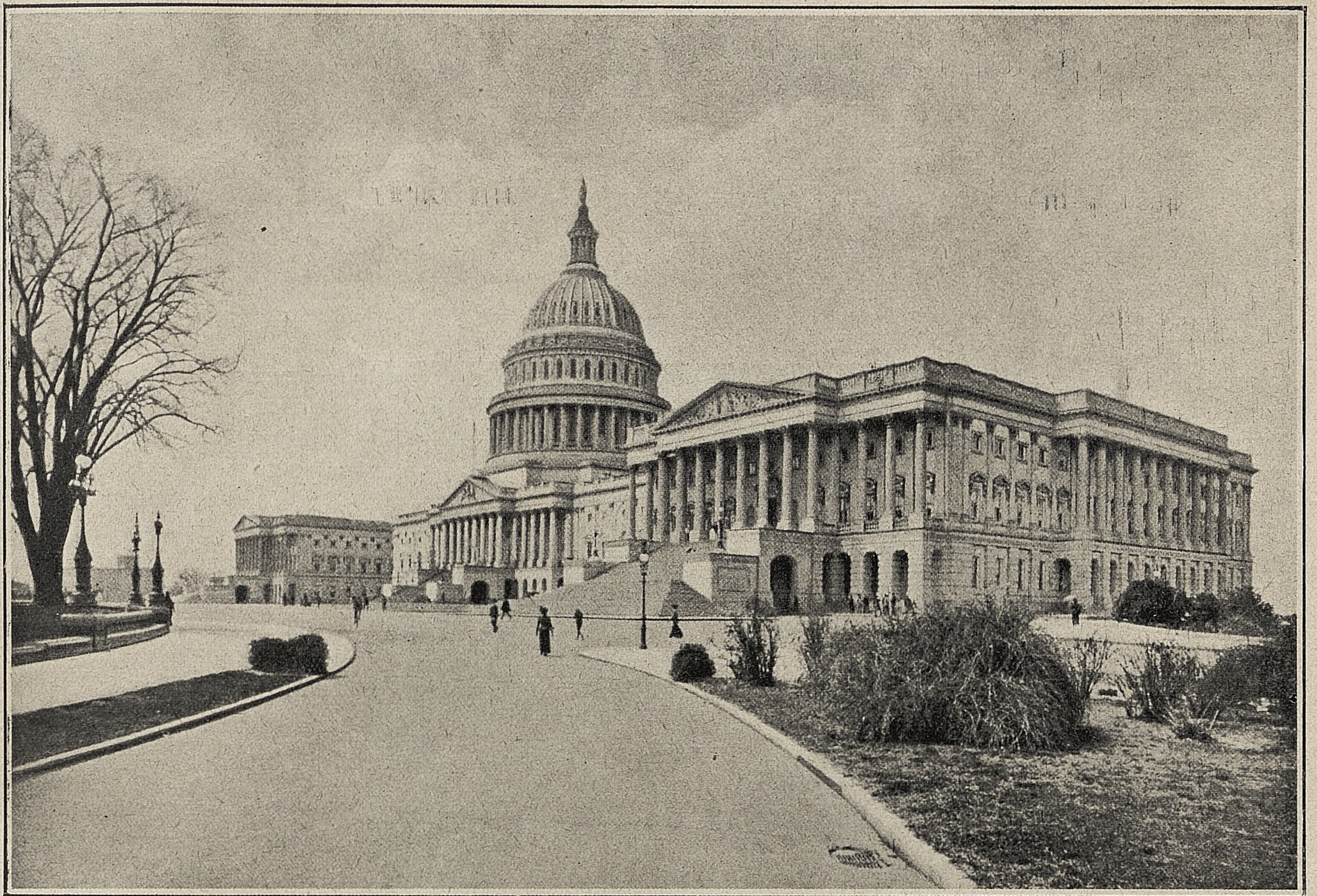
W r. 1776 Stany w słynnej „Deklaracji" ogłosiły niepodległość i rozpoczęły walkę z Anglją. W roku 1781 pierwotnych 13 Stanów utworzyły Federację (płacono wówczas 15.000 dol. papierowych za dolara srebrnego). W r. 1783 Anglja uznała niepodległość Stanów, które w r. 1787 uchwaliły konstytucję, obowiązującą po dziś dzień. Na jej podstawie wybrany na czterolecie prezydentem, Waszyngton objął dnia 4 marca 1789 r. swój urząd. I odtąd, od założenia państwa po dzień dzisiejszy, maszyna rządowa Stanów działa bez przerwy z regularnością chronometru: co czterolecie, każdego 4-go marca, nowo obrany prezydent obejmuje władzę. Nawet wojna secesyjna, stłumiona żelazną ręką Lincolna, nie uczyniła szczerby w tym nieprzerwanym szeregu praworządnych władców. Bez żadnego wstrząsu, bez rewolucyj, buntów, zamachów, bez protestów nawet ani sporów, w największym spokoju i ładzie, co czterolecie, 4-go marca nowy prezydent obejmował władzę i to władzę o tak szerokim zakresie, iż równej mu nie posiada żaden monarcha, żaden prezydent, żaden naczelnik państwa ani rządu w całym świecie. Tak dzieje się w Stanach już przez 34 czterolecia; tak, 4-go marca, prezydent Coolidge rozpocznie dziejów Stanów czterolecie trzydzieste piąte.

Jest to rekord nad rekordami: rekord praworządności, który bodaj czy gdziekolwiek i kiedykolwiek został osiągnięty. A rekord ten olbrzymieje jeszcze w naszych oczach, gdy sobie uprzytomniamy, iż osiągnięty został w kraju młodym, bez wyrobienia i tradycyj politycznych; że ten system rządzenia, nienaśladowany znikąd, stworzony został przez niedawnych osiedleńców, rozproszonych po szerokich obszarach; że zastosowany do małej grupki 13 Stanów, wytrzymał próbę dziejową tak chlubnie, choć te Stany rozrosły się tymczasem w potężne mocarstwo, liczące 110 miljonów obywateli, oparte o dwa oceany, posiadłościami swemi sięgające i krainy wieczystych lodów, i wyprażonych w słońcu stref tropikalnych. A niebywały ten rekord praworządności uwydatnia jeszcze sąsiedztwo o miedzę krajów, osiągających wciąż nowe rekordy anarchji. Krajów środkowej i południowej Ameryki, w których rozwydrzone pretendenty wodzą się wciąż za łby, nie dbając o żadne ustawy zasadnicze, podstępem, spiskiem, rokoszem, samochwalstwem, demagogją i bandytyzmem dobijają się władzy, by wkrótce albo paść od kul najmitów innego „zbawcy", albo uciec z kuframi zrabowanych milreisów czy pesetów.

Krasiński wołał niegdyś do Polski: „Dziś wschodni ląd dwóch walką wiar: ty i car!" Wschodni ląd wciąż jeszcze, choć upadł carat, jest walką dwóch wiar. Ale i na zachodnim lądzie, amerykańskim, zarysowuje się coraz wyraźniej podobna walka dwóch wiar, tej, w której jest „życia prąd" i tej, w której „życia trąd": walka prawa i bezładu, która, wcześniej czy później, domagać się będzie rozstrzygnięcia. A że doktryna Monroe jest jeszcze młoda i krzepka, choć liczy sobie 101 wiosen, więc walka to będzie ściśle amerykańska, z wykluczeniem innych części świata. Jaką będzie ta walka? jakie jej cele? jaki przebieg i wynik? — o tem wypowiedzieć można pewne przewidywania, nie będąc zupełnie miotanym duchem proroczym. Zaczątki bowiem tej walki zarysowały się już wyraźnie na widnokręgu drugiej półkuli.

Unja amerykańska składa się z 48 autonomicznych Stanów, związanych w Federację. To, w pojęciu amerykańskiem, jest raj na tym padole płaczu. By być dopuszczonym do raju, trzeba dwu rzeczy: mieć potemu wolną i nieprzymuszoną wolę i być przyjętym do Związku. A Związek jest wybredny. Z sąsiadów jedna Kanada znalazłaby łaskę w jego oczach, jako Stan 49-ty. Poza Stanami są po świecie rozrzucone rozmaite państwa, któremi Ameryka nie lubi się zajmować, a z któremi sympatyzuje zdaleka, o ile są demokratyczne i praworządne. O ile takiemi nie są, stanowią pogardy godne piekło ziemskie, narówni z krajami dzikiemi i czarno, żółto i czerwono-skóremi. Ale prócz raju i piekła jest jeszcze na ziemi czyściec: instytucja wynalazku amerykańskiego, dotąd, jak mniemam, jeszcze przez uczonych w prawie międzynarodowem nieskatalogowana.

Czyściec powstał czasu wojny hszpańsko-amerykańskiej. Zaczęło się od aneksji wysp Hawai, o którą tamtejszy rząd dopraszał się napróżno za rządów Clevelanda. Teraz objęto je w posiadanie, urządzono na nich stacje węglowe dla floty amerykańskiej, wprowadzono konstytucję amerykańską z dwiema izbami i gubernatorem, zupełnie jak w Illinois lub Michigan, i zostawiono je w spokoju — w czyśćcu. Nie są niepodległe, a nie należą też do Stanów. Do raju będą mogły się dostać, gdy dojrzeją do samodzielności, co nierychło nastąpi,



Kapitol w Waszyngtonie. — Budowa tego okazałego gmachu rozpoczęła się od założenia kamienia węgielnego pod północne jego skrzydło przez prezydenta Washingtona w r. 1793. Fundament pod centralną część gmachu był założony w roku 1818. Budowa zakończona była w r. 1865. Na kopule Kapitolu wznosi się odlew z bronzu „Posąg Wolności" roboty Crowforda. W gmachu Kapitolu mieszczą się: Senat, sala 113 stóp długości na 80 st. szerokości; zasiada 96 senatorów. Izba Deputowanych, sala 139 st. dług. na 93 st. szer.; zasiada 435 posłów (na 110.000.000 ludności). Oprócz tych dwu Izb mieści się w Kapitolu także Izba Sądu Najwyższego.

gdyż ich ludność składa się z dzikusów czerwonoskórych, z żółtych przybyszów z Chin i Japonji, ze smagłych Portugalczyków i nikłej garstki Jankesów. Potem przyszło Portorico, odebrane zwyciężonej Hiszpanji, któremu dano podobne urządzenia, ale że jego ludność, mówiąca po hiszpańsku, liczy $30^{0}/_{0}$ murzynów a $83^{0}/_{0}$ analfabetów, zostawiono Portorico w czyśćcu. Na jeszcze niższym jego stopniu znalazły się Filipiny, nabyte od Hiszpanji za 20 milj. dolarów, a które trzeba było przez trzy lata militarnie pouczać, że pod flagą gwiaździstą nie wolno tak buńczucznie brykać, jak za dobrych czasów hiszpańskich. Ośmiomiljonowa ich ludność składa się z dzikich, półdzikich i ćwierćdzikich: ci ostatni przyjęli od Hiszpanów wiarę, jaśniejszą nieco cerę (wraz z lekką domieszką krwi) i obyczaje zamaszysto nieobliczalne. I tam wprowadzono dwie izby, lecz z niewielkim udziałem w nich tubylców, urządzono szkoły, do których uczęszcza już pół miljona dzieci, nawet szkołę medyczną, jako początek uniwersytetu, co wszystko razem kosztowało tak liczne miljony, że w Stanach nie milkną głosy, domagające się, by się Filipinów wyrzec i zostawić je swemu losowi. Narazie pozostają one nadal w czyśćcu.

Najkrócej, bo ledwie trzy lata, pozostawała w czyśćcu Kuba, by się z niego wydostać nie do amerykańskiego raju, lecz na wolność w amerykańskim sosie. Zawładnąwszy wyspą podczas wojny, Jankesi kazali najpierw Kubańczykom wymieść śmieci, nieruszane od czasów Kolumba, a piętrzące się coraz wyżej, potem wytępili zarazy, zalewając naftą bagna i bajury, wytępili żelazną ręką bandytyzm, niekarność i niesforność, a gdy ład zapanował, rzekli do Kubańczyków: „Teraz wybierzcie sobie rząd własny, byśmy mogli opuścić wyspę, z którą pragniemy zawrzeć traktat, jako z państwem niepodległem". A w traktacie tym, prócz prawa dzierżawy dwu portów na stacje węglowe i obowiązku Kuby utrzymania urządzeń sanitarnych w stanie niedopuszczającym wznowienia epidemij, Stany zastrzegły sobie prawo interwencji w dwu wypadkach: gdyby jakieś mocarstwo zagrażało jej niepodległości i gdyby

(Dalszy ciąg p. na str. 64)

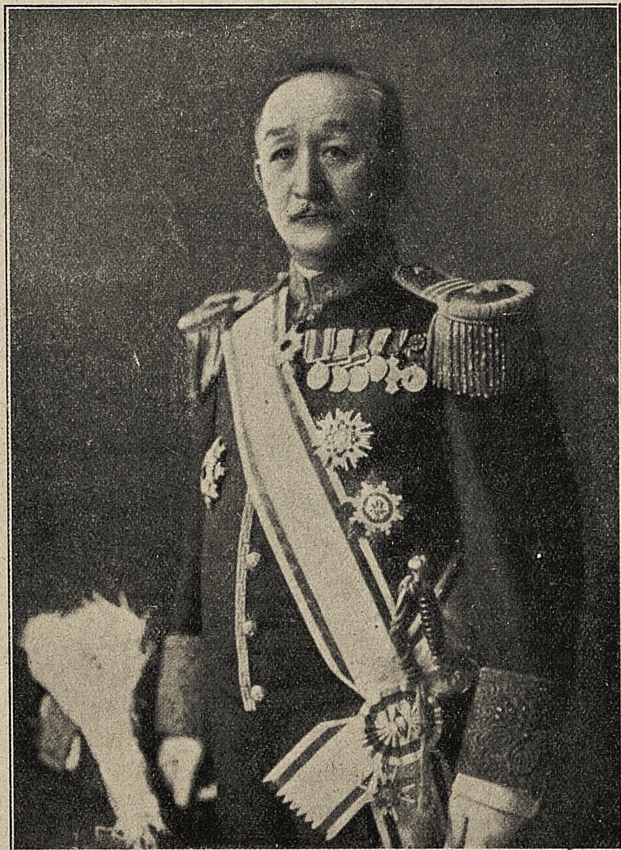
U źródeł potęgi japońskiej

W stosowaniu metod pracy amerykańskiej, jak to zrobiła Japonja, tkwi źródło potęgi Polski

(zakończenie)

Oczywiście, że w sprawach, omawianych w pierwszej części niniejszego referatu, kompletnej analogji między Japonją a Polską przeprowadzić się nie da. Sytuacja nasza bez porównania jest łatwiejszą, bo z jednej strony chociaż nie posiadamy tak starej jak Japonja kultury narodowej, to jednakże z drugiej strony, należąc do tej samej rodziny Narodów Europejskich, od których naukę i tradycję życia naszego czerpiemy, mamy przez to wielkie ułatwienia w pracy adaptacyjnej. Do utraty Niepodległości żyliśmy jednem z Europą życiem, mieliśmy kulturalną łączność z Narodami Zachodu.

Oddaleni zostaliśmy od życia Europy właściwie półtorawiekową niewolą, która dla Polski była pod wielu względami jarzmem takiem, jakiem niegdyś było jarzmo tatarskie dla Rosji, wstrzymujące jej kulturalny rozwój o 3 stulecia. Ponadto w czasie tej niewoli znaczna ilość naszej ludności, chroniąc się od spowodowanej zaborcami nędzy lub od prześladowań, wyemigrowała zagranicę, powodując tem olbrzymi upust krwi z organizmu narodowego. Dzisiaj mamy ludności polskiej na obczyźnie przeszło 6 miljonów (według niektórych obliczeń cyfra ta sięga 8 miljonów). Rozproszoną na obczyźnie ludność polską mamy literalnie na całym globie: nawet w Australji, Chili, Kongo, Batawji, Chinach, Kanadzie, na Hawajach i t. d., wszędzie można spotkać Polaka, czy błąkającego się w tułaczce przymusowego lub dobrowolnego „wygnania z ziemi swych ojców", czy też osiadłego na stałe i zahaczonego o miejscowe społeczeństwo, czy to związkiem małżeńskim, czy jakąś pracą na roli lub w przemyśle, czy nawet już nieruchomością. W wielu państwach mamy emigrację zwartą w zorganizowane kolonje polskie, z których emigracja w Stanach Zjednoczonych Ameryki P. jest najliczniejszą i najlepiej zorganizowaną.



Baron Mitsui Hachiroemon—głowa starożytnego rodu japońskiego Mitsui, biorącego początek w wieku szóstym. Obecnie nazwisko to jest więcej popularne w Japonji, niż Rockefeller lub Carnegie w Ameryce, Rothschild w Europie. Działalność jego na polu modernizowania przemysłu, finansów, handlu wewnętrznego i zewnętrznego przyczyniła się w znacznej mierze do wzrostu obecnoj potęgi Japonji, a zwłaszcza teraz podczas odbudowy po trzęsieniu ziemi. Wśród starej arystokracji polskiej nie znajdziemy ani jednego nazwiska, któreby choć w przybliżeniu przypominało działalność rodu Mitsui na polu gospodarczem kraju.

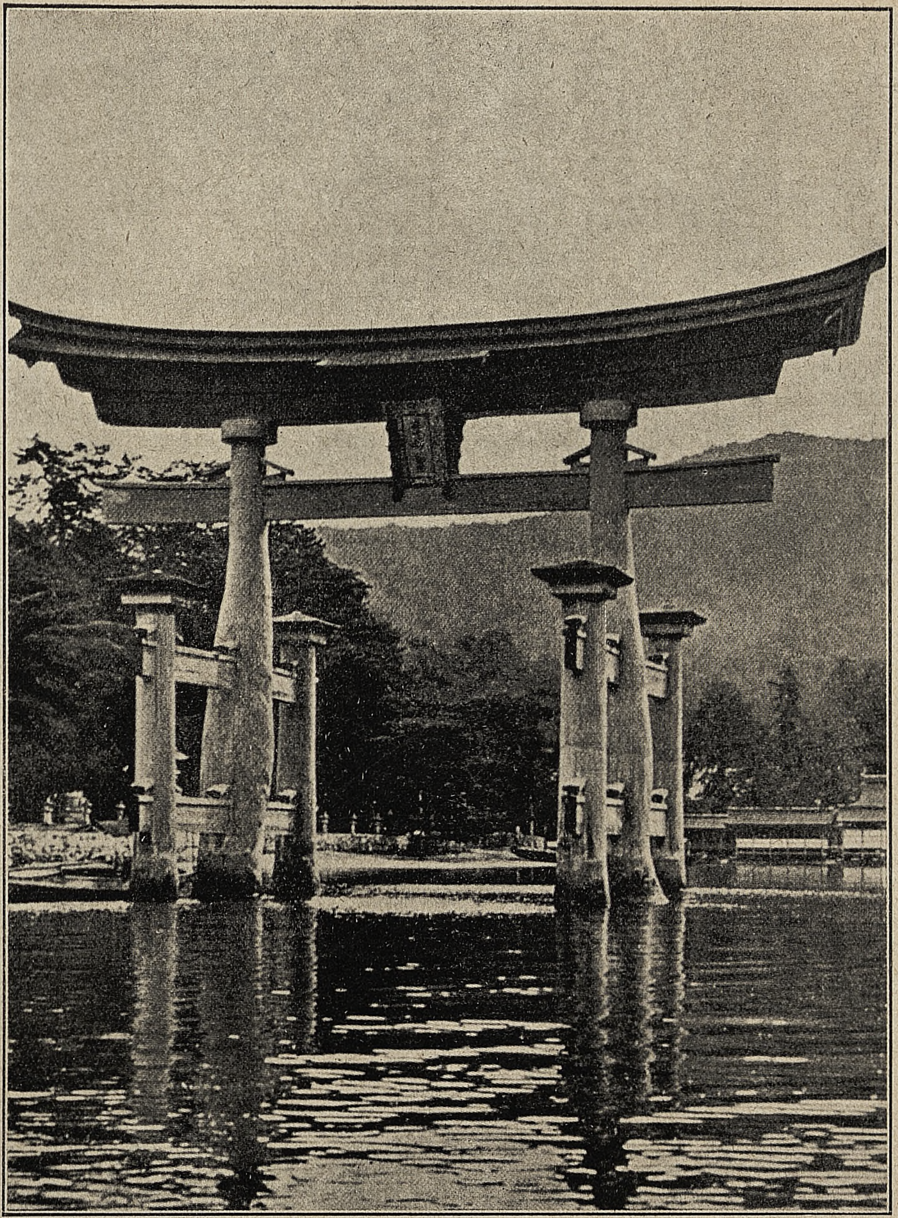
Tak olbrzymią stratę swej rdzennej ludności Polska powinna choć w części sobie powetować.

Celem akcji, podjętej przez „Naukową Organizację Pracy", jest podniesienie ogólnego dobrobytu w Państwie do poziomu zachodnio - europejskiego i amerykańskiego, drogą podniesienia wydajności wszelkiej pracy w naszym narodzie: pracy przemysłowej, handlowej, pracy biurowej, pracy aparatu rządowego, samorządowego, instytucyj społecznych i t. d. Tą właśnie drogą możemy obecnie wyrównać tę istotnie pod wielu względami wielką różnicę, jaką sprawiło półtorawiekowe „jarzmo niewoli", które pozostawiło życie całego Narodu daleko wtyle od życia innych kulturalnych państw. Powinniśmy wyrównać różnicę jak najprędzej, gdyż od tego zależy bodaj nawet sam byt odrodzonego Państwa. Wy-

równanie powinno objąć niemal wszystkie dziedziny życia organizmu państwowego i społecznego, przedewszystkiem jednak — dziedzinę życia ekonomicznego, w której jesteśmy tak wybitnie zacofani, a od której w dzisiejszych czasach uzależnione jest wszystko — niemal całe życie narodu.

Mamy w Polsce surowce, mamy gęsto zaludniony kraj, mamy nawet pozorny nadmiar robotnika, mamy sporo warsztatów pracy... w stanie pewnego bezwładu trzyma nasz naród bardzo niską wydajność pracy wogóle i brak organizacji o takiej skali, która dzisiaj wszechwładnie panuje w Europie i w Ameryce. Zagadnienia więc, poruszane w omawianej na zjeździe dziedzinie, sprowadzają się do zagadnienia wydajności samej pracy i do zagadnienia jej organizacji. Polacy, przodując wielu narodom w innych dziedzinach, w zakresie pracy ekonomicznej nie są w stanie dorównać ani Ameryce, ani Europie, i to właśnie powoduje największe komplikacje wszelkich ekonomicznych kryzysów w kraju, bezrobocia etc.

Metody naukowej organizacji pracy, które doprowadziły w Ameryce wydajność pracy ludzkiej do poziomu, jak dotąd, najwyższego, mogą doprowadzić i wydajność polskiej pracy w Polsce do poziomu należytego. Wydajność polskiej pracy w Polsce może być doprowadzona do tego poziomu dlatego, że wydajność polskiej pracy w Ameryce często jest na jednakowym z wydajnością pracy amerykańskiej poziomie, czasem nawet przewyższa go, zawdzięczając bogatszemu zasobowi sił fizycznych, a niekiedy i specjalnym uzdolnieniom, jakie organizm polski posiada.



Starożytna budowla Torii, służąca w niezliczonych reprodukcjach jako symbol Japonji, stoi na wybrzeżu morskiem u wejścia do świątyni Miyajima.

Powstaje więc przed społeczeństwem wielkie zadanie właściwej organizacji umiejętnego zmobilizowania wszystkich sił narodu dla dźwignięcia omawianej sprawy. W podjętej akcji mamy możność i powinniśmy m. in. wziąć pod uwagę i tę olbrzymią ilość polskiej ludności za granicą — te zgórą 6 miljonów, pozostających dzisiaj za kordonem i rozproszonych na dwóch półkulach. Praca tej ludności dzisiaj idzie przeważnie, jeśli nie wyłącznie, na korzyść obcych organizmów państwowych, przysparzając dla nich nieraz znaczne bogactwa.

Czy praca ich skieruje się teraz w możliwym zakresie na korzyść własnej Rzeczypospolitej, zależy od tego, czy potrafią odnośne czynniki na to wpłynąć. Pomijamy tu narazie zakres ekonomicznego współdziałania naszej emigracji z krajem. Widzieliśmy kilka lat temu, jak Emigracja może nieść Polsce znaczną pomoc materjalną, widzieliśmy także jak niewłaściwy stosunek kraju do Emigracji potrafił odepchnąć od Polski jej pomoc, co wynikło jedynie z powodu pominięcia zorganizowania wzajemnych między sobą stosunków Polski i Wychodztwa Polskiego. Zatrzymamy się natomiast na dziedzinie współdziałania, które nara-



Dworzec kolejowy „Sakuragicha" w Jokohamie po trzęsieniu ziemi.

Istnieje również wśród Wychodztwa Amerykańskiego zrodzone na Emigracji pokolenie, które zaczęło tworzyć, że tak określimy, świeżą inteligencję—osoby z wyższem wykształceniem, wśród których również można znaleźć znaczną ilość sił fachowych zwłaszcza w zakresie nauk inżynieryjnych. *)

Polacy amerykańscy posiadają właśnie te cechy jędrności życiowej, kolektywizmu w czynie i wyrobionej amerykańskiej praktyczności, które dzisiaj tak bardzo są potrzebne naszemu społeczeństwu. Oni tam w Ameryce północnej w atmosferze świetnie zorganizowanego społeczeństwa amerykańskiego zdobywają wprawę nie tylko w zakresie specjalnych fachów przemysłowych lub handlowych, w których pracują, lecz również i w zakresie zorganizowanego samego życia społecznego.

Tempo tego procesu asymilacji gospodarczej, czyli amerykanizacji Polaków, jest tak wzmożone, że szeregi wybitnych fachowców we wszyst-

*) Fachowe siły naszego inteligentnego Wychodztwa w innych krajach same stopniowo nadciągają do Polski, jednak w zakresie o wiele mniejszym niżliby to mogło mieć miejsce.

zie określimy ogólnikową nazwą współdziałania organizacyjnego.

Najliczniejsza i zarazem najlepiej zorganizowana emigracja nasza w Ameryce ma tę jednostronność, że należy prawie wyłącznie do opuszczających dotąd Polskę społecznych warstw najmniej kulturalnych, raczej najniekulturalniejszych, a które w Ameryce zostały w zakresie materjalnym i poniekąd społecznym znacznie ucywilizowane. Pozorna słabość tej jednostronności naszego Wychodztwa ma swoją siłę i swoje wielkie walory. Mimo naogół bardzo niskiego poziomu kulturalnego Wychodztwa wśród tej części Emigracji, która znacznie się ucywilizowała, można niezawodnie znaleźć, jeśli nie tysiące, więc setki wyrobionych w duchu amerykańskim fachowców, zwłaszcza w różnych dziedzinach pracy technicznej, fachowców, którzy mogą być pożytecznymi dla bardzo obszernych warstw naszego społeczeństwa w Polsce, dla warstw dotąd najmniej kształconych i przez to samo potrzebujących w Polsce najwięcej ucywilizowania tak w pracy, jak i w życiu wogóle.

Podniesienie ich poziomu kulturalnego jest zadaniem bodaj najtrudniejszem, dla którego wykorzystanie wspomnianych rodaków zaoceańskich może wyświadczyć pomoc skuteczną.



Ponieważ trzęsienie ziemi zrujnowało w Tokjo około 200 szkół, więc w kilkanaście dni po katastrofie rozpoczęto nauki szkolne na otwartem powietrzu niemal na gruzach dawnych szkół.

kich dziedzinach życia, rosną i powiększają się niemal z dnia na dzień *)

O ile więc polska inteligencja potrafi w analogiczny sposób umiejętnie oddać swoją wiedzę na usługi pracy szerokich mas w Polsce, Polacy amerykańscy i Polacy wykształceni w Ameryce najlepiej potrafią być użytecznymi i w różnej pracy fachowej, i w reorganizowaniu tak samego życia społecznego, jak i codziennego, obyczajowego: w zespoleniu w kooperacyjne zrzeszenia najszerszych warstw naszego ludu wieśniaczego i robotniczego potrafią skutecznie dopomóc, rozproszone dzisiaj po skrzyniach i pierzynach oszczędności zespolić w kapitały zbiorowe, a marnowaną dzisiaj bezużytecznie energję miljonów jednostek skondensować w energję zbiorową. Przecie największe co do liczby członków polskie organizacje społeczne istnieją dotąd nie w kraju, lecz na emigracji, za konkretny przykład czego może służyć Związek Narodowy Polski" w Chicago, którego liczba członków niebawem dosięgnie 200.000. W zakresie, naprzykład, opieki społecznej nasi rodacy za Oceanem potrafili stworzyć na obczyźnie tak wielkie i doniosłe społeczne placówki, jakich Polska dotąd jeszcze nie posiada i które dla nas w Polsce mogą w niektórych poszczególnych wypadkach służyć nawet za wzór godny naśladowania.



Jedna z głównych ulic Tokio „Ginza" w kilka tygodni po trzęsieniu ziemi. W okresie czasu jednego roku w mieście nie pozostało śladów katastrofy i odbudowa posuwa się w szybkiem tempie.



Nawet najbiedniejsi wieśniacy, których nie stać na najtańszą wannę drewnianą, używają kąpieli w zwyczajnych beczkach, nagrzewając wodę prymitywnym „przydatkiem".

Jeżeli przytem uprzytomnimy sobie, że nasi rodacy za Oceanem, jako najniekulturalniejsza warstwa społeczeństwa polskiego, potrafiła o własnych siłach bez niczyjej pomocy, bez udziału inteligencji polskiej, samopas puszczona, tak dalece się ucywilizować i w zakresie samoorganizacji tak stosunkowo daleko sięgnąć w porównaniu do swego poprzedniego stanu w Polsce, więc powinniśmy wyciągnąć z tego optymistyczne wnioski i co do wyników podnoszonej obecnie przez wszystkie warstwy naszego narodu pracy Odrodzenia, i co do udziału w tej akcji naszej Emigracji — Wychodztwa Polskiego.

Nie wchodząc w szczegóły co do zakresu i sposobów wykorzystania doświadczenia naszej emigracji, wypada narazie stwierdzić, iż w każdym

(Dalszy ciąg p. na str. 60)

---

*) Bardzo trafne określenie tej prawdy znajdujemy w obszernej i źródłowej, najpoważniejszej, jak dotąd, książce o Wychodztwie Polskiem dr. M. Szawleskiego w słowach, iż „W Ameryce staje przybysz do warsztatu pracy fizycznej, na której usługach stanęła wiedza, aby produkcję ułatwić, konsumcję urozmaicić, a życie udogodnić". Dr. M. Szawleski „Wychodztwo Polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej". Wyd. Zakładów Ossolińskich.

Amerykańskie badania kwalifikacyj pracowników biurowych

Odczyt inż. J. Wojciechowskiego na I Zjeździe Polskiej Naukowej Organizacji

TREŚĆ. Wstęp. Znaczenie badania materjału ludzkiego dla nowoczesnej nauki organizacji pracy. Współczesny rozwój tych badań w Ameryce. Prace Münsterberga, Taylora, Linka, Yerkesa, Yokuma i Thurstona.

I. Analiza prac biuralistów. Wykazy cech, wymaganych od kandydatów. Zadania biur wynajemczych. Inteligencja i technika w pracy biurowej. Przykłady prób dla stwierdzenia jednej i drugiej.

II. Przykłady prób dla: 1) biuralistów, 2) maszynistek, 3) stenografów i 4) archiwistów.

Oceny wyników.

III. Wyniki praktyczne prób w zakładach amerykańskich.

Zachęta do stosowania prób w Polsce.

Próby psychotechniczne kandydatów do zajęć biurowych stanowią drobny odłam tych licznych badań, jakie organizatorowie nowocześni w Ameryce i w Europie zachodniej poczynili i czynią, aby zbliżyć się jak najbardziej do ideału metody racjonalnej i naukowej doboru ludzi odpowiednich do określonej pracy.

Znaczenie tych badań jest dla postępu nauki organizacji niesłychanie wielkie, nowoczesna bowiem nauka ta przeniknięta jest duchem jak największego umiłowania człowieka i dąży do możliwego uwzględnienia wszystkich warunków, jakie potrzebne są nie tylko do wzmożenia wydajności pracy ludzkiej, ale i do utrzymania atmosfery ładu i zadowolenia całego społeczeństwa i poszczególnych jednostek.

Rozwój badań nad czynnikiem ludzkim w przemyśle i handlu datuje się w Ameryce od czasu Taylora. Przed wielką wojną najważniejsze prace dokonane były przez Münsterberga w Uniw. Harwarda, w czasie wojny i w ostatniem pięcioleciu wydano w Ameryce wiele dzieł, które świadczą o licznych pracach w dziedzinie doboru ludzi. Tak więc Yokum i Yerkes opracowali sposoby badania rekrutów; Link opracował zasady doboru robotników i urzędników w dziele „Employment Psychology", które obecnie kończę tłumaczyć na polski, Burton Gowin napisał o „Selekcji i szkoleniu personelu przedsiębiorstw", Robert Grimshaw, Walter Dill Scott i Thurstone pisali o wydajności i sprawności czynnika ludzkiego w przedsiębiorstwach handlowych, obecnie zaś w Washingtonie wychodzi czasopismo pod tytułem: „Public Personel Studies", jako organ instytucji pod nazwą „Bureau of Public Personel Administration-Institut for Governement Research". Ruch na tem polu, jest więc dość znaczny i świadczy o tem, że przemysł amerykański zrozumiał, iż tak samo, jak ważnemi są studja nad materjałami martwemi do fabrykacji, tak samo nieodzowne i pożyteczne są studja i próby nad człowiekiem, którego przyjmujemy do pewnego, ściśle oznaczonego zajęcia. To też nie od rzeczy będzie, jeżeli przytoczę tu opinję jednego amerykańskiego przemysłowca, który po skończonych badaniach, dokonanych w jego biurze przez Linka, napisał co następuje:

„Zadanie urzędnika biura najmu polega na wynalezieniu z pośród odpowiednich kandydatów takich ludzi, którzy przy stałem zajęciu mogą stopniowo samodzielnie przyzwyczajać się do pewnych bardzo dokładnych rutynowanych czynności. Gdy się ma do czynienia z dużą liczbą takich ludzi, z których każdy posiada mniej lub więcej podobne cechy osobiste, wywiad, choćby najbardziej dokładny, w celu zanalizowania zdolności danej osoby, nie wystarcza do określenia stopnia jej zdolności technicznej. Aż do czasów obecnych kierowaliśmy się tylko domysłami co do zdatności danego osobnika i braliśmy go na próbę. Mnożyliśmy wydatki, wprawiając urzędnika to do jednego, to do drugiego zajęcia, zanim nie zajął on właściwego swego stanowiska, lub nie porzucił zajęcia, albo też wreszcie, nie został wydalony.

„Próby, które stosowano w naszem biurze, zdają się dostarczać sposobów mechanicznych szybkiej i taniej oceny zdolności praktycznej i techniki ręcznej, wzrokowej i umysłowej, wymaganej do pewnej klasy robót biurowych rutynowanych. Przez takie zastąpienie wywiadów osobistych będzie można, sądzę, nie tylko odrzucić kosztowne dotychczasowe branie na próbę, lecz dawać dobre rady ludziom i zapobiegać wielu osobistym nieporozumieniom i przykrym sytuacjom. Jako wypadek, godny uwagi, można przytoczyć fakt taki, że nowicjuszka była przyjęta do jednego z naszych oddziałów, ponieważ odznaczała się szybką wymową, przyjemną powierzchownością, ujmującem i przyjemnem obejściem i ponieważ specjalnie uczyła się liczyć na maszynie. Czuliśmy, że powinna się ona nadawać do naszej pracy. Rozpoczęliśmy od tego, aby dać jej do sortowania kartki fabryczne do obliczenia czasu. Jak tylko zaczęła wykonywać źle tę prostą pracę, szef oddziału był

zdecydowany zwolnić ją. W czasie prób zauważyłem odrazu, że była ona najgorsza z całej grupy i że, gdyby te próby były dokonane przed jej przyjęciem, pewien jestem, że nie zostałaby urzędniczką, pomimo innych zalet, przemawiających na jej korzyść. Mogłaby ona być odpowiednią do prostych prac, lecz zaczęła od fałszywej samooceny i niewłaściwej zachęty z naszej strony.

„Mamy tu w pamięci także przykłady wyjątkowo dobrych urzędników, chociaż sprawiali pierwsze wrażenie niekorzystne, a ich pierwsza ocena była raczej oparta na ogólnym wyglądzie i zachowaniu się, niż na znajomości ich technicznych uzdolnień".

Ponieważ metody doboru ludzi winny być wzorowane na doborze tworzyw, potrzebnych w przemyśle, więc należy mieć dla każdego specjalnego zajęcia biurowego przedewszystkiem analizę czynności tak umysłowych jak i technicznych. Do analizy takiej dochodzi się drogą starannego, drobiazgowego i ścisłego badania pracy. Tak więc, dla przykładu, w biurze, zatrudniającem 750 biuralistów, ustalono 203 różnych specjalności.

Ponieważ różnice między temi zajęciami były nieznaczne, a przy więcej szczegółowem zbadaniu wykryto tylko małą liczbę czynności wybitnie charakterystycznych, stworzono pewien spis tych elementarnych charakterystyk i postarano się o wynalezienie prób (czyli testów), któreby odpowiadały tym cechom elementarnym. Ostatecznie te 203 specjalności zostały zredukowane do 15 (urzędnik do skorowidzów, czekowy, do zapotrzebowań, księgowy, do notat, do poleceń, do ekspedycji poczty, korespondent, maszynistka, korektor, układacz, statystyk, rachmistrz maszynowy, urzędnik do dyktofonu i stenograf). Po ustaleniu i wynalezieniu odpowiednich badań zadanie biura wynajemczego (pośrednictwa pracy) otrzymywało zapotrzebowanie, wypisane na karcie drukowej, pg. następującego wzoru:

Nazwa zajęcia . . . . Klasyfikacja . . . .
Wydział . . . . . . Sekcja . . . .
R o d z a j p r a c y:
Ręczna (pisanie — numerowanie — rysunek — ekspedjowanie — sortowanie pism).
Maszynowa (przepisywanie — statystyka — dyktando — pisanie formularzy).
Umysłowa (układanie pg. alfabetu — pg. miejscowości — pg. symbolów).
Znajomość języka (rozmowa — korespondencja — gramatyka, ortografja, terminologja).
Postawa (stojąca — siedząca — chodząca).
Wykształcenie . . . . Doświadczenie . . . .

Pragnąc zobrazować jedynie metody prób w biurach wynajmu i dowieść, że próby te możnaby wprowadzić i u nas, gdyż nie wymagają specjalnych przyrządów, urządzeń, a tylko dobrej woli i umiejętności, którą także zdobyć można po względnie krótkiej praktyce; przytoczę tu kilka sposobów badań, odpowiednich do oceny kandydatów na posady rachmistrzów, maszynistek, stenografów, archiwistów i t. p. Poniższy spis obejmuje próby stosowane zwykle do kandydatów na posady biurowe.

1) Odznaczanie liczb (test kontroli)	10%	ogólnej oceny
2) Wykonywanie łatwych poleceń	25%	" "
3) Uzupełnienie testu	25%	" "
4) Podstawianie liter i cyfr	25%	" "
5) Działania arytmetyczne	10%	" "
6) Sortowanie kart	20%	" "

7) Ortograficzny. 8) Pismo odręczne. 9) Układanie alfabetyczne. 10) Pisanie na maszynie. 11) Próba gramatyczna. 12) Podstawianie liczb. 13) Dodawanie na maszynie. 14) Mnożenie. 15) Układanie pg. miejscowości.

Następująca tabliczka daje pojęcie o tem, jakie próby stosujemy w zależności od specjalnych zajęć, o jakie ubiega się kandydat. (Czarne kreski oznaczają próby, jakie należy stosować).

NAZWY PRÓB	Biuralista	Maszynistka	Stenograf	Archiwista
Kontrola liczb	▬			▬
Łatwe polecenia	▬	▬	▬	▬
Uzupełnienia	▬		▬	
Podstawianie liter	▬	▬	▬	▬
Arytmetyka	▬			
Układanie kart	▬			▬
Ortografja	▬	▬	▬	
Układanie alfabetu				▬
Pisanie na maszynie		▬	▬	
Liczenie na maszynie				

Na czem polegają testy, odpowiadające tym cechom, jakie mamy odkryć, czy sprawdzić przy badaniu kandydata?

Test kontroli liczb polega na odznaczeniu kreską tych liczb, które w zbiorze, wydrukowanym na karcie mają cyfry „1" i „7" (Pokaz). Próba to łatwa i używana jest na wstępie, aby ośmielić kandydata i pozwolić mu otrząsnąć się z obawy lub wzruszenia (tłumik wzruszenia).

Test ł a t w y c h p o l e c e ń zawiera szereg rozkazów, których spełnienie winno być dokładne i prędkie, np.: „Odszukać Nr. telefonu p. XX. w książce abonamentów telefonu i zapisać wraz z adresem na prawej stronie karty".

Test u z u p e ł n i e ń t e k s t ó w polega na dopisaniu wyrazów, przepuszczonych w zbiorze różnych zdań, lub w jakim liście, lub umowie handlowej.

Test p o d s t a w i e n i a l i t e r, albo liczb polega na tem, aby kandydat w całym zbiorze liter na wręczonej mu karcie podpisywał pod każdą literą jakąś umówioną inną literę lub cyfrę.

Test u k ł a d a n i a k a r t polega na tem, aby ułożyć jak najprędzej 50 kart w 4 rogach tabliczki 30 × 30 cm. w taki sposób, aby karty z literami od X i K były w jednym rogu, karty X i Y w drugim; — 5 — 6 w trzecim, a wszelkie inne w czwartym. Na każdej karcie jest 7 liter lub cyfr.

T e s t o r t o g r a f i c z n y polega na poprawieniu zbioru kilkudziesięciu wyrazów, napisanych bądź poprawnie, bądź też z błędami.

T e s t u k ł a d a n i a a l f a b e t y c z n e g o zasadza się na ułożeniu kart z oddzielnemi nazwiskami w porządku alfabetycznym w czasie jak najkrótszym. W podobny sposób można polecać układanie nazwisk firm z odznaczonemi specjalnościami i adresami pg. specjalności albo pg. miejscowości.

Testy pisania lub liczenia na maszynie mogą być rozmaite w zależności od wymagań. Tak więc np. można dać do przepisania wyraźny rękopis, lub druk, niewyraźny rękopis, rękopis z korekturami, lub z przepuszczonemi wyrazami i t. p. Miarodajnemi przy ocenie będą: czas, dokładność roboty i liczba omyłek.

Do obliczania ocen posługują się wzorami:

$$r = \frac{N - E}{RU} \quad . \; . \; . \; . \quad (I)$$

$$r = \frac{Ru\ (RU - E)}{T} \quad . \; . \quad (II)$$

N — liczba wykonanych jednostek,
E — „ błędów,
RU — „ jednostek wykonywanych przy próbie wzorowej.

Wzór drugi stosujemy wtedy, kiedy test nie ma oznaczonego czasu, a każdy osobnik wykonywa go dowolnie. Wtedy Ru oznacza iloraz czasu wzorcowego przez liczbę wzorcową jednostek, a zatem czas wzorcowy wykonania jednostki. T — czas, użyty na wykonanie testu.

Tak np. dla testu układania kart ustalono po licznych próbach, że 50 kart można rozłożyć w sposób wyżej podany w 80 sekund. Czas na 1 kartę wynosi 80 : 50 = 1,6 sek. Jeżeli badany kandydat dokonał próby w ciągu 84 sek. i zrobił 4 błędy, ocena r wypada tak:

$$r = \frac{1,6\ (5 - 4)}{84} = 0,88.$$

Jeżeli chodzi o to, aby wyrazić, że przypisujemy większą wagę do robionych błędów, można każdy błąd liczyć podwójnie, potrójnie; wynik oceny będzie wtedy r = 0,8 i r = 0,73. W zależności znowu od wymagań danego zakładu, lub biura rezultaty tak otrzymanych ocen każdego testu są mnożone przez pewne współczynniki, wskazujące, jaką wagę przywiązuje się do cechy, odpowiadającej danemu testowi.

Wzmiankowane wyżej czasopismo Public Personel Studies podaje nast. spis prób dla starszych urzędników:

TESTY DLA STARSZYCH URZĘDNIKÓW

	Dozwolony czas min.	Stopień ważności
1. Praca biurowa i terminologja (20 pytań w rozmaitych formach, na każde trzeba dać jedną z 4 wydrukowanych odpowiedzi. Wymagane minimum 70). (5 punktów liczy się za jedną dobrą odpowiedź).	10	2
2. Pojmowanie i wykonywanie pisemnych poleceń . . . . (10 poleceń oznaczonych na tablicy) minim. 60.	15	1½
3. Porównywanie . . . . . . (Porówn. oryginałów i odpisów 10 zdań).	5	½
4. Układanie alfabetyczne . . Ułożenie 10 nazwisk na właściwe miejsca w spisie 60 innych nazwisk).	10	½
5. Rozpoznawanie spraw . . . (Rozpoznanie 10 tranzakcyj i oznaczenie ich nazwą).	5	1
6. Czytanie . . . . (10 pytań, tyczących się wybranych spraw z praktyki biurowej lub z prowadzenia interesu).	5	1
7. Arytmetyka . . . . (10 zadań z praktyki biurowej).	10	1
8. Pamięć rozporządzeń urzędowych . . . . (5 pytań, tyczących się zbioru rozporządzeń, często stosowanych w biurze).	7	½
9. Wykształcenie i doświadczenie	10	2
Razem . . .	77	10

Praktyczne wyniki prób, wykonanych przez H. Linka, były następujące:

1) wyrugowano dawny system przyjmowania, oparty na wrażeniu, jakie robił kandydat na wynajmującego;

2) na zasadzie powyższej metody przyjęto następnie 935 biuralistów i powtarzano z nimi próby

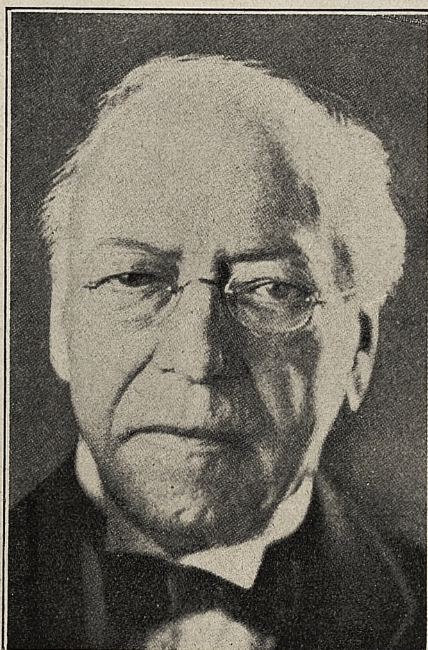
(Dalszy ciąg p. na str. 64)

Wódz miljonowych rzesz robotniczych

Samuel Gompers, twórca Amerykańskiej Federacji Pracy

Stany Zjednoczone posiadają najpotężniejszą organizację robotniczą w całym świecie i — najsłabszy ruch socjalistyczny. Przyszli socjologowie wyjaśnią niewątpliwie, jakim to cudem skrajne prądy społeczne znalazły najbujniejsze podłoże w kraju najmniej uprzemysłowionym i najbardziej zacofanym w Europie, a najoporniejszem wobec nich okazało się największe i najżyźniejsze środowisko przemysłowe świata.

Nie wchodząc w to, czy sprawdzą się przepowiednie, zapowiadające na najbliższą przyszłość odrodzenie i rozrost socjalizmu w Ameryce, stwierdzić można, że dotychczas odegrał on w jej życiu politycznem rolę wręcz znikomą. Dość powiedzieć, że w Kongresie zasiada jeden jedyny poseł socjalistyczny (L. Berger z Milwaukee); że na 48 parlamentów Stanowych tylko w 12 zasiada po paru socjalistów (razem 30); że Izba reprezentantów Stanu New York wzbraniała się długo przyjąć do swego łona paru wybrańców socjalistycznych, „gdyż ich program jest przeciwny Konstytucji"; że parokrotne demonstracyjne kandydatury socjalistyczne na prezydenta Stanów nie znajdowały poważniejszego poparcia, a świeżo kandydujący z ich pomocą senator La Follette poniósł druzgocącą klęskę. Stan ten jest dla Ameryki tem znamienniejszy, że ten tak słaby ruch socjalistyczny, a zwłaszcza jego odcień skrajny, opiera się przeważnie nie na osiadłej ludności amerykańskiej, lecz na świeżym napływie europejskim. Socjalistyczny pisarz amerykański, J. Oneal, oblicza np., że na 20.000 komunistów amerykańskich ledwie 1.500 włada językiem angielskim.



Samuel Gompers
Prezes Amerykańskiej Federacji Pracy.
Godność tę piastował od r. 1882.
Zmarł w grudniu 1924 r.

Są, oczywiście, potemu powody rozmaite. Stany Zjednoczone powstały, wzmogły się i rozrosły dzięki przedsiębiorczości jednostek energicznych i dzielnych: toporem i strzelbą torujących sobie drogę, pracowników-osiedleńców, pionjerów-śmiałków, idących przodem samopas, a nie oglądających się na poparcie gromadne. I dzisiaj, wobec nieprzebranych zasobów Nowego Świata, każda jednostka silna i rzutka ma widoki wybicia się i wzbogacenia w pojedynkę. Żaden też robotnik amerykański nie ma zamiaru umierać robotnikiem; nie czuje się związany z jakąś warstwą, gromadą, czy stadem, bo wie, że tysiąc furtek stoi przed nim otworem, któremi droga wiedzie do dobrobytu, znaczenia, wpływów. Wzorowo zorganizowana wieczorna nauka uzupełniająca sprawia, że każdy znajdzie, na swym poziomie, pierwszy stopień schodów, wiodących w górę, dokąd zechce. Mógł p. Mierzwa w 11 lat z naszego chłopaka od gęsi zostać amerykańskim profesorem wszechnicy; równym wysiłkiem energji i woli mógł był zostać inżynierem, lekarzem, bankierem, adwokatem, fabrykantem, gubernatorem, — czemby zechciał. Nie wszystkim to się udaje, lecz wszystkim ta nadzieja przyświeca, a urzeczywistniają ją te właśnie jednostki dzielne, które mogły były dać biernym masom zwycięski rozpęd bojowy.

Są i przyczyny inne. Najcięższa i najgorzej płatna praca nie spada tam na barki robotnika amerykańskiego, wykonywają ją za niego ciemni i nieporadni przybysze z Europy, iż Amerykanin nie potrzebuje się nią parać, ani też wspinać się od samego dołu. Do osłabienia socjalizmu przyczyniła się też wojna, rozniecając w robotnikach rozbieżne sympatje narodowe. Jak stwierdza wyżej wspomniany pisarz, pierwszy klin w jednolitość bloku socjalistycznego wbili robotnicy polscy, których część „popierała werbowanie ochotników dla armji austrjackiej" (Legjony). Więc podrażnione sympatje narodowe odzywać się jęły coraz częściej to za tą, to za ową stroną, a gdy prawowierni socjaliści sprzeciwiali się wojnie i dostarczaniu amunicji Sprzymierzeńcom, lub nawet głosili sabotaż, żywioły patrjotyczne poczęły się od nich odłączać, iż w końcu wojny liczba zorganizowanych socjalistów zmalała do $^1/_3$ (por. „Current History", kwiecień, 1924). Nadomiar bolszewicy rozpoczęli agitację nahalną, dopominającą się o posłuch dla 21 punktów, obwieszczonych przez So-

wiety, a żądających bezwzględnego posłuszeństwa wobec Moskwy!

Różne zatem przyczyny tamowały prąd socjalistyczny w Ameryce; stale, od 40 lat zgórą, rozbijał się on o jednego człowieka: o niezwykłej miary postać prezesa Amerykańskiej Federacji Pracy, Samuela Gompersa.

* * *

Samuel Gompers umarł u schyłku zeszłego roku w 74 roku życia. Zmarł w Teksas podczas podróży agitacyjnej. Był już dawno chory na serce, ale jeszcze pięć dni temu wygłosił godzinną mowę ze zwykłą jasnością myśli i siłą i zaraz potem zapadł obłożnie. Gdy lekarze ostrzegli go, że stan jest beznadziejny, rzekł jeszcze: „Niech Bóg błogosławi instytucje amerykańskie"—i skonał. Trumnę nakryto narodowym sztandarem gwiaździstym i z wszystkiemi honorami, na jakie stać wielki naród, przewieziono osobnym pociągiem do Waszyngtonu, gdzie hołd zmarłemu składała cała Ameryka z prezydentem Stanów na czele. Żałoba okryła nie tylko miljony członków Federacji Pracy, lecz cały naród. Wszystkie dzienniki, bez względu na kierunek polityczny, sławiły zgodnie „wielkiego Amerykanina", „wielkiego obywatela", „męża opatrznościowego", „przyjaciela i doradcę sześciu Prezydentów".

Kto był ten wielki człowiek, o którym Hoover powiedział, że nie wiadomo z kim go porównać w całej historji Stanów? Kto? — Żydek angielski, prosty łapserdak, urodzony w cuchnących zaułkach East Endu londyńskiego. Więc zapewne znakomity ekonomista? wielki uczony? Tak... Nauki szkolne ukończył, mając lat... dziesięć. Rwał się i potem do książek, ale tylko nocami, gdyż 14 godzin trwała robota w fabryce cygar, gdzie wraz z ojcem pracował. Mając lat 13, wyemigrował do New Yorku. I tu dalej kręcił cygara. Żeby jednak uczyć się nietylko nocami, namówił gromadkę wyrostków, z którymi razem pracował na akord, by jeden z nich podczas pracy czytywał im książki, a inni dadzą mu za to tyle cygar, ile byłby skręcił, gdyby nie był czytał. A że mały łapserdak wybierał najciekawsze książki i najlepiej czytał, jemu najczęściej przypadała rola lektora. Czytanie obejmowało wszelkie dziedziny: historję, ekonomję, poezję. Zyskawszy posłuch jako lektor, zaczął też mówić od siebie i po roku zorganizował Związek Robotników Tytoniowych i stanął na jego czele, mając lat 14! Niebawem stał już na czele organizacji robotniczej całego Stanu i począł marzyć o zorganizowaniu wszystkich robotników Ameryki.

Ruchu socjalistycznego nie było jeszcze wówczas w Stanach (zorganizował się dopiero w roku 1902). Było to pod koniec wojny z Południem, która wraz z ogólnem zubożeniem i zadłużeniem wniosła niepokój ekonomiczny. Tak najpierw powstał prąd „Greenbackers", domagający się sztucznej inflacji, by farmerzy i robotnicy dostawali więcej dolarów i tanim pieniądzem spłacali długi. Powstawały też tu i owdzie związki kolektywistów, przeciwników immigracji, zwłaszcza azjatyckiej, zwolenników upaństwowienia kolei i kopalń i wiele innych z nieokreślonemi ściśle programami. Ale, co najważniejsza, tworzyć się jęły coraz liczniejsze miejscowe związki zawodowe gwoli obronie ekonomicznych interesów robotniczych.

W chwili, gdy Gompers wstępował na szerszą widownię, wybijała się na pierwszy plan pierwsza ogólna organizacja robotnicza Stanów: Rycerzy Pracy, usiłująca wszystkie związki zawodowe złączyć w jeden jednolity Związek polityczno-ekonomiczny. Gompers wystąpił z całą energją przeciw Rycerzom Pracy. Przez kilkoletni pobyt w Stanach zamerykanizował się już dotyle, iż zrozumiał, jak wstrętny Jankesom jest wszelki centralizm, wszelkie ograniczanie swobody wolnych związków. Wywiesił więc hasło Federacji związków, rządzących się autonomicznie, a oddających tylko niewielką ilość spraw wspólnych w ręce organizacji centralnej. Przytem jako zasadę ogłosił zajmowanie się wyłącznie sprawami ekonomicznemi robotników, z wykluczeniem wszelkiej polityki. Nie taił też, że jest stanowczym przeciwnikiem unarodowiania przemysłu, kolei i kopalń. Na tej podstawie w roku 1881 powstała Amerykańska Federacja Pracy, która wkrótce objęła całą Amerykę i zyskała miljony członków, a której Gompers przewodniczył przez lat 40 zgórą.

* * *

Czy Gompers był przeciwnikiem socjalizmu? Nie sądzę. Był to poprostu wielki realista, wyznający zasadę, że dość ma dzień każdy swojej troski, i że nie należy marnować energji na zagadnienia oderwane, kórych rozwiązanie przypadnie przyszłym pokoleniom w udziale. Był to człowiek niebywałej nawet w Ameryce energji, którą całą wyczerpać pragnął na olbrzymie zadanie: zdobywania dla robotników amerykańskich lepszej doli w takich warunkach, jakie są; zwrócenie jej na usiłowania przemiany tych warunków uważał za uszczerbek dla tego głównego i pilnego zadania. Unarodowienia przemysłu nie chciał, nie ze względów zasadniczych, jeno w przekonaniu, że unarodowiony biurokratycznie przemysł nie będzie dość rzutki i sprawny, by robotnikom mógł płacić takie zasługi, jakie dla nich wywalczyć pragnął. Dlatego też odrzucał walkę klas, jako marnowanie sił, które zużyć należy zgodnie do wspólnego celu; a tę zgodę był w każdej chwili gotów wymusić walką bezwzględną. Bo w owych czasach kapitał i przemysł amerykański uważał go za herszta zbuntowanych robotników, z którym paktować nie można. Nie chcecie się układać? to będziecie mieli strajk!

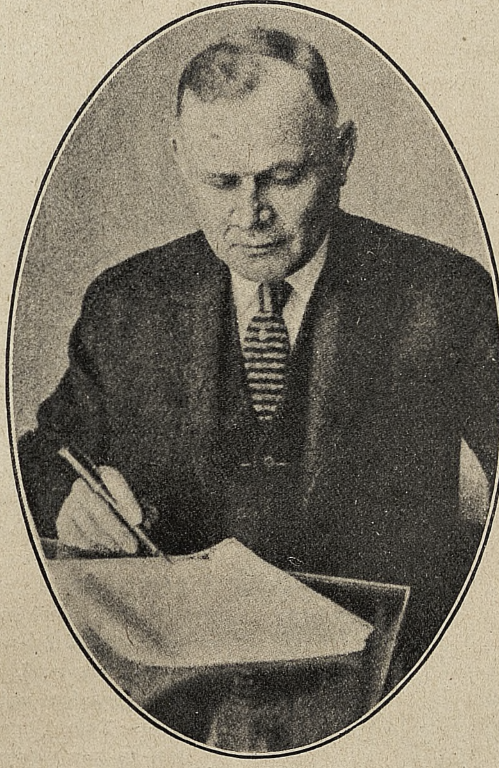
Ale strajk uważał za środek ostateczny, którego nie wolno się imać lekkomyślnie bez upoważnienia Federacji Pracy (w czasie wojny upoważnienia takiego odmawiał); trzeba też mieć słuszność, by mieć za sobą opinję publiczną. Twardy wśród strajku, w układach uwzględniał chętnie położenie przemysłu i jego możliwości finansowe. W tym kierunku szedł tak daleko, że współdziałał przy tworzeniu Narodowej Federacji Obywatelskiej, mającej za zadanie krzewienie przyjaznych stosunków między kapitałem a pracą i został jej wice-prezesem. Tą metodą zdobył sobie tak wyjątkowe stanowisko jako rozjemca, iż wciąż jeszcze czytać można głosy, stwierdzające, że nie było dotąd człowieka, coby dla robotników osiągnął tyle zdobyczy, a równocześnie załagodził bardzo wiele konfliktów ekonomicznych.

Z niemniejszą energją i praktycznością zabrał się do prawodawstwa robotniczego. Ponieważ wykluczał politykę w Federacji Pracy, nie było posłów robotniczych w Kongresie. Twierdził, że ich tam nie potrzebuje. Był za utworzeniem drugiego parlamentu dla spraw ekomicznycznych wyłącznie. Tymczasem w roku 1895 założył w Waszyngtonie Narodowy Komitet Prawodawczy, który zbierał materjały, przygotowywał projekty ustaw, wnosił je na Kongres, czuwał nad niemi i kierował kampanją publicystyczną. Nie ograniczał się wszakże do argumentów rzeczowych. Urządził indeks, w którym każdy senator i poseł miał swą kartę, na której zapisywano, jak głosował w sprawach robotniczych. Wedle tych kartek sporządzano listę przyjaciół i listę nieprzyjaciół i w czasie wyborów rozsyłano je po wszystkich Stanach jako dyrektywę dla robotników, kogo mają popierać, a kogo utrącać. W ten sposób przy ostatnich wyborach Federacja Pracy rozstrzygnęła o 170 mandatach. Wierny zasadzie apolityczności, Gompers nie przyjął nigdy żadnego urzędu, a odrzucił również mandat senatora, który równocześnie ofiarowali mu i Republikanie i Demokraci.

Rzeczowe jego stanowisko we wszystkich zagadnieniach ekonomicznych sprawiało, że atakowany był z dwu stron i walkę wieść musiał ustawicznie na dwa fronty. Zwalczał go wielki kapitał i przemysł; zwalczały go też z pośród robotników żywioły radykalniejsze i niecierpliwsze, dla których był zbyt ugodowy. Żywioły te wzrosły w siły i podniosły głowę od czasu, jak angielska Labour Party dorwała się władzy. Przeciwnicy metody Gompersa rozpadają się na dwie grupy. Lewe skrzydło, obejmujące różnego rodzaju zrzeszenia skrajne od bolszewizujących komunistów po radykalnych robotników rolnych, jest stosunkowo słabe i znajduje się dopiero w procesie konsolidacji. Natomiast potężnie rozwinęło się stronnictwo umiarkowańsze, powstałe niedawno pod nazwą Konferencja dla Postępowej Akcji Politycznej, którą pod wodzą naczelnika zrzeszenia maszynistów kolejowych, Warren S. Stone'a, skupiło już około połowy wszystkich członków Federacji Pracy: od półtora do dwu miljonów, wraz z organizacjami socjalistycznemi. To stronnictwo, wbrew Gompersowi, chce zorganizować wszystkich robotników w odrębną partję polityczną, głosi unarodowienie instrumentów pracy i, wbrew Gompersowi, odnosi się przyjaźnie do rządu Sowietów.

Stary bojownik, Gompers, zwalczał je z młodzieńczym zapałem. Zawalony pracą znajdował jeszcze czas na pisanie setek artykułów i tysięcy listów, a gdy gdzieś przeciwnicy stawali się groźni, udawał się na miejsce i szalę zwycięstwa przechylał swą energją, wymową i wpływem nadzwyczajnym. Przejeżdżał ciągle całe Stany od końca do końca i w ciągu jednego roku w 200 miastach staczał walki i wygłaszał mowy. Tak, wciąż walcząc, padł wyczerpany, lecz nie złamany, ten mizerny żydek z East Endu, co stał się historyczną postacią amerykańską; padł, powtarzając ostatnim tchem: „Niech Bóg błogosławi instytucje amerykańskie".

Tadeasz Żuk Skarszewski.



William Grey.
Nowy prezes Amerykańskiej Federacji Pracy. Przedtem był sekretarzem i skarbnikiem Zjednoczonego Związku Zawodowego Górników (United Mine Workers).

Tylu jest ludzi, których w niebie czeka srogie rozczarowanie: nie znajdą tam nic do krytykowania i reformowania.

„Columbia Record".

EDMUND C. GRAY, M. D. *PRZEŁ. M. C. G.*

Ideał wiecznej młodości

Ćwiczenia ciała dla walki ze starością

Jednem z najgłówniejszych udręczeń starości jest fakt, że ciało ludzkie pochyla się ku ziemi i garbi, i albo staje się zasuszone i zwiędłe, lub też wydęte jest chorobliwym tłuszczem.

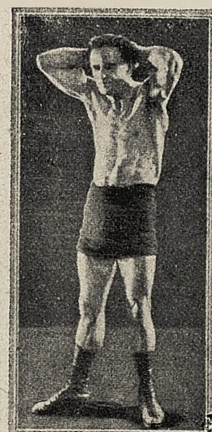
Zbliżając się do czwartego krzyżyka, do dojrzałego wieku lat 40, zaczynamy odczuwać już powoli wszelkie z wiekiem związane niedole. Niewielu jest ludzi, którzy przekroczywszy tę granicę, zdołali zachować kształty młodzieńcze, elastyczność w ruchach i chodzie, błysk oczu, „bystrość" wzroku i słuchu, a tem samem ustrzegli się od troski o swe zdrowie i od myśli o dolegliwościach i cierpieniach ciała. Zwykle, wchodząc w okres wieku dojrzałego, odczuwamy już wszelkie niedole i smutki starości.

Lecz jakiż to okres życia nazywamy wiekiem dojrzałym? Uwzględniając długość życia wedle biblji, t. zn. lat 70, musimy uznać lat 35 za granicę wieku dojrzałego. Przeciętnie utarło się mniemanie, że z ukończeniem lat 35 osiąga się średnią granicę wieku, mimo że człowiek żyje nieraz lat 90 i więcej i mimo, że w wieku lat 35 nie doszedł jeszcze często do maksimum swego rozwoju fizycznego, że już nie wspomnę o rozwoju umysłowym.

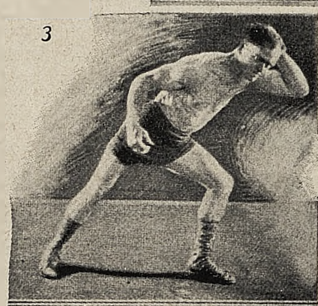
1



2



3



1. Stań w pozycji wyprostowanej; wyrzuć silnie przed siebie lewą nogę, wraz z lewem ramieniem, jakbyś mierzył w przeciwnika. Jednocześnie napręż mięśnie prawego ramienia i całej klatki piersiowej, przygotowując się do następnego uderzenia, poczem odetchnij. Jest to zwykłe ćwiczenie bokserskie.

2. Rozstaw nogi, w pozycji wyprostowanej, na odległość koło 18 cm. Spleć ręce w tyle głowy i z całej siły naginaj ją naprzód, starając się przezwyciężyć opór szyi. Jednocześnie staraj się naginać możliwie blisko łokcie ku sobie, nie folgując jednak oporu górnych mięśni plecowych. Napręż także mięśnie klatki piersiowej oraz brzucha. Jest to doskonałe ćwiczenie całego tułowia.

3. Stań prosto, pięta przy pięcie. Naraz wyrzuć lewą nogę, czyniąc energiczny chwyt lewą ręką za tył głowy. Przezwyciężając opór szyi naginaj silnie naprzód głowę. Ściągnij mięśnie prawego ramienia, przygotowując się do chwytu przeciwnika urojonego. Napręż wszystkie mięśnie przedniej części tułowia, poczem odetchnij i powróć do pierwotnej pozycji. Zmieniając po kolei ruchy nóg i rąk, powtarzaj je aż do wystąpienia potu.

W ostatnich 65 latach wzrosła przeciętna długość życia ludzkiego o 16—18 lat, o ile to w przybliżeniu obliczyć można. W roku 1860 średnia długość życia ludzkiego wynosiła nieco ponad lat 40, obecnie zaś wzrosła do lat 58. Ponieważ słyszy się często o ludziach dożywających lat 80 i więcej, słusznem jest, by przesunęła się również i granica wieku dojrzałego i by nikt, mężczyzna czy kobieta, nie uważał się za „dojrzałego" przed zbliżeniem się do pięćdziesiątki.

Do dziwnych objawów należy fakt, że nikt nie chce dożyć bardzo późnego wieku. Na życzenie osiągnięcia wieku lat sto odpowiada prawie każdy: wcale sobie nie życzę dożyć tak późnej starości. I rzeczywiście: człowiek w starości traci zęby, staje się mniej lub więcej głuchy, lub ślepy, nogi nie służą mu więcej, ciało znosi cierpienia, które nędznem czynią życie, powoli zanika pamięć i ruchliwość umysłu, myśl się plącze i wprowadza zamęt w zwykły tryb życia; kto ma „szczęście" dożyć późnej starości, staje się powoli ciężarem dla siebie i drugich, pocóż więc przedłużać ten przykry stan agonji? Istnieją jednak i tacy, którzy zachowali u schyłku starości filozoficzny pogląd na życie i jego sprawy.

Pewien staruszek, dręczony wszelkiemi dolegliwościami podeszłego wieku, na zapytanie przyjaciela, dlaczego mu mimo wszystko na życiu zależy, od-

4



4. Stań prosto, rozsuwając pięty na odległość stopy. Nie zginając kolan, nachyl się i staraj się dotknąć ściśniętemi w kułak dłońmi podłogi. Jest to doskonały ruch dla ćwiczeń grzbietu, ścięgien nożnych oraz części brzusznej.

5. Stań w pozycji wyprostowanej, rozsuwając pięty na 6 cali. Przykucnij i wyrzuć ramiona przed siebie. Bacz, aby pięty nie odrywały się od podłogi.—Ćwiczenia dla grzbietu, ud oraz łydek.

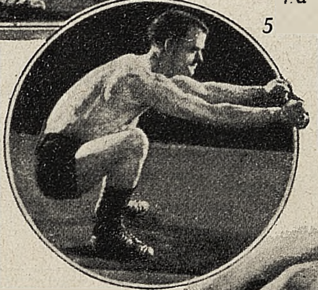
6. Stojąc prosto, ze zsuniętemi piętami, wyrzuć lewą nogę i jednocześnie lewą ręką naciskaj zdołu podbródek, przechylając całą głowę wtył. Napręż prawe ramię, przygotowując się do uderzenia. Zmieniaj kolejno te ruchy.

7

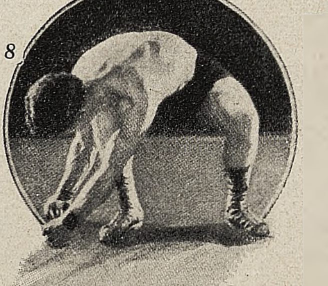


7. Połóż się na wznak, ręce kładąc na biodra i wyprostowując nogi. Unieś w górę możliwie wysoko prawą nogę, nie zginając kolana. Następnie opuść ją i podnieś lewą. Powtarzaj te ruchy aż do zmęczenia. Jest to doskonałe ćwiczenie dla ud i mięśni brzusznych.

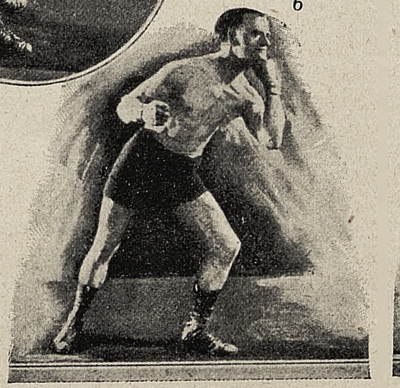
5



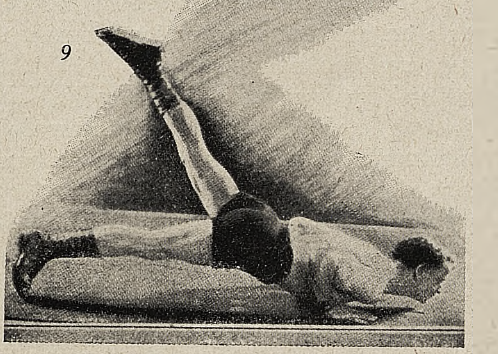
8



6



9



8. Stojąc w pozycji prostej rozsuń nogi na odległość dwóch stóp. Przykucnij do połowy i wykręć tułów w prawą stronę; wtedy nachyl się do przodu i staraj się dotknąć rękami podłogi, jak pokazane na rysunku. Zmieniaj kolejno kierunek ruchu.—Dobre ćwiczenie dla brzusznej części przewodu pokarmowego.

9. Wyciągnij się, dotykając podłogi z jednej strony palcami nóg, a z drugiej — wyprostowanemi rękami. Unieś możliwie wysoko lewą nogę i jednocześnie staraj się piersią dotknąć podłogi; w tej pozycji opuszczaj z powrotem nogę, poczem wróć do pierwotnej pozycji. Zmieniaj w tych ruchach kolejno nogi, aż do zmęczenia. Jest to doskonałe ćwiczenie dla ramion, pleców, piersi, brzucha i nóg.

powiedział w sposób następujący: „Zapewne, przyznać trzeba, że życia mam niewiele. Są jednak pewne plusy, wyrównywające minusy. Jestem skazany na odbywanie przechadzki między łóżkiem, stołem a fotelem. Nie mogę czytać ani rozpoznawać przyjaciół. Nie widzę kwiatów ani nie odczuwam ich woni. Nie jest mi danem rozkoszować się muzyką lub śpiewem ptaków, gdyż jestem głuchy. Pamięć straciłem zupełnie, tak, że odmówione mi nawet zostało przypominanie dawnych lepszych czasów. Rozumie się, że od przyszłości niczego już się spodziewać nie mogę. Nawet jedzenie nie sprawia mi przyjemności, gdyż brak mi wszystkich zębów, z wyjątkiem dwóch, lecz wielką winienem Bogu wdzięczność, że dwa przynajmniej się trzymają".

Tak to najmniejsza drobnostka może sprawiać satysfakcję niektórym ludziom.

Tryb życia ludzi współczesnych jest w najwyższym stopniu niezdrowy. Nikt nie przestrzega najprostszych przepisów, dotyczących diety, higjeny i życia seksualnego. Walcząc o byt, ludzie śpieszą się wiecznie i żyją w stałem naprężeniu nerwów. Wiecznie u drugich szukają pomocy, jeszcze zanim sobie sprawę zdadzą, czy w sobie samym pomocy tej znaleźćby nie mogli. Najgroźniejsze zaś jest to, że przy ludzkiej dolegliwości zażywają ostrych trujących lekarstw, które stają się często przyczyną chorób organicznych. Czyż można się wobec tego dziwić, że ludzkość jest wątła, słaba i zestarzała już w tym wieku, kiedy jeszcze życie powinno się w ciele bujną przelewać falą, a doświadczenie przeżytych lat mogłoby wzbogacać świat tworami ducha, niedostępnemi dla ludzi młodych i niedoświadczonych.

Faktem jest jednak, że przeciętna długość życia wzrosła, na przekór naszym wzmożonym skłonnościom chorobowym, pomimo naszego kalekiego ciała. Prawdą jest, że lata poważne osiąga obecnie większa liczba ludzi niż wiek lub pół wieku temu. Zapytaj jednak mężczyznę lub kobietę, którzy osiągnęli wiek patrjarchalny i pięknej dożyli starości, jakiemi drogami doszli do tych pozazdroszczenia godnych lat, otrzymasz tak sprzeczne odpowiedzi, że wywnioskować musimy: zawdzięczają to tylko przypadkowi; nie sposób życia utrzymał ich tak długo, lecz wyjątkowo wielka żywotność organizmu.

Od czasu do czasu natrafiamy na człowieka, który dożył późnego wieku, gdyż był przez całe życie zmuszony uważać na swe zdrowie, mimo że niejednokrotnie wolałby żyć inaczej. Szereg lat

(Dalszy ciąg str. na str. 61)

Polacy w Brazylji

Życie gospodarcze kolonistów

W kraju młodym, dopiero zaludniającym się i tworzącym gospodarczo, jak Parana, o którą głównie chodzi, formy pracy i stosunki w tej dziedzinie układają się inaczej, niż tam, gdzie życie ekonomiczne jest w zasadniczych podstawach uregulowane, ma za sobą tradycję i rutynę.

Główna i najbardziej odpowiadająca przyrodzie Parany gałąź produkcji: rolnictwo — istnieje, w jakiś system ujęte, zaledwie od kilkudziesięciu lat, kiedy immigranci polscy rozpoczęli uprawę zbóż i innych płodów europejskich, rozszerzając tem i ramy wytwórczości, z nabywanem doświadczeniem własnem i czynników kierowniczych rządowych, organizujących kolonizację.

Europejczykowi, przywykłemu do niewielkich, gęsto zaludnionych krajów, gdzie każdy kawałek ziemi jest wyzyskany, trudno wyobrazić sobie bezkresne obszary dzikiej przyrody, które dopiero trzeba zdobywać pod kulturę, trudno dokładnie przedstawić proces powstawania i posuwania gospodarki, rozpoczynanej niemal w warunkach, towarzyszących zapoczątkowaniu w odległych czasach rolnictwa wogóle — na pustych przestrzeniach, przy małej liczbie ludzi.

A wykonywają tę pracę pionierską w Paranie nie kapitały i maszyny, lecz zahartowane w trudzie i kierowane zaciętą wytrwałością i wolą ręce polskiego osadnika, walczącego z nieznaną przyrodą, z trudnościami i przeszkodami.

Wyraźnie „mrówcza praca" nigdzie bodaj nie jest bardziej odpowiedniem, jak w zastosowaniu do tych olbrzymich wysiłków i zabiegów, tej krzątaniny od rana do wieczora czy to na pobojowisku leśnem, czy w dalszej już uregulowanej gospodarce, krzątaniny starych, młodych i dzieci, zda się, zrosłych z ziemią w nieustannem jej zdobywaniu i przetwarzaniu.

Najtrudniejszym do przebycia dla początkującego osadnika pod względem fizycznym, materjalnym i psychicznym jest pierwszy okres jego pracy w puszczy na otrzymanym od rządu na kilkoletnie spłaty 25-hektarowym dziale ziemi. Staje on przed lasem drzew odwiecznych, podszytych, plątanina lian i innych pnączów, paproci, pasorzytów traw, mając za jedyne narzędzia walki żelazny tasak na długiej rękojeści („fojsa") i siekierę, a za jedynych pomocników pracy — własną rodzinę.

Na pomoc najemną nie stać go i wogóle trudno o rękę roboczą w kraju tak małoludnym, że najwyżej 3 ludzi przypada na 1 km. kw.

Nie jest jednakże świeży osadnik osamotniony, bo albo przybywa do zaludnionej już w części kolonji, albo na nowo zakładanej ma licznych towarzyszy doli.

Przytem czuwają nad organizacją kolonji i udzielają zapomogi władze administracyjne, zainstalowane w zbudowanem dla siebie jeszcze przed przybyciem immigrantów „sede"—siedzibie, która stanowi zaczątek miasteczka.

Tu znajdują się, oprócz biura i mieszkań dla urzędników, magazyny z nasionami, z narzędziami ręcznemi, które, jedno i drugie dostają immigranci od rządu darmo, jak również naczynia kuchenne pierwszej potrzeby.

W „sede" bywają baraki dla nowo przybyłych, apteka i nieunikniona „wenda" — sklep z artykułami żywnościowemi i wszelkiemi innemi towarami, oprócz napojów



Łan żyta w Paranie. Kolonista polski przysparza chleba światu i na drugiej półkuli.



Koloniści polscy w Paranie.—Rosowanie (ścinanie kilkoletnich gai—„rosów", po których spaleniu sadzi się kukurydzę). Rosy zapuszcza się na ziemi już wyjałowionej. Gdy ta przez lat kilka wypocznie, ścina się gaj, pali i sadzi kukurydzę. Jest to jeszcze gospodarka bardzo prymitywna i rabunkowa.

alkoholowych, surowo wzbronionych do czasu usamodzielnienia się kolonji.

Jednocześnie z trzebieniem lasu, sadzeniem kukurydzy i sianiem żyta na popielisku między niedopalonemi pniami odbywa się praca nad urządzeniem dróg, które rozchodzą się promieniami od „sede" i służą zarazem za ulice w obrębie kolonji, przy których staną domy.

Za robotę przy drogach płaci rząd osadnikom, niestety, kwitami, wymienianemi na żywność i inne artykuły najczęściej w miejscowej wendzie — początek ekonomicznej zależności od wendystów, pośredników w zbycie produkowanych przez kolonistę wytworów rolnych.

Trzeba też zbudować i mieszkanie, z początku jaką taką budę, żeby mieć dach nad głową, a potem dom, jak należy, po swojemu, jak to w Polsce u zamożniejszych gospodarzy, a potem szkołę, kościół i t. d.

I powoli, krok za krokiem w bezustannym trudzie i pocie czoła przy oczyszczaniu pola z korzeni, przy zasiewach i zbiorach, w walce z mrówkami i innemi szkodnikami kolonista przystosowuje się do warunków i oto po kilku latach widzi się, jakby cudem wyrosłe na miejscu głuchych puszcz zagrody, łany zbóż i kukurydzy, zagony kartofli.

Przy domach drzewka owocowe, ogródki warzywne i kwiatowe z nasion, które wraz z ziarnami zbóż niósł w zanadrzu na drugi koniec świata, niby cząstkę Ojczyzny emigrant polski.

Patrząc na swojskość krajobrazu, zapomina się, że to inna półkula, inna część świata, że to egzotyzm, Brazylja... Słusznie ktoś powiedział, że twórcą krajobrazu jest człowiek.

Takie widoki powtarzają się wszędzie, gdzie są kolonje polskie, stają się stopniowo charakterystyczną cechą krajobrazu zaludnionej Parany.

Ze stanu najprymitywniej prowadzonej na leśnem pobojowisku gospodarki przechodzi kolonista do użycia pługa i kosy, na równem już polu, zaopatruje się w trzodę chlewną, ptactwo domowe, nabywa krowę i konia.

Hodując przedewszystkiem umiłowane żytko, z którego potężne, smacznie upieczone bochenki zalegają komorę, i inne zboża i warzywa europejskie, przyswaja sobie kolonista (im później przybyły, tem pochopniejszy do nowości) uprawę ro-



Pasieka kolonisty polskiego w Paranie.



Teatr Miejski w Rio de Janeiro, stolicy Brazylji. Wybudowany w r. 1909 na wzór Opery paryskiej. Na przeciwko teatru (z prawej strony) widać część gmachu Muzeum Sztuk Pięknych.

ślin właściwych klimatowi i glebie cieplejszych stref.

Oprócz kukurydzy, która w Paranie stanowi główne pożywienie dla wszystkich zwierząt domowych i zawsze się udaje (80 do 100 ziarn wydajność), sadzi nasz osadnik czarną fasolę (feijao), nadzwyczaj pożywną, bataty, mandjoka, ryż, wino, nawet w miarę posuwania się ku gorętszej strefie północnej zaczyna próbować uprawy trzciny cukrowej, bawełny, bananów, a zczasem przejdzie do plantowania kawy, do której ziemia na północy Parany znakomicie się nadaje.

Z owoców hoduje pomarańcze, figi mniejsze (niespliki), brzoskwinie, jabłka i gruszki, śliwki, sadzi arbuzy, orzeszki ziemne.

Jaki ogrom i różnorodność pracy, która wobec możliwości podwójnych zbiorów, bo niema naszej zimy, choć na wyżynach są kilkustopniowe przymrozki, zapełnia i przepełnia rolnikowi czas przez cały rok.

Nie koniec na tem. Oprócz gospodarki rolnej jest jeszcze do wyzyskania dla kolonisty, zwłaszcza w trudnych finansowo początkach osiedlenia się w puszczy, niezawodne źródło dochodu herva maté — drzewo leśne, z którego liści przyrządza się, jak herbatę, napój powszechnie w Brazylji używany jako zdrowy i orzeźwiający.

Herva — to bogactwo Parany. Jej zbiór i przygotowanie do użycia stanowi poważną gałąź przemysłu i, obok drzewa, najgłówniejszy przedmiot eksportu (w r. 1913 — 46.065.554 kilogramów).

Jest tem dla Parany, czem kawa dla sąsiedniego stanu S. Paulo, głównego dostawcy tego produktu na rynek światowy.

Z krótkiego zarysu eksploatacji rolnej kolonisty, uwydatnia się już różnorodność klimatu i gleby, tak hojnie obdarowanej przez przyrodę Parany i warunkami, sprzyjającemi kulturze wszelkich stref.

Najodpowiedniejszą dla naszych rolników, zanim się zaaklimatyzują na nowej ziemi, jest środkowa część t. zw. „Campos Geraes". Są to płaskowzgórza, wzniesione na kilkaset do tysiąca i więcej metrów o klimacie najzdrowszym w Brazylji, umiarkowanym (17° przeciętna temperatura roczna), o niezwykle urodzajnej glebie.



Widok wybrzeża morskiego w Rio de Janeiro w porze wieczornej, rzęsiście oświetlonego lampami elektrycznemi. W oddali rysuje się słynny wierzchołek C o r c o v a d o — (igła), wznoszący się 2.200 stóp nad poziomem morza.

Poprzerzynane dolinami rzek (główna Ignassi), pokryte naprzemian lasami i stepami, nadają się znakomicie do uprawy zbóż i roślin pastewnych, do hodowli bydła. Campos Geraes są śpichlerzem Parany, a zczasem stać się tem mogą dla całej Brazylji, dzięki wytwórczości rolnej kolonistów polskich, których tu głównie osiedla rząd, zakładając kolonje, ciągnące się od stolicy Stanu Kurytyby w kierunku zachodnim, promieniujące ku północy i południu.

Kolonje rządowe obejmują od kilkuset, do kilku tysięcy lotów, jak jedna z najnowszych: Cruz-Machado (3000 lotów), są zabudowane regularnie i podobnie do naszych wsi. Inne, tworzące się samorzutnie przez prywatny wykup ziemi, przedstawiają bardziej rozrzucone osiedla.

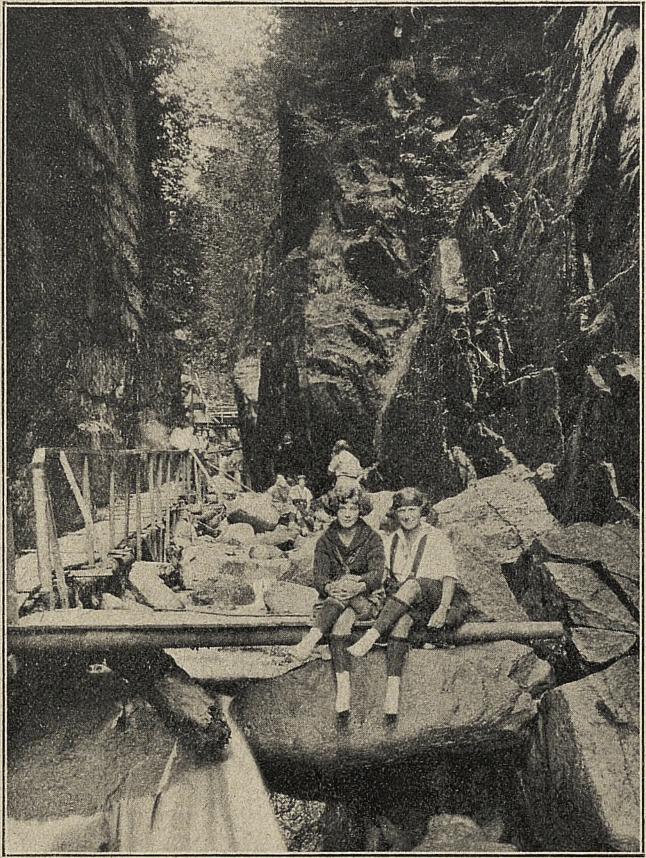
Centrami życia ekonomicznego i kulturalnego, rynkami zbytu, są miasta, przedewszystkiem stolica Kurytyba, dalej Aramaria, Ponto Grossa — węzeł kolejowy. Castro Marechal Maket, Porto da Unia. Prudentopolis (ośrodek kolonji rusińskiej) i inne. Punktem wywozu nazewnątrz jest port Paranaqua nad oceanem Atlantyckim.

Kolonizacja pokrywa kraj siecią drobnych gospodarstw — jedyna forma gospodarki rolnej, mająca w obecnej fazie stosunków ekonomicznych Parany rację bytu.

Posiadają wprawdzie rdzenni Brazyljanie wielkie fazendy — majątki ziemskie, ale przeważnie w stanie surowym: lasy, stepy, a na nich stada bydła, konie, muły. Nic się tu, z małemi wyjątkami, rolniczo nie wytwarza poza tem, co dla zaspokojenia bardzo skromnych potrzeb jest niezbędne.

Ta prymitywna gospodarka nie dostarczała, naturalnie, wzorów wyższej kultury, przeciwnie, wywołała częściowo, szczególniej u pierwszych osadników naśladownictwo pod niektóremi względami, jak dbałą hodowlę bydła, wskutek czego nie wyzyskane jest mleczarstwo i obornik, który zastępuje t. zw. „roça", t. j. popielisko po spaleniu zapuszczonych na ugorach zarośli.

Jednakże wciąż idzie ku postępowi przy współdziałaniu rządu, który, coraz więcej oceniając korzyści z rozwoju rolnictwa w wybitnie rolniczym kraju, robi propagandę w tym kierunku przez instruktorów i zakładanie pól doświadczalnych, roz-



Alpinistki amerykańskie na biwaku w Białych górach" w „Stanach Zjedn. Ameryki Półn. Widok przedstawia jeden z największych wąwozów, który został wydrążony przez lodowce.

dawnictwo nasion i szczepów owocowych, sprowadzanie reproduktów, popieranie wzorowych gospodarstw.

Ze strony samych kolonistów widać dążenie do coraz intensywniejszej, połączonej z drobnym przemysłem gospodarki, a bodźcem do wzmożonej wytwórczości, która ma tak rozległe pole w Paranie, będzie uregulowanie dróg komunikacyjnych i zapewnienie rynków zbytu.

Dużo w tym względzie już zrobiono z przeprowadzeniem kilku linij kolejowych i wytykaniem nowych, trudno jednakże nadążyć finansowo i technicznie z wszelkiemi ułatwieniami wobec rozległości mało zamieszkanego kraju.

Oddalenie kolonij, tworzonych tam, gdzie można było zdobyć odpowiedni teren dla rolnictwa, od ważniejszych punktów komunikacyjnych, spowodowało uzależnienie kolonisty od wendystów, których spotyka się po kilku i więcej w każdej kolonji — głównie Polaków i mniej obcych.

Oni trzymają handel wiejski w swych rękach, są odbiorcami produktów rolnych i dostawcami wszelkich towarów, nie wyłączając spirytualji, pomagających do ubijania interesów, oni prowadzą miejscową politykę, panują niejako nad życiem kolonji. Inteligentniejsi i ambitniejsi przykładają się do zorganizowania i podtrzymywania szkoły i pism.

W stolicy i innych miastach główną rolę w kupiectwie na większą skalę grają Niemcy.

Zczasem, kiedy rozkrzewi się idea spółdzielcza, która już zaczyna kiełkować wśród kolonistów, a szkoła przysposobi odpowiednich pracowników, sprawa samopomocy ekonomicznej oblecze się w widome kształty: spółek rolniczych, kas pożyczkowo-oszczędnościowych, kooperatyw spożywczych i wytwórczych.

Przekształcenie istniejących stosunków w tej dziedzinie stanowi o podnoszeniu się dobrobytu, skali życia kulturalnego i społecznego kolonisty, o przyśpieszeniu jego przejścia do wytwórczości przemysłowej, do czego otwierają drogę niewyczerpane bogactwa przyrody Parany, siła wodna niezliczonych rzek i wodospadów, jej przystęp do morza.

Dzisiejszy przemysł w tym Stanie obraca się przedewszystkiem koło lasu: młyny herwowe, tartaki, duża produkcja zapałek, dalej cegielnie, wyrób dachówek, słomianczarnie, garbarnie, parę fabryk żelaza, gwoździ, pierwotne cukrownie, takież gorzelnie (cukier i wódka z trzciny cukrowej), browary — oto mniej więcej zaczątek uprzemysłowienia kraju.

Nietkniętem prawie dotychczas jest górnictwo w Paranie, a wiadomo z tradycji i badań współczesnych, że znajduje się tu miedź, ołów, żelazo, złoto i drogie kamienie, marmur, grafit, mangan, sól, wody mineralne.

Jeśli dodamy, że bardzo niewielka część jej 200.000 kilometrowej przestrzeni jest zaludniona, jakież skarby kryć się muszą w łonie tych „terras duconkecitas" — ziem nieznanych — rozległych dziewiczych przestrzeni, jaka świetna przyszłość ściele się dla tej, zdaniem najwybitniejszych geografów i podróżników (Reclus S. Hilaire), błogosławionej krainy!

J. Jahołkowska.

Oburzającym zbytkiem jest to, co ma nasz sąsiad, a na co nas nie stać.

„Toledo Blade".

Zeszłego lata nie było zupełnie wężów; zapewne wyzdychały, pokąsawszy ludzi, co pili przemycaną wódkę.

„Atlanta Constitution".

Właściciele bydła mają jedną przewagę nad właścicielami samochodów: o Fordzie nie można twierdzić, że to był Rolls-Royce, gdy pociąg go przejechał.

„Rock Arkansas Gazette".

Stwierdzono, że goryl jest przez całe życie wierny jednej towarzyszce; to odkrycie obala teorję o pochodzeniu człowieka.

„Grenville Piedemont".

Bernard Shaw zapowiedział straszną katastrofę, gdyby torysi wyszli z wyborów zwycięsko; jakoż rzeczywiście zabrał się do nowego dramatu.

„Tacoma Ledger".

Moja podróż do Ameryki

Zdzisław Kalinowski

Architekt

Redakcja miesięcznika „Ameryka - Polska" zwróciła się do mnie z uprzejmem wezwaniem, abym skreślił garść wrażeń moich z pobytu w Stanach Zjednoczonych w roku 1920.

Nie jestem architektem piszącym: jestem tylko architektem. Dlatego poczułem się nieco zażenowanym, otrzymawszy zaproszenie Szanownej Redakcji. Pomyślałem: choćbym się postawił na głowie, nie dorównam Sienkiewiczowi. Nie dorównam nawet panu Juljuszowi Huret, znakomitemu francuskiemu feljetoniście, który w dwóch masywnych tomach zebrał wszystko nieomal, co się da powiedzieć o amerykańskiej pracy, o amerykańskich bogactwach, o ludziach, przyrodzie, obyczajach, prawodawstwie, sztuce, sportach, etc. etc.

Jakież więc mogą być moje essay'e podróżne?

Ano, dam to, na co mnie stać. Napiszę przedewszystkiem o amerykańskiej architekturze, o tem żywem świadectwie tężyzny obywateli Stanów Zjednoczonych — i postaram się bodaj w tych kilku stronach bezpretensjonalnego artykułu wyrazić mój podziw dla pracy ludzi z za Oceanu.

Jeżeli Szanowni Czytelnicy potraktują ten krótki wstęp, jako captatio benevolentiae, nic nie szkodzi: człowiek, obeznany z ołówkiem, cyrklem i skalą — bywa w rzeczach słowa drukowanego nieśmiały, jak panna...

— — — — — — — — —

Wyjechałem z Warszawy wiosną roku 1920, zaproszony na Międzynarodowy Kongres architektów, który podówczas odbywał się w Londynie.

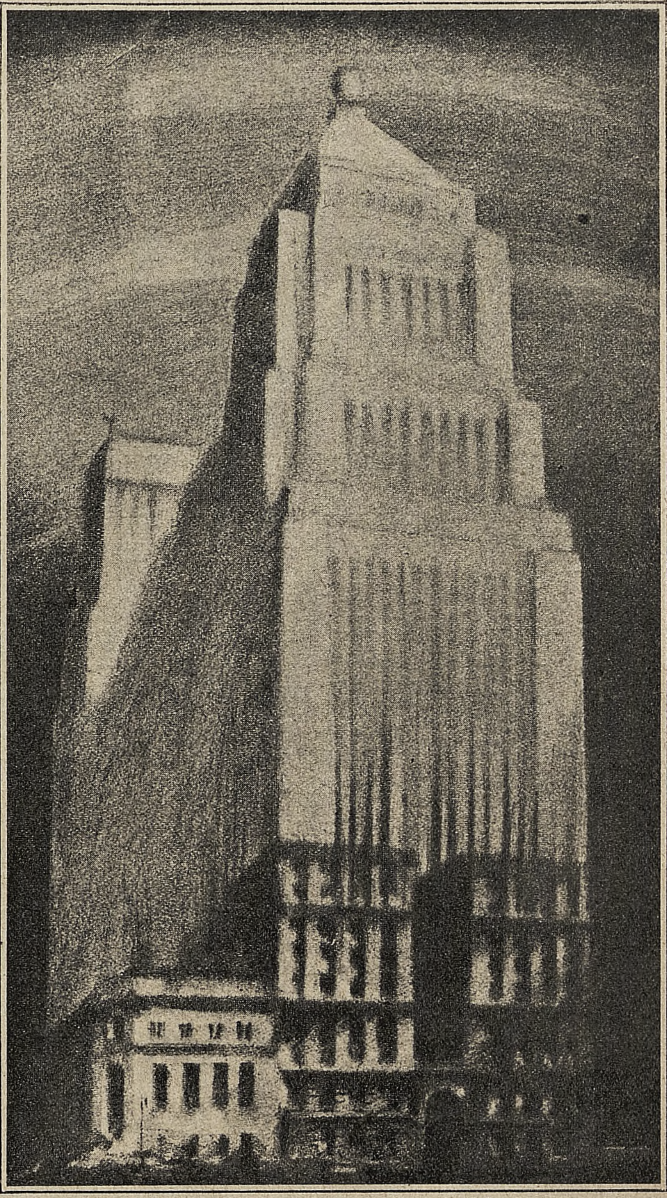
Prace tego Kongresu były niezmiernie interesujące. Reprezentowani byli koledzy architekci z całego świata. Ideą przewodnią Kongresu — ideą, która przyświecała przedstawicielom różnych narodowości i różnych ras — było dążenie do skoordynowania prac architektonicznych, poświęconych tanim — że się tak wyrażę — demokratycznym domom.

Rzecz wielce charakterystyczna: powiał po wojnie nowy, zdrowy i nawskroś żywiołowy prąd; we wszystkich nieomal krajach uczuto potrzebę intensywnego budowania estetycznych i celowych siedzib dla szerokich mas. Głównie dla tych, dotychczas upośledzonych obywateli, którzy pozbawieni byli dobrodziejstwa własnego home'u — i zmuszeni byli gnieździć się w koszarowych, przykrych domostwach.

Sprawdziła się po raz setny prawda maksymy: „Du choc des opinions jaillit la verité".

Dyskusje nasze, wymiana zdań, wycieczki wspólne i studja (wszystko to okraszone przemiłą i wykwintną gościnnością Anglików) dały niezwykle silny impuls do solidarnej pracy.

Nieocenione usługi wyświadczył mi na gruncie londyńskim członek Kongresu, Amerykanin, Mr.



Courtesy of «N. Y. Times» *Projekt nowego drapacza nieba, który buduje bank The Equitable Trust Co. Gmach ten powstaje jako wydłużenie 10-cio piętrowego „drapacza"—Mills Building, wybudowanego w 1882 roku. Z lewej strony, wciśnięty w podstawy kolosów architektonicznych, stoi mały domeczek, lecz jest to dom najpotężniejszy na świecie, albowiem jest to Dom Bankowy J. P. Morgana. Pozostał nietknięty jako relikwia finansowa.*



Bibljoteka im. H. E. Widener'a przy Uniwersytecie Harvarda w Cambridge (Massachussetts). O uniwersytecie tym pisaliśmy w poprzednim numerze pisma naszego.

Edward Bouton, który przedtem już zapoznał się z nami na gruncie polskim.

Mr. Bouton przybył bowiem do Warszawy celem przeprowadzenia studjów nad kwestją mieszkaniową i sposobami ewentualnego sfinansowania poczynań, zakrojonych na szeroką, amerykańską skalę.

Jego to gorącym namowom, jego wyjątkowej uprzejmości zawdzięczam moją ekskursję do Ameryki — i niezapomniane, miłe wspomnienia, jakie z tego kraju wywiozłem.

— — — — — — — — —

Nie wiem, jak reagowali na kuchnię angielską inni moi koledzy. Co do mnie, tyle tylko mogę powiedzieć, że chociaż przyjechałem do Londynu z niezupełnie zdrową wątrobą — wyjeżdżałem w dalszą podróż zupełnie wesół i świeży, jak młodzieniec.

Okazało się, że krwawe roastbeefy i whisky, (pite zresztą z umiarkowaniem) nie tylko nie popsuły mi zdrowia, ale wręcz przeciwnie: dodały sił i zapału do pracy.

A może to nie o whisky chodzi, tylko o atmosferę kulturalną? Dość, że siadałem na statek w Plymouth o dziesięć lat młodszy, niż lądowałem w Douvre.

Podróż przez ocean trwała osiem dni i odbywała się normalnie.

Lodowców ani fok nie widziałem. Wielorybów także nie. Natomiast miałem sposobność rozczytania się w literaturze podróżnej — wszystko, cokolwiek dać może ta literatura — odczułem i przeżyłem.

Najpiękniejszem atoli przeżyciem była znajomość z kilkoma przemiłemi rodaczkami Mr. Boutona.

W ich czarującem towarzystwie upływał nam szybko czas.

Statek połykał mile morskie—a my (zwłaszcza ja!) czary zdrowej, wesołej i niefrasobliwej konwersacji z paniami z Kentucky.

Zamajaczył nam wreszcie któregoś wieczora olbrzymi kontur Posągu Wolności — a w chwilę później — pochłonął nas nowoczesny olbrzym — New-York!

— — — — — — — — —

Zapewne popularności i zasługom mego cicerone to zawdzięczam, że już na przystani nowojorskiej oblegli nas dziennikarze i reporterzy, żądając krótkich wywiadów.

Interesowali się pracami Kongresu Londyńskiego, raczyli się także interesować skromną osobą

polskiego architekta, którego przywiózł do swej ojczyzny Mr. Bouton.

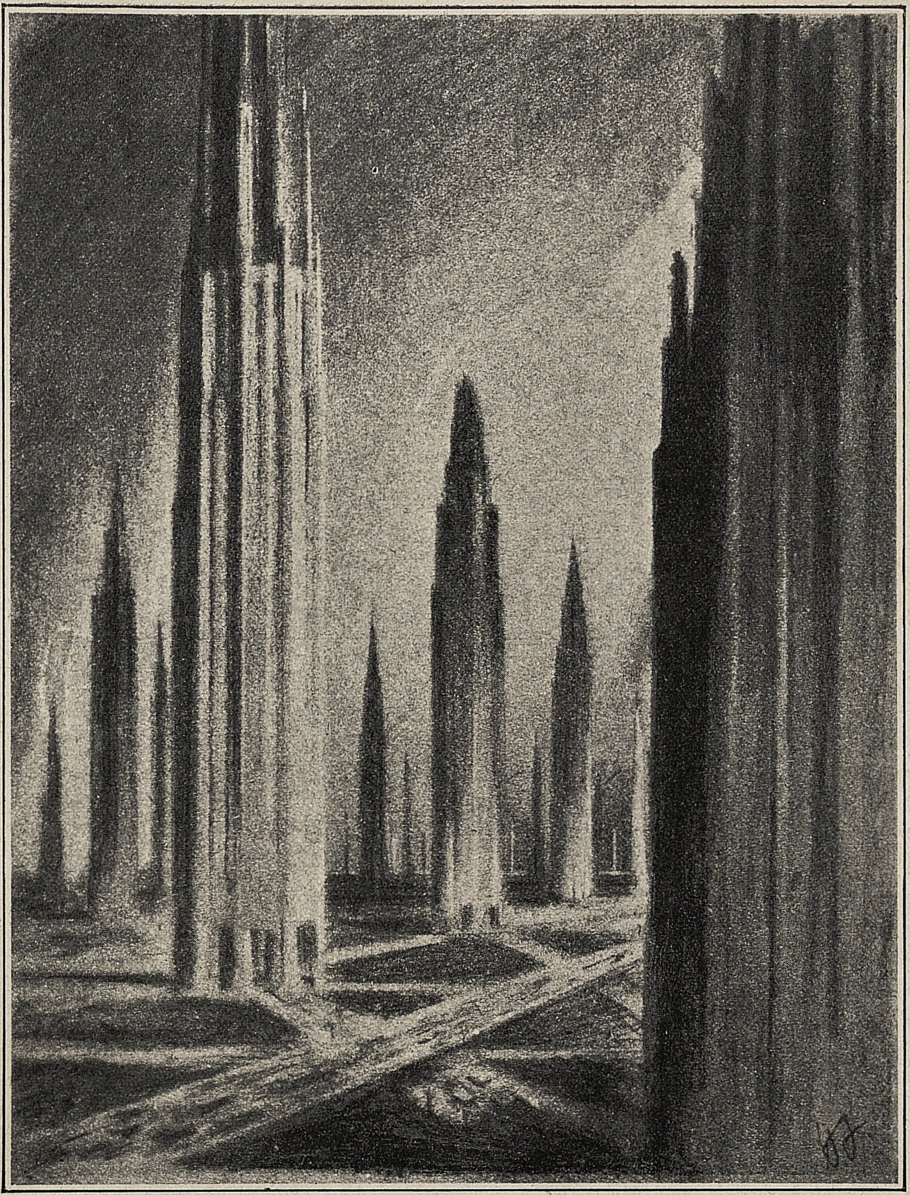
Pisze się dużo o amerykańskim humbugu. Stwierdzić muszę, że większość interview'ów, które czytałem nazajutrz, była napisana rzeczowo i ściśle. Podano zupełnie wiernie nasze intencje— podkreślono doniosłość spółpracy architektów różnych narodowości nad rozwiązaniem problemu mieszkaniowego — wreszcie, wskazano na to, że kapitał amerykański ma szerokie i wdzięczne pole w Polsce—gdzie warunki mieszkaniowe i brak nowych współczesnych mieszkań czynią rozległą kampanję budowlaną jednym z najważniejszych nakazów chwili.

Teraz jeszcze słów kilka o tem, co dla swego rodzinnego miasta, Baltimore, zdziałał Bouton.

Energiczny i dzielny ten człowiek (Prezes wielkiego Towarzystwa budowlano-terenowego Roland-Park Company), jeden z pierwszych w Ameryce zapoczątkował budowę miast-ogrodów.

Na przedmieściach miasta Baltimore (w odległości mniej więcej 3-ch kilometrów od centrum) pobudował nową, parkową dzielnicę, tonącą w przepięknem zadrzewieniu.

Teren zajęty pod nowe miasto-ogród, wynosi kilkaset hektarów. Jest on usiany setkami domów, przedstawiających najrozmaitsze typy cottage'ów. Są też tam domy bardzo skromne — są też budowle luksusowe, jak na nasze warunki—po amerykańsku zaś—okazałe.



Courtesy of «The N. Y. Times» *„Miasto Wieżyc". Fantazja architektoniczna artysty Hugh Ferriss'a, wyobrażająca miasto przyszłości.—„Nasi architekci z większem powodzeniem odtwarzają wizje i aspiracje ducha narodowego amerykańskiego, aniżeli nasi poeci, malarze i muzycy"—tak pisze jeden z publicystów amerykańskich—H. N. Denny.*

Zarówno rozplanowanie tych domów, jak i ich wykończenie, świadczy niezwykle dodatnio o smaku i kulturze amerykańskich architektów. Przedewszystkiem jednak przynosi zaszczyt temu, który z niezwykłym darem organizacyjnym umiał połączyć dobrą kalkulację finansową...

Mr. Bouton wystawił sobie w ten sposób trwały pomnik w swej Ojczyźnie.

Do szczegółowego opisu miast-ogrodów, które miałem sposobność widzieć w Ameryce, przejdę w następnym artykule.

Podzielę się również z Szanownymi Czytelnikami materjałem cyfrowym i fotograficznym, który zdołałem zebrać.

Jedno ciśnie mi się na usta — i na ten właśnie najważniejszy moment pragnę tymczasem zwrócić uwagę.

Oto zarysowuje się już w kraju dolarów nowa polityka społeczna, która wbrew wszystkiemu, co się czyta o zbytkach i luksusie miljarderów — buduje właśnie trwałe podwaliny ładu społecznego, dbałością o dobrobyt najszerszych mas — i o mas tych kulturalne bytowanie.

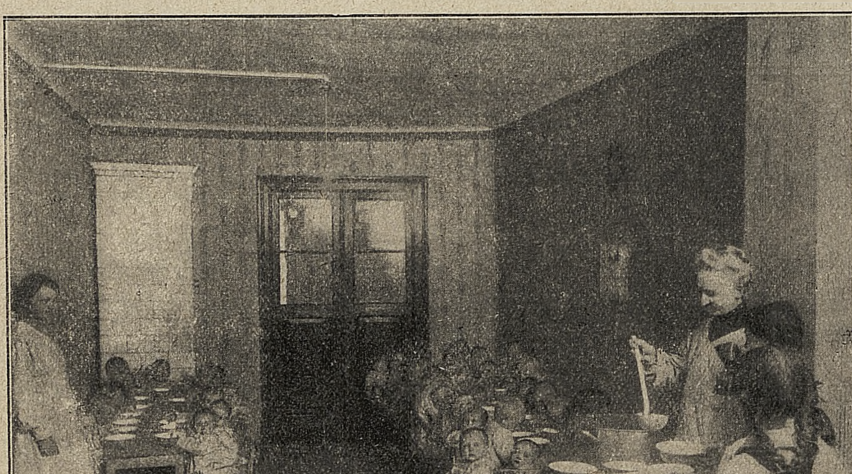
MILDRED BINNS YOUNG *TŁUM. K. OSMÓLSKI*

Działalność Angielskich i Amerykańskich Przyjaciół w Polsce

OD REDAKCJI. Niedawno pisma angielskie doniosły, że Rząd polski wręczył w Londynie pannie Florence Barrow, przedstawicielce Stowarzyszenia Angielskich i Amerykańskich Przyjaciół, t. zw. Misji Kwakrów, która położyła wielkie zasługi w niesieniu pomocy ludności polskiej po wojnie, piękną statuę bronzową dłóta polskiego artysty, p. Kurzawy. Statua ta przedstawia chłopa polskiego, siejącego ziarno, z napisem: „W imię Boga". Na podstawie statuy umieszczone są słowa: „In memory of four years humanitarian work in Poland". („Na pamiątkę czteroletniej działalności dobroczynnej w Polsce.")

Redakcja pisma naszego, pragnąc dać wyraz szczerej wdzięczności Stowarzyszeniu Przyjaciół za jego zbawienną dla kraju naszego pracę, uprosiła pannę Mildred Binns Young, obecną nader gorliwą działaczkę tej organizacji w Polsce, o skreślenie artykułu, z którego Czytelnicy mogliby się dowiedzieć o szczegółach tej wielkiej, pełnej poświęcenia, pracy. Na podstawie przedstawionych gołych faktów społeczeństwo nasze wyciągnie dla siebie dostateczne wnioski, by na wieczne czasy być wdzięcznym nie tylko za piękny dar „Ludowi Polskiemu" w postaci szkoły i sierocińca w Kołpinie, lecz i za całą działalność Stowarzyszenia Przyjaciół w najcięższych dla kraju naszego chwilach.

Praca nad niesieniem pomocy, którą zapoczątkowało po wojnie Towarzystwo Przyjaciół w kilku krajach, została rozciągnięta w r. 1919 na Polskę, gdzie fala powracających uchodźców wywołała wówczas epidemję tyfusu. Pierwsza jednostka sanitarna do zwalczania tyfusu została wyekwipowana i rozpoczęła swą pracę w Zawierciu. Dezynfekowano tam ludzi i mieszkania, rozdzielano odzież, założono stację mleczną i kuchnię oraz pracownię, w której potrzebna odzież wyrabiana była przez ludzi potrzebujących zajęcia. Później rozciągnięto pracę na Nadworną i na okoliczne wsie.



Pora obiadowa w Sierocińcu. — Pulchniutkie twarzyczki dzieci świadczą o dobrym i zdrowym pokarmie.

W czasie zwalczania tyfusu Misja Angielsko-Amerykańskich Przyjaciół była proszona o udzielenie pomocy zakładom dla dzieci. Złe odżywianie i ówczesne choroby były wprost przytłaczające w tych źle wyposażonych i przeludnionych schroniskach dla tysięcy sierot, pozostałych po wojnie. Brakowało pożywienia, odzieży i środków leczniczych, które też w znacznych ilościach były przez Towarzystwo Przyjaciół rozdane. Prócz tego we wszystkich miastach Polski był zorganizowany system dostarczania zakładom dla dzieci świeżego mleka. W r. 1922, gdy cały ten system został oddany w ręce polskich komitetów, dostawa mleka dosięgała dziennie 63.000 litrów, przysyłanych z 17 centrów, rozrzuconych po całej Polsce.

Została następnie zorganizowana akcja przeciwgruźlicza pomiędzy dziećmi. Gruźlica była wtedy bardzo rozpowszechniona w kraju skutkiem złego odżywiania i złych warunków życia w czasach wojennych. Specjalne powiększone racje żywności na przeciąg kilku miesięcy oraz ciepła odzież i mleko rozdzielono pomiędzy ubogich dzieci, cierpiących na suchoty. Poczyniono też szereg prac, mających na celu zaznajomienie ludności z walką przeciwgruźliczą i wysłano do Paryża specjalistę lekarza dla zbadania najnowszych sposobów leczenia tej okropnej choroby.

W tym samym czasie ucząca się młodzież cierpiała nadzwyczajnie. Brak środków naukowych i rzeczy niezbędnych, czynił walkę



„Suszenie" dzieci w Ameryce. Jak niemowlęta bez matek i nianiek korzystają z dobrodziejstw słońca i powietrza.

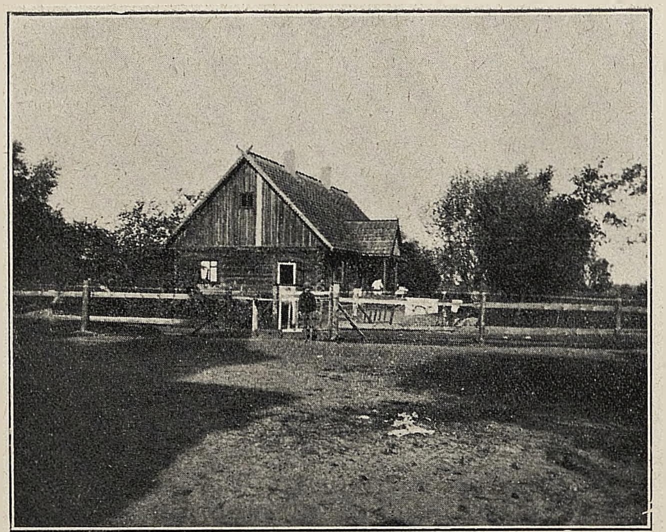
o wiedzę wprost bohaterską. Pomocy udzielono za pośrednictwem organizacji uczącej się młodzieży. Później Wszechświatowy Ruch Studentów Chrześcijan chciał przejąć pracę, zapoczątkowaną przez Przyjaciół. Wówczas zwrócono uwagę na nauczycieli. I tu znowu dawał się uczuwać brak wszystkiego, co jest niezbędnem do życia.

Wiele rzeczy, przeważnie odzieży, sprzedano młodzieży po ccnie własnej. 76 zakładów naukowych wspierano w ten sposób i pieniądze, uzyskane za rzeczy, były zwrócone tym zakładom na zakładanie bibljotek i kupno przyrządów gimnastycznych.

Położenie zrujnowanego gospodarstwa rolnego było przerażające. Ludność nie posiadała ani domów mieszkalnych, ani żywego ani martwego inwentarza, ziemia zaś leżała odłogiem wskutek działań wojennych. Jesienią 1921 roku Rząd zwołał naradę i zaprosił Misję Towarzystwa Przyjaciół, która zapoczątkowała już wtedy pomoc rolniczą w powiecie hrubieszowskim, by przedstawiła plan pomocy w sąsiednich powiatach. Jej propozycje szły w dwóch kierunkach: 1) że należy wypracować plan umożliwienia włościanom kupna pożywienia i niezbędnych rzeczy i 2) że, uwzględniając konieczność ciągłej odbudowy przez rozwój życia gospodarczego kraju, jak największą ilość rodzin włościan uchodźców winna zorać przynajmniej po 1 morga gruntu. Misja podjęła się dostarczenia tysięca pługów, o ile Rząd dostarczy tysiąc koni wojskowych. Plan ten został przyjęty i konie oraz



I sierociniec ma swoją kąpiel słoneczną, w której dojrzewa i hartuje się nasze najmłodsze pokolenie.



Jeden z domków Sierocińca w Kołpinie.

pługi zostały zorganizowane w oddziały pod kierownictwem przodowników. W latach 1920 — 21 — 22 i 23 zorano koło 25.000 morgów, i dostarczono wieśniakom po najniższych cenach wiele krów, koni, owiec i gęsi. Inwentarz i ziarno rozdzielono pomiędzy tych, których gospodarstwa były gotowe do zasiewu. Podczas tych czterech lat jarzyny w dziesięciu odmianach, w ilości dostatecznej na obsadzenie jednego morga, były dostarczone 36.000 rodzin. Plon, otrzymany z nich, dał możność zmiany odżywiania, co było niezbędnem dla głodującej ludności. Okazywano pomoc żywnościową i odzieżową uchodźcom, wracającym do swych zagród. Pracę tę prowadzono głównie w zrujnowanych okolicach na wschodzie i północnym wschodzie Polski, a więc w okolicach Hrubieszowa, Hołob, Kobrynia, Smorgoni i kilku innych miast. W tych samych okolicach wydział przemysłowy wydawał ludności len i wełnę do przędzenia, płacąc za tę pracę pieniędzmi, lub rzeczami pierwszej potrzeby. Gotową już przędzę znowu dawano włościankom do tkania, materjały zaś sprzedawano najbiedniejszej ludności po cenie kosztu. Ludność w ten sposób mogła zaopatrzyć się w ciepłą odzież. Podczas tej pracy zauważono, że w tych miejscowościach robią piękne koronki i wyszywanki. Zrobiono próbę. Zakupiono trochę przedwojennego płótna, które zachowało się u wieśniaków do tego czasu, pocięto je na różne przedmioty codziennego użytku w Anglji i Ameryce i dano je włościankom do wyszycia według ich oryginalnych wzorów. Wyroby te znalazły gotowy zbyt w Anglji i Ameryce i stopniowo wyszywanie zastąpiło przędzenie i tkanie, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy włościanki przędły lub tkały na użytek ich rodzin. Wyszywanie było stałem zajęciem zimowem w powyższych okolicach. Liczba pracownic waha się w zależności od pracy w rolnictwie, lecz w marcu i kwietniu 1923 r. pracowało przeszło 4.500 kobiet, jedna nad przędzeniem, inne nad tkaniem, inne znowu nad wyszywaniem. Udzielano pomocy lekarskiej na pięciu czołówkach Misji, zwłaszcza kobietom i dzieciom. Na dwu czołówkach chorzy byli obchodzeni regularnie codzień przez pielęgniarki Misji, współpracujące z miejscowymi lekarzami. W ten sposób chorzy mogli być odwiedzani także i w domu. Na jednej czołówce udzielano pomocy od 500 do 600 osobom miesięcznie. Wzdłuż całego wschodniego frontu 900.000 ludzi było bez dachu nad głową. Rząd ofiarował budulec na odbudowanie i w zimie oddziały rolnicze zostały zreorganizowane i dostarczały drzewa zrujnowanym wsiom. Dostarczono wogóle 32.087 m^3 drzewa, ilość dostateczną na zabudowania dla 1600 rodzin. Dwa tartaki, poruszane motorami, zostały urządzone w powiatach Kobryń-Drohiczyn do tarcia ściętego już drzewa. Aż do czasu niedawnego zamknięcia tych tartaków przetarto w nich 3140 m^3 drzewa, t. j. ilość dostateczną na 250 domów.

Były przygotowane dokładne spisy rodzin w każdej miejscowości, gdzie Misja prowadziła swą pracę, a gdy zeszłą wiosną oddziały dostarczania budulcu zlikwidowały swą pracę, wszystkie konie zdatne do pracy zostały sprzedane włościanom po cenie około 13 dolarów każdy.

Latem r. 1923 Misja wydzierżawiła majątek Kołpin koło Brześcia n/B., by założyć tam rolniczą szkółkę-ochronkę, przeznaczoną na dar Towarzystwa Przyjaciół ludowi polskiemu. Głównym celem tej instytucji jest wychowanie sierot, posiadających rolę, na dobrych rolników. Pod kierownictwem wykwalifikowanego dyrektora został zorganizowany osiemnasto-miesięczny kurs rolniczy, sama szkoła zaś została otwarta 15 września 1924 r., mając początkowo osiemnastu uczni. Od tego czasu liczba ich zwiększyła się i obecnie ma ich już 48-miu. Niezależnie od szkoły jest sierociniec, gdzie dwadzieścia dwie sieroty wychowują się w ciepłej i miłej atmosferze. Zarówno sieroty jak uczniowie otrzymują elementarne wykształcenie i naukę ciesielstwa.

Po likwidacji Misji w maju 1924 r., trzy główne przedsięwzięcia, mianowicie: Kołpin Szkoła-Sierociniec, wydział przemysłowy i tartaki zostały przekazane Komitetowi Pomocy Polskim Kresom Wschodnim, łącznie z sumą 1600 funtów szterlingów. Pod tem kierownictwem wraz z kilku przedstawicielami Towarzystwo Przyjaciół Anglików i Amerykanów, praca w tych trzech kierunkach posuwała się naprzód. Tartaki są obecnie nieczynne, lecz Kołpin rozwija się pomyślnie i praca przemysłowa prowadzi się w czterech okręgach: Powursk, Hołoby, Drohiczyn i Horodec.

Towarzystwo Przyjaciół wydało w Polsce do czasu likwidacji, t. j. do 15 maja 1924 r., przeszło 250.000 f. szt. Najwięcej sum wpłynęło z Anglji i Ameryki, lecz niektóre zasiłki otrzymano w Pol-

(Dalszy ciąg p. na str. 64)

Piętnaścioro przykazań byznesu amerykańskiego

Edwin B. Parker
Przewodniczący Komitetu Etyki Byznesowej przy Izbie Handlowej Stanów Zjednoczonych

Byznes wytworzył i wytwarza nadal wśród ludzi nawyk szczerego myślenia i lojalnego działania, a to dlatego, że nawyk ten, według najnowszych badań, jest zdrowy i naturalny z ekonomicznego punktu widzenia. Podstawowe cechy byznesu odzwierciedliły się we wzroście i rozwoju współczesnej, oświeconej cywilizacji, współdziałając w wysokim stopniu ku skierowaniu jej na drogę wytwórczości. Cechy te czyli normy byznesu nie są bynajmniej nowe, ale pożytecznem będzie porównać je ze sobą, omówić i ułożyć kodeks ze zwyczajów, prawideł i norm, istniejących już w umysłach amerykańskich byznesmenów i zbudować z nich praktyczny program (platformę) etyki byznesowej. Pewien kodeks, czy też spis zasad kierowniczych byznesu, który zresztą czytelnik może nazwać jak tylko mu się podoba, jest niezbędnym do zapewnienia chociaż przybliżonego ujednostajnienia sposobów myślenia i działania poszczególnych grup, składających się z licznych jednostek. Rozważania niniejsze skłoniły Komitet Etyki Byznesowej, wyłoniony przez Izbę Handlową, do ogłoszenia jednomyślnej uchwały, ustanawiającej poprostu piętnaście podstawowych „kierowniczych Zasad Byznesu".

ZASADY BYZNESU.

Zanim przystąpimy do rozpatrywania tych zasad, należy zdać sobie dobrze sprawę z tego, jaką jest właściwie działalność byznesu. Otóż jest on z natury swej twórczym i konstrukcyjnym, a działalność jego polega na wytwarzaniu, rozpowszechnianiu i zaspokajaniu wszelkich potrzeb człowieka, powiększając przez to bogactwo świata oraz wartość i szczęśliwość życia.

Pomyślne wypełnienie tej roli jest najwyższym nakazem służby publicznej.

Indywidualna korzyść jest bezpośrednim motywem i bezpośrednią nagrodą w byznesie, lecz nie należy identyfikować działalności byznesu z motywami, skłaniającemi jednostkę do angażowania się weń, tak samo zresztą, jak działalność prawnicza, lekarska, pedagogiczna, polityczna lub techniczna, właściwa odpowiednim zawodom, nie może być identyfikowaną z przyczynami, skłaniającemi człowieka do poświęcenia się tym zawodom. Jeżeli pewien człowiek podejmuje się pewnego byznesu lub poświęca się i sprawuje zawód prawnika, lekarza lub inżyniera, to, posiadając odpowiednie uzdolnienie i oddając się pracy wytrwale i skutecznie, zarabia on pieniądze, ale to nie jest bynajmniej miarą ani też racją jego powodzenia.

Abstrakcyjnie pojęty byznes, w odróżnieniu od indywidualnego przedsięwzięcia, musi mieć swój cel podstawowy, a mianowicie, — zaspokojenie materjalnych potrzeb ludzkości. Doraźny rezultat byznesu może być korzystny dla jednostki podejmującej się służyć publiczności, ale jeżeli ten byznes przestaje zadośćczynić tej podstawowej działalności byznesu, to nie będzie on miał nadal racji bytu.

Każdy człowiek ma obowiązek zarówno względem samego siebie, jak i swej rodziny zarobienia na życie i utrzymanie; jednocześnie też powinien on się w swym zawodzie ciągle doskonalić. Byznes nie zabezpieczy żadnemu człowiekowi utrzymania tylko dlatego, że się go podjął, lecz daje jedynie taką samą, jak każdemu innemu człowiekowi, sposobność do zarobienia na życie, a nawet więcej nieco, co jest już rzeczą osobistych zdolności i pracy.

Z innych zaś względów, każdy człowiek, jako członek społeczeństwa, korzystający z jego opieki, winien jest cywilizacji pewien dług, który może być spłaconym jedynie przez powiększenie bogactw świata, to jest, dając w ciągu życia więcej, aniżeli biorąc, czyli stwarzając lub produkując więcej, aniżeli konsumując.

Dziś dzieje się to samo, co przed 1900 laty, że leniuch, nie użytkujący swych sił i zdolności, pozbawiony jest, drogą działania praw ekonomicznych, nawet tego, co posiada, celem większego jeszcze wzbogacania tych, którzy mają więcej, lecz którzy jednocześnie wykazali swą zdolność i ochoczość do użytkowania boskiej mocy stwarzania i produkowania, zwiększając drogą swych fizycznych, umysłowych i duchowych wysiłków dobrobyt świata.

Osiągnięte w ten sposób bogactwo jest własnością czyli tytułem właściwym każdemu wytwórcy, p o t ę g u j ą c y m w nim zdolność do wytwarzania, a jednocześnie zwiększającym jego obowiązki w stosunku do bliźniego.

CZY MOŻNA CO ZARZUCIĆ WIELKIM INTERESOM?

Jeżeli zyski pewnej jednostki są współmierne z wielkością oddanej przez nią usługi, to im większym będzie jej zysk, tem większą będzie wartość tej jednostki dla świata. W tym wypadku określenie „wielki byznes" nie będzie już posiadało tego złego znaczenia, jakie mu się częstokroć nadaje, a wielka fortuna stanie się raczej zaszczytnem godłem aniżeli zarzutem.

W najdawniejszych okresach ewolucyjnego rozwoju cywilizacji, to jest gdy handel przeżywał swe dzieciństwo, byznes polegał na współzawodnictwie sprytu w wysiłku, zmierzającym do przezwyciężenia przeciwnika i zapewnienia sobie korzyści. Pole działalności jednostki było wówczas stosunkowo niewielkie, a wszelkiemi byznesowemi stosunkami kierowano z zasady osobiście.

W wyjątkowych tylko wypadkach zdarzało się, żeby dwu ludzi zawierało ze sobą wiele tranzakcyj, a wobec tego jednostka nie dbała o wyrobienie sobie dobrej reputacji zapomocą uczciwości w stosunkach i dobroci towarów.

Caveat emptor czyli niechaj kupujący sam się strzeże — było prawem w byznesie u Rzymian. Prawidło to mogło istnieć jedynie w okresie pierwotnej cywilizacji, ale obecnie nie ulega już wątpliwości, iż na podobnej podstawie nie ostoi się długo żadne większe przedsiębiorstwo, którego powodzenie ugruntowane jest na stałem poparciu wielkiej liczby ludzi, zamieszkujących często odległe części świata. „Dobra wola" stała się niezbędnym atrybutem każdego trwałego byznesu. Wzajemne, ślepe zaufanie pomiędzy wytwórcą, sprzedawcą i konsumentem jest twierdzą obronną współczesnego handlu, a to wymaga uczciwego trudu i wielkiej akuratności w zaprezentowaniu wyrobu. Im większym jest więc byznes, tem większego wymaga zaufania, aby mógł egzystować, a stąd wypływa pierwsza zasada:

Fundamentem byznesu jest zaufanie, wypływające z rzetelności i uczciwości w stosunkach, ze skuteczności usług oraz obopólnej korzyści.

Polityka, polegająca na zbytniem obciążaniu klienteli, przekraczająca godziwe zyski, w myśl zasady, że „publiczność wszystko cierpliwie zniesie", jest polityką niezdrową; w poszczególnych niezwykłych wypadkach może ona dać czasowe powodzenie, lecz nie potrwa długo, gdyż prędzej czy później skrzywdzona publiczność spostrzeże się i odmówi swego poparcia. Należy raczej starać się sprzedawać jak najtaniej, to jest po cenie pokrywającej koszt produkcji plus pewna rezerwa bezpieczeństwa i uczciwy zysk, biorąc pod uwagę wszelkie wywierające swój wpływ czynniki przezorności i związanego z tem ryzyka.

Dobre kierownictwo i zdolność przewidywania zasługują na odpowiednie wynagrodzenie. W przedsiębiorstwach byznesowych, ryzyka kapitalistów, kierowników i pracowników są różne. Straty, spowodowane przez to ryzyko, nie może ponosić publiczność, lecz biorący to ryzyko na siebie byznes, a więc, zkolei rzeczy, jest on upoważniony do rekompensaty za ponoszenie ryzyka.

Byznesowe przedsiębiorstwo powinno w interesie samej publiczności nagromadzić rezerwy, które pozwoliłyby mu na służenie tej publiczności, bez względu na mogące się zdarzyć nieprzyjazne okoliczności, kryzysy lub inne niezależne od niego warunki. Przy określaniu więc należytego wpływu pieniężnego należy wziąć pod uwagę wszystkie wyliczone tu czynniki. Druga zasada brzmieć będzie zatem:

Nagrodą byznesu za oddane przezeń usługi jest uczciwy zysk plus rezerwa bezpieczeństwa, współmierna z poniesionem ryzykiem i czynnikami przezorności.

Każde przedsiębiorstwo byznesowe korzysta z kapitału, kierownictwa, pracy pracowników i znajduje się w stosunkach z publicznością, ma więc ono swe obowiązki względem kapitału, kierownictwa, pracowników i publiczności. Żadne przedsiębiorstwo nie zdobędzie warunków trwałości, a jeszcze w mniejszym stopniu powodzenia, jeżeli nie wypełni powyższych zobowiązań, z drugiej zaś strony zrozumienie własnego interesu powinno skłonić ludzi z tych czterech grup do uczciwości we wzajemnych stosunkach, gdyż to w rezultacie swym popłaca. Gdy oprócz motywów zarobkowych istnieje jeszcze szczera ochota do wzajemnej usłużności, to wówczas zradza się duch współdziałania i harmonji, potęgujący jeszcze bardziej powodzenie, a stąd wywodzi się trzecia zasada:

W byznesie należy mieć odpowiednie zrozumienie dla kapitału kierownictwa, pracowników (robotników) i publiczności.

Nie można prowadzić pewnie żadnego przedsiębiorstwa z korzyścią dla siebie i dla publiczności, polegając jedynie na przypuszczeniach lub niedokładnych informacjach. Przedsiębiorstwo takie zawiedzie wkrótce w wypełnianiu swych zobowiązań w stosunku do publiczności i samego siebie, jeżeli nie będzie stale udoskonalać oddawanych przez się usług pod względem ilości, gatunku i cen. Jednocześnie powinien byznes korzystać z każdej nadarzającej się sposobności i redukować ceny swych usług, nie ze szkodą jednak tych, którzy produkują, przyczem należy mieć o swych własnych kosztach jak najdokładniejsze wiadomości, aby wiadomem było czy się jest dostatecznie wynagrodzonym za swe usługi. Działanie przedsiębiorstwa po cenach niższych od kosztów własnych kończy się nie tylko upadłością, połączoną ze stratami dla kapitalistów i pracowników, lecz również szkodą dla publiczności, pozbawionej przez to obsługi i zdemoralizowaną przez niezdrową ekonomicznie działalność firmy. A to jest podstawą dla czwartej zasady:

Niezbędnym warunkiem trwałości osobistego powodzenia i skutecznego obsługiwania publiczności jest ogólna i szczegółowa znajomość i ciągłe studjowanie sił i faktów, wpływających na stan byznesowego przedsiębiorstwa.

Przedsiębiorstwo byznesowe o tyle tylko daje zarobki i dobrze obsługuje publiczność, o ile celem jego jest trwałość i ciągłość w wykonywaniu tej obsługi, a to wymaga wytrawnego rozplanowania działalności i doświadczonego nadzoru. Dla takiego przedsiębiorstwa niezbędnem jest zdobycie dla siebie zaufania, życzliwości i dobrej opinji za doskonałą obsługę i uczciwość w stosunkach, a to jest przyczyną piątej zasady:

Trwałość i ciągłość w oddawaniu usług są podstawowemi celami byznesu, a wówczas zdobyte doświadczenie zostaje całkowicie zużytkowane, i jednocześnie zdobywa się zaufanie i większą skuteczność w działaniu.

Obowiązki, wypływające z zatrudnienia ludzi, nie kończą się z chwilą wypłacania należnych im zarobków, lecz należy jednocześnie dać pracownikowi w biurze lub w warsztacie taką sposobność, niezależnie od tego czy pracuje on ręcznie, umysłowo lub w kierownictwie, aby byznes i stanowisko, które ten pracownik w nim zajmuje, powodowały wzrost wartości tej pracy, zarówno dla niego samego, jak i dla byznesu, a za jego pośrednictwem i dla publiczności.

Pracodawca jest nie tylko zainteresowany sprawą zatrudniania ludzi, lecz również, chcąc czy nie chcąc, sprawą

bezrobocia. Nie tylko w interesie ogólnym, lecz i swoim własnym musi on w miarę tego, jak mu pozwoli stan ekonomiczny rynku, utrzymywać pewną liczbę stałych pracowników, aby w ten sposób zachować organizację przedsiębiorstwa i uniknąć rdzewienia mechanizmu tej organizacji przez unieruchamianie go. Są to sprawy, wymagające ze strony byznesmena wiele osobistej, przewidującej i obejmującej szerokie horyzonty inicjatywy. A to jest treścią szóstej zasady:

Zobowiązania byznesu względem samego siebie i społeczeństwa winny skłaniać go do stałych usiłowań, mających na celu ciągłość działania, polepszenie warunków dla zatrudnionych w nim, oraz wzrost wydajności pracy pracownika i danie mu sposobności do awansu.

Poszczególne byznesowe przedsiębiorstwa są tak ze sobą powiązane i wzajemnie od siebie uzależnione, że niewykonywanie zobowiązań przez jedno z nich szkodzi w wysokim stopniu drugim.

Oto dlaczego wzajemne zaufanie uznanem zostało za nienaruszalną i świętą podstawę dla powodzenia w byznesie. Nie należy więc brać na siebie żadnych zobowiązań, nie mając pewności dobrego wywiązania się z nich, a jeżeli już zostały przyjęte, to winny być rzetelnie i w całości wypełnione, niezależnie od możliwej zmiany warunków i ich wpływu na te zobowiązania. Słusznem więc jest prawidło, że umowa jest dopiero wówczas dobrą, gdy jest dobrą dla obu stron, ale zastanawiać się nad tem, czy umowa jest dla nas korzystną trzeba zawsze jeszcze przed jej zawarciem. Jest to powodem siódmej zasady:

Przedsięwzięcia i umowy, zawarte na piśmie lub ustne, powinny być wypełnione co do joty i w duchu tych umów. Zmienione warunki nie upoważniają do ich unieważnienia bez obopólnej zgody.

Ósma zasada wypływa sama przez się z tego, co już było powiedziane. A mianowicie:

Towary powinny być przedstawione takiemi, jakiemi są w rzeczywistości, a usługi winny być wykonane skrupulatnie.

WSZYSCY SĄ JEDNAKOWO ZOBOWIĄZANI WZGLĘDEM DOBRA PUBLICZNEGO.

Korzyści przedsiębiorstwa byznesowego są jednocześnie korzyściami dla społeczeństwa, którego jest ono cząstką. Dobrze pojęte korzyści własne i zrozumienie konieczności służby dla ogółu skłaniać będą do oszczędności we wszelkich dziedzinach współdziałających w wytwarzaniu bogactwa. Gdy tej oszczędności nie stosuje się w kapitale, pracy lub materjałach, to wówczas byznes nie wypełnia swego podstawowego zadania. Spowodowane przez to straty ponosi nie tylko to poszczególne byznesowe przedsiębiorstwo, lecz również cały ogół, a to jest treścią dziewiątej zasady:

Niedopuszczalnem jest marnotrawstwo w jakiejkolwiek bądź postaci — kapitału, pracy, usług, materjałów lub sił naturalnych i należy stale dążyć do unikania go.

Z ostatnich dociekań wynika, że każde przedsiębiorstwo byznesowe jest bezpośrednio lub pośrednio spokrewnione ze wszystkiemi innemi byznesami, będąc jednocześnie odrębną cząstką wielkiej i złożonej struktury ekonomicznej, posiadającej zasadnicze znaczenie dla ogółu. Wynika stąd, że każdy byznes posiada pewne obowiązki i odpowiedzialności w stosunku do drugiego, a wszystkie byznesy razem są do pewnego stopnia związane z interesem ogółu, co jest powodem dziesiątej zasady:

Potępienia godne są wszelkie ekscesy w rodzaju zalewu kredytowego, zbytniego rozszerzania się interesu, nadmiaru w zakupach, zbytniego zbytu towarów, bo to wytwarza sztuczne warunki, powodujące kryzysy i zastoje.

Każdy byznes zasługuje sobie i korzysta z powodzenia nie dlatego, że przezwyciężył swych konkurentów lub wyzyskał ich niepowodzenia, lecz raczej dzięki dobroci swych towarów lub obsługi. Konkurencja w obsłudze publiczności wychodzi tej ostatniej na dobre.

Szukanie przewagi w byznesie drogą szkodzenia konkurentowi jest nieetycznem i jest potępionem przez wszystkich uczciwych ludzi. Postępowanie takie może być połączone z marnotrawstwem szkodliwem dla interesów ogółu, a stąd wynika jedenasta zasada:

Nieuczciwa konkurencja, polegająca na postępkach, które cechuje zła wiara, oszustwo, sprzeniewierzenie lub wyzysk połączony z handlowem przekupstwem, jest szkodliwem marnotrawstwem i złem publicznem.

Byznes ugruntowuje swe powodzenie na doskonałości swych własnych usług.

Wojna z natury swej jest destrukcyjna, a pokój — konstrukcyjnym. Orężem wojny jest przemoc, a narzędziem pokoju — ugoda. Wynikiem zaś niezgody i walki w byznesie jest ekonomiczne marnotrawstwo. Zdrowa polityka byznesu nakazuje więc szybkie i przyjacielskie rozstrzyganie sporów, powstających pomiędzy pracownikiem i pracodawcą, pomiędzy sprzedawcą i kupującym, pomiędzy spożywcą i producentem i pomiędzy wszelkiemi innemi osobami, a stąd — zasada dwunasta:

Spory należy w miarę możności rozstrzygać drogą polubownej ugody lub bezstronnego arbitrażu.

Przekonano się już niejednokrotnie, że akcyjna forma organizacji sprzyja wydajności, zapobiega marnotrawstwu, zwiększa wytwórczość i redukuje koszty jednostkowe. Pewna zorganizowana korporacja posiada swą odrębną fizjognomję, swój własny charakter i swą indywidualność. Korporacja składa się z indywidualności różnego pokroju i stanowiska, które nią kierują. Duszą korporacji staje się nadane jej zabarwienie, postać i charakter oraz życie, siła i duch, które tchnęły w nią te indywidualności.

Jednostka nie wyzbywa się bynajmniej odpowiedzialności wskutek korporacyjnego działania, lecz przeciwnie odpowiedzialność jej wzrasta w tym stosunku, w jakim działalność korporacji jest donioślejszą od działalności poszczególnej indywidualności. Kierujący korporacją są przedewszystkiem odpowiedzialni względem swych akcjonarjuszy, a ponadto, działając w roli reprezentantów, stają się odpowiedzialnymi w stosunku do innych, a mianowicie pracowników i publiczności, którą obsługują, a nawet w stosunku do swych konkurentów, ale należy także zaznaczyć, że od odpowiedzialności tej nie mogą się uchylać ani kierownik korporacji, ani też akcjonarjusze przez stworzenie pewnej legalnej fikcji czyli stworzonej sztucznie osobistości. Wywodzi się stąd trzynasta zasada:

Korporacyjna (akcyjna) postać byznesu nie uwalnia jednostki od moralnych zobowiązań. Poczucie odpowiedzialności u osób, działających w charakterze reprezentantów, powinno być tak samo silne, jak w chwili działania we własnem imieniu.

Współdziałanie byznesmenów w wygłaszaniu i przestrzeganiu racjonalnych norm w prowadzeniu byznesu i w zdobywaniu oraz rozpowszechnianiu wiadomości, niezbędnych do rozumnego kierowania byznesem i zapobiega-



„Safety" — znaczy bezpieczeństwo. Dzieci od maleństwa uczą się poznawać niebezpieczeństwo ruchu ulicznego.

jących nadużyciom, leży zarówno w interesie prywatnym jak i publicznym. Współdziałanie to nie posiada bynajmniej właściwości ograniczających fizycznie handel i wymianę, bo to byłoby niesłuszne pod względem ekonomicznym i nieprawne. Współdziałanie to wpajałoby ograniczający autokrytycyzm, dzięki któremu byznes wypełniałby racjonalnie swą rolę, co jest zgodne z prawem.

Żadne wierzenie ani też kodeks nie może i nie powinien być niezmiennym, ponieważ istota pewnego czynu zmienia się z chwilą, gdy czyn tęn powoduje w zmienionych warunkach inne rezultaty. To, co jest dziś etyczne, racjonalne ekonomicznie i zgodne z prawem, to może być nieetycznem i nieprawnem dla przyszłej generacji. Zasady kierownicze byznesu, poddane rozważaniom przez Izbę Handlową Stanów Zjednoczonych, mają na celu sformułowanie podstawowych zasad, które, teoretycznie biorąc, powinny być niezmienne, ale wszyscy byznesmeni winni utrzymywać ścisły kontakt ze zmieniającemi się ekonomicznemi i innemi warunkami, i muszą być zawsze przygotowani na rozszerzenie lub zmodyfikowanie w razie potrzeby tych zasad.

Współdziałanie stowarzyszeń przemysłowych, handlowych, zawodowych i rzemieślniczych, mające na widoku powyższy cel, jest twórcze i leży w interesie zarówno byznesu jak i publiczności. A stąd c z t e r n a s t a z a s a d a:

Pożądanem jest zgodnie z prawem współdziałanie byznesmenów, zrzeszonych w pożytecznych byznesowych organizacjach, mające na celu przestrzeganie kierowniczych zasad byznesu.

Wzrost i rozwój byznesu oraz postęp i dobrobyt całego społeczeństwa wymagają, aby inicjatywa i dążenia ku lepszemu jednostki nie były krępowane, a jak wiadomo skrępowanie to wzrasta, w miarę wzrastania interwencji regulaminów rządowych do spraw byznesu. Skądinąd zaś sposoby i praktyki, mające na celu zapewnienie byznesowi bezpośrednich zysków, bez oglądania się na dobro ogółu i na ostateczne skutki tego dla samego byznesu, powodują często w interesie publiczności ograniczające nakazy i regulaminowe prawodawstwo.

Tymczasem przeciwdziałanie temu znajduje się w mocy samego byznesu, gdyż może być i powinien on być rządzony i kierowany zapomocą własnych prawideł i kierowniczych zasad byznesu, popartych przez najskuteczniejszą sankcję, jaką jest zdrowa opinja publiczna, wytwarzana i podtrzymywana przez sam byznes. Stąd p i ę t n a s t a z a s a d a:

Byznes powinien się sam tak prowadzić, aby zasłużył sobie na zaufanie ogółu, czyniąc przez to zbędnem ograniczające go ustawodawstwo.

Należy wziąć pod uwagę to, iż wszystkie te kierownicze zasady byznesu posiadają swe źródło w światłych motywach dobrego zrozumienia własnego interesu. Nie są one częściowo, ani też w całości rezultatem uczuciowości lub altruizmu społecznego marzycielstwa, które rozróżnia mgliste odblaski odległych wizyj, lecz nie wskazuje nam drogi, po której mamy do nich zdążać.

Niniejsze zestawienie kierowniczych zasad byznesu ma za zadanie nadanie ideałom bardziej praktycznej szaty. Wskazana przez nie droga jest dość jasną, aby praktyczny człowiek mógł po niej kroczyć. Niechaj te zasady staną się wyznaniem wiary amerykańskiego byznesu.

Niechaj one będą wyrazem naszych ideałów, do których zdążać będziemy każdego dnia w ciągu roku w naszem życiu praktycznem. Niechaj piętno ich widocznem będzie i jasno uzewnętrznionem w każdem biurze, w każdym pokoju buchaltera i w każdej fabryce w całym kraju, aby każdy mężczyzna i kobieta zatrudnieni w byznesie mogli wchłaniać je i żyć niemi, i aby tworzyły osnowę i wątek wielkiej tkaniny naszego narodowego byznesu i wywierały swój wpływ na inne kraje.

Zasady powyższe wyrażają sobą poprostu praktyczny idealizm, zaszczepiony w umysłach i sercach cieszących się powodzeniem amerykańskich byznesmenów, a jednocześnie usuwają zasłonę konwencjonalizmu, ukrywającą ten idealizm przed ogółem ludzi.

Przekład Z. Koczorowskiego.

Ukształcanie obywateli w szkołach amerykańskich

Stanisław Centkiewicz

Leży przede mną dzieło Artura Williama Dunn'a „The community and the citizen", uznane jako podręcznik do nauki o wychowaniu obywatelskiem w szkołach powszechnych Stanów Zjedn. Nauka ta stanowi bardzo poważną dziedzinę w wychowaniu młodzieży amerykańskiej i ogarnia coraz szersze kręgi. Potrzebę jej uzasadnia prof. Dewey w „Ethical Principles Underlying Education", mówiąc: „Celem szkoły nie jest wychowanie obywatela, umiejącego jedynie wykonywać nakazy prawne, być pracowitym i posłusznym członkiem społeczeństwa. Szkoła winna wychować obywatela czynnego, pełnego inicjatywy, posiadającego zdolności obserwacyjne i analityczne, zrozumienie czynników dodatnich w organizacji społecznej i dążność do ulepszania warunków bytu społecznego".

Wychodząc z powyższych założeń, A. W. Dunn przeprowadza na stronicach swej książki bardzo szczegółowo i pracowicie obmyślany praktyczny program wykładów, obejmujących całokształt nauki o obywatelstwie. Pragnąc wychować obywatela państwa, należy najpierw wychować dobrego członka danego środowiska społecznego: gminy lub miasta. Należy to jednak czynić indywidualnie, zależnie od danego osobnika i środowiska, w jakiem się znajduje.

A. W. Dunn żąda, aby dzieci same opracowywały najwięcej żywotne tematy ze swego otoczenia, swego miasta — i same starały się je rozwiązać, poczem dopiero następuje dokładny pokaz praktyczny z objaśnieniami nauczyciela, wycieczki do instytucyj komunalnych i t. p. Niektóre miasta, jak np. Newark, Indianapolis i in., stale informują młodzież o postępach w swej organizacji, zaznajamiają z najnowszemi zdobyczami w dziedzinie techniki administracyjnej. Dziecko więc samo ma możność bezpośredniej oceny pożytku, płynącego z organizacyj i instytucyj społecznych oraz wyrobienia sobie istotnego szacunku dla rządu i samorządów, które te instytucje stwarzają; poczucie potrzeby solidarności i współpracy z rządem. Dziecko winno stale uważać siebie za dorosłego obywatela kraju i jako takie dążyć do określenia swego stanowiska, potrzeb i celów w swem społeczeństwie.

Dziecko np. samo winno zrozumieć znaczenie podatków w życiu państwa, winno orjentować się w cyrkulacji wpływów i rozchodów państwowych — aby w przyszłości móc z łatwością rozstrzygać leżące przed niem zagadnienia i trudności.

Wytwarza się w ten sposób specjalny „zmysł obywatelstwa", który polega na samorzutnej obronie interesów swego państwa i społeczeństwa.

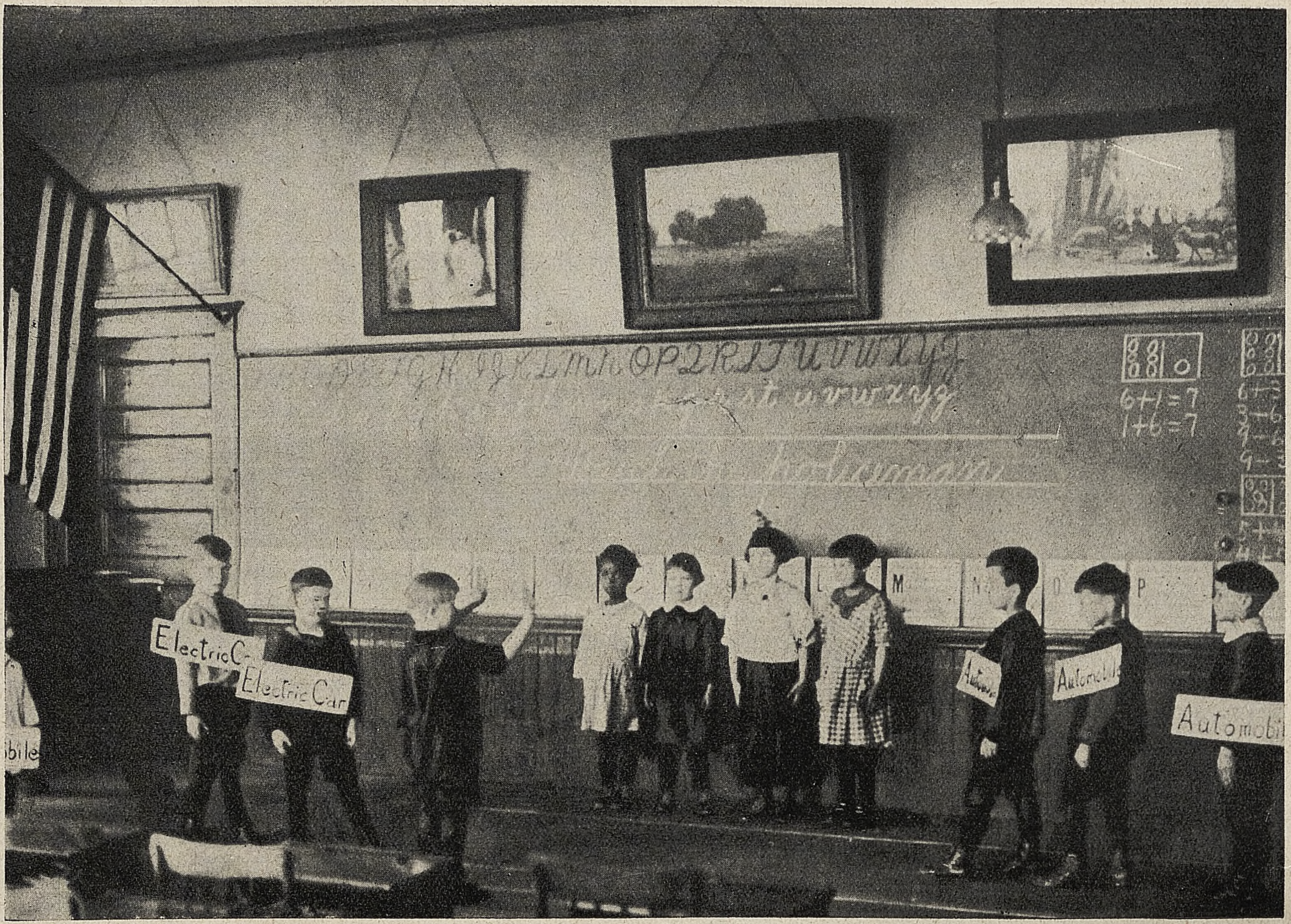
Wykształcenie szkolne dąży do tego, aby dziecko zrozumiało, że zagadnienie społeczne jest i będzie dlań stale żywotnem, aktualnem, aby posiadało chęć do udziału w życiu publicznem, chęć stałej współpracy z miastem, narodem i wreszcie rodziną — w imię wspólnych interesów; umiejętność samodzielnego wyszukiwania metod pracy.

Dla przykładu przytaczam metodyczną lekcję o „opiece miasta nad zdrowiem mieszkańców i higjenicznemi warunkami ich życia".

Uczniowie sami stwierdzają istnienie chorób, epidemij; badając przyczyny, wskazują na nieświeże jedzenie, brudną wodę, zarazki w powietrzu,



Widok ulicy na przedmieściach większych miast w Stanach Południowych Ameryki Północnej.



Zabawa dzieci w szkole amerykańskiej „w ruch uliczny". Jeden z chłopców gra rolę policjanta, który zatrzymuje przechodniów na skrzyżowaniu ulic, ażeby przepuścić rzędy samochodów i wagonów tramwajowych.

szkodliwość wielkich skupień etc. Omawiają rezultaty wysiłków utrzymania czystości w ich domu, na ulicy, w mieście. Wysiłki te są wynikiem współpracy różnych jednostek i instytucyj. Akcja ogólna centralizuje się w zarządzie miejskim, który wydaje przepisy i zarządzenia. Rozumowanie przechodzi więc od pojęcia „zdrowia obywatela" do pojęcia „rządu", który się tem zdrowiem opiekuje. Lekcja taka daje pole do 1-o zainteresowania ucznia zdrowiem swojem i najbliższych, 2-o wytworzenia pojęcia celowości współpracy społecznej, 3-o wytworzenia pojęcia „rządu" jako instytucji opiekuńczej.

Wypadek, np., sprzątnięcia śniegu przez uczniów przed szkołą daje możność rozwoju pojęć: inicjatywy, odpowiedzialności społecznej, potrzeby kontaktu i oddziaływania na społeczeństwo w sprawach bezpośredniej konieczności. Fakt taki jest przykładem i bodźcem do dalszego **działania** społecznego.

Należy jednak pamiętać zawsze o skali umysłowej młodocianych obywateli; nigdy poza nią nie wychodzić, w miarę rozwoju wieku tylko modyfikując powagę zagadnień.

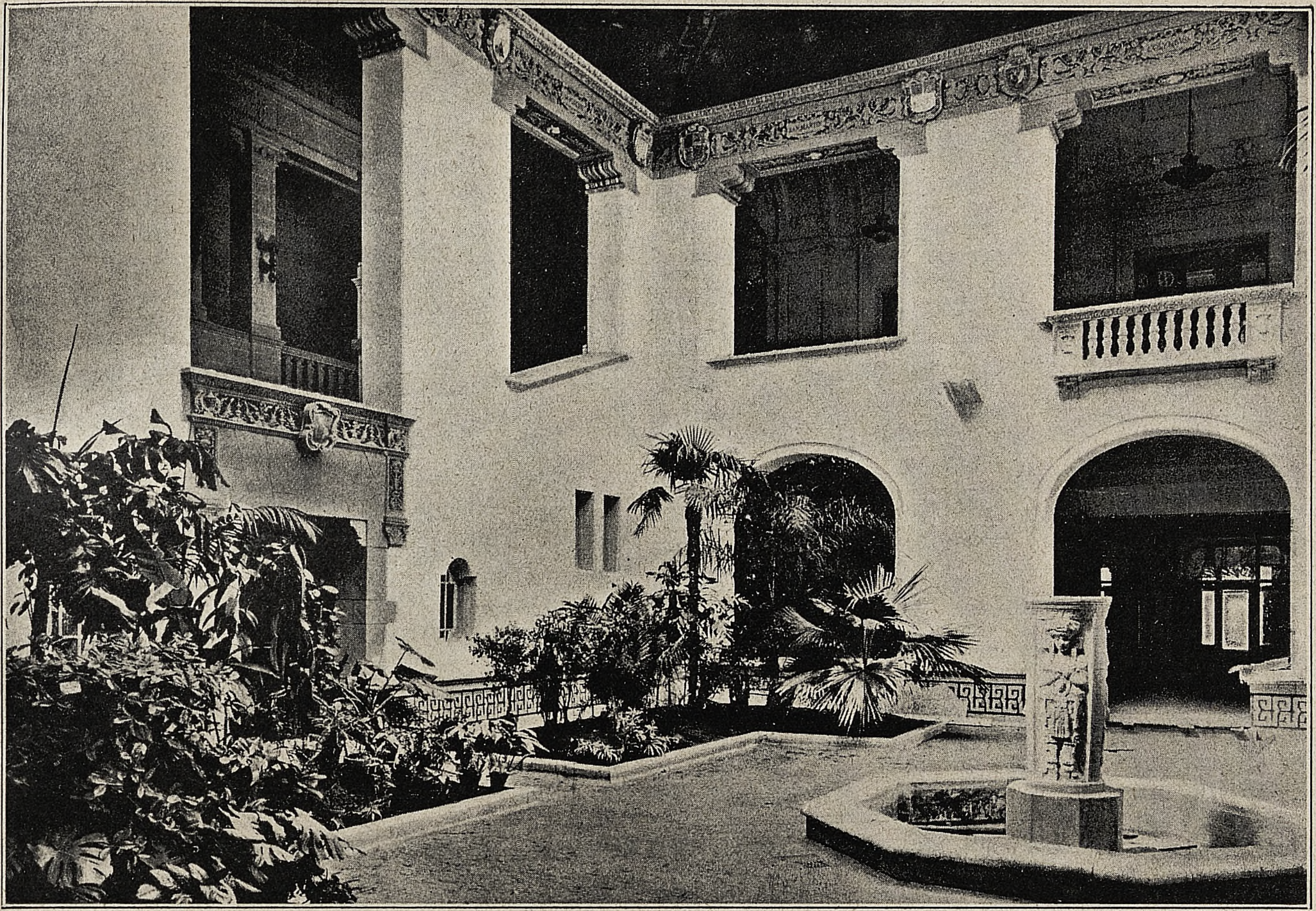
Poniżej szerzej omówię dział „piękna społecznego" w wychowaniu obywatela Stanów Zjednoczonych — tutaj pragnę jedynie podkreślić powagę i znaczenie tej wielkiej nowożytnej nauki.

PIĘKNO JAKO WYTWÓR SPOŁECZNY.

Wykład poniższy stanowi jeden z działów ogólnej „nauki o obywatelstwie". Celem jego jest wykazanie dzieciom, jaką rolę winien grać poszczególny obywatel w pieczy nad zewnętrznie estetyczną formą środowiska, w którem mieszka. Postaram się przedstawić rozumowanie, które, według A. W . Dunn'a, winno doprowadzić do tego wniosku.

Rozwój cywilizacji i skupień ludzkich zasadniczo nie wpływa dodatnio na podniesienie piękna naturalnego przyrody.

Wprost przeciwnie! Tam, gdzie stąpnie człowiek, natychmiast giną piękne lasy i łąki, a ku niebu jeżą się kominy fabryczne, zatruwające powietrze dymem.



Biuro Międzynarodowe Republik Amerykańskich w Waszyngtonie. Widok przedstawia dziedziniec tego okazałego gmachu.

Niektóre gminy, pragnąc przeciwstawić się bezmyślnemu niszczeniu przyrody, wydają zakazy i odpowiednio sugestyjnie wpływają na swych obywateli.

Takiej opiece zawdzięczamy w Ameryce piękno Yellowstone Parku i wodospadu Niagary — jednak przyroda nie może upięknić samych skupień ludzkich: miast i wsi. Tutaj inicjatywa należy do człowieka.

Inicjatywa ta winna zacząć się od swego mieszkania. Trzeba pamiętać, że mieszkanie i dom stanowią pierwsze komórki wielkiego organizmu ludzkości.

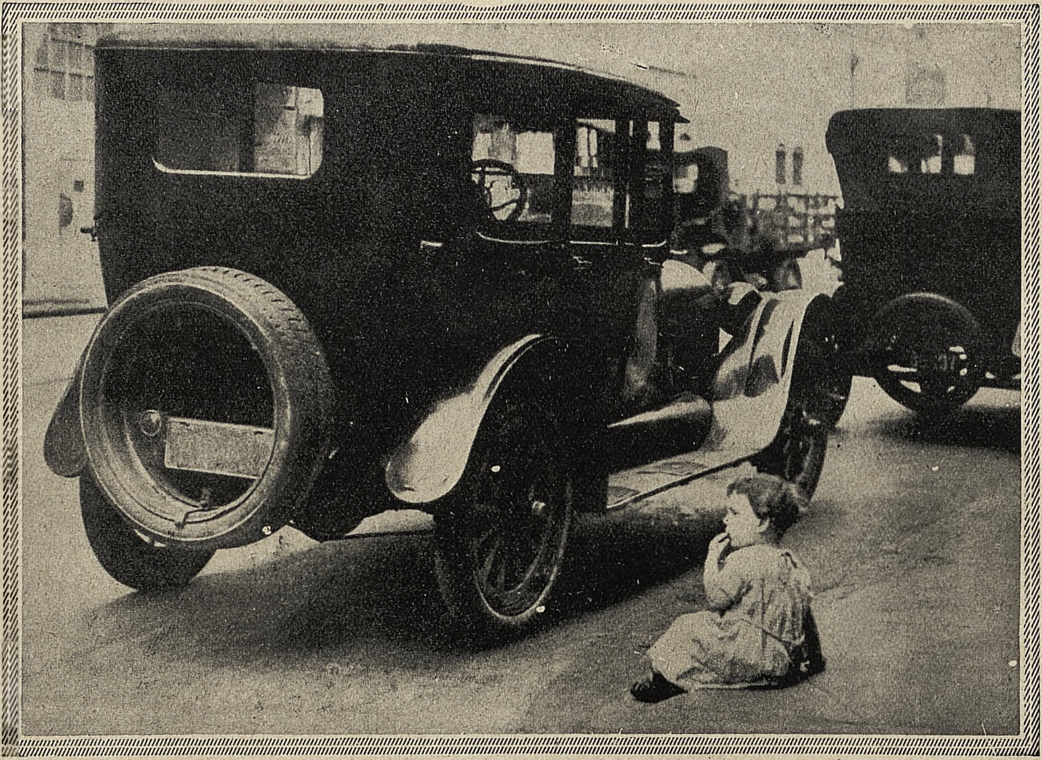
Brzydkie, nieestetyczne mieszkanie przygnębiająco wpływa na człowieka i nie rozwija w nim skłonności do pieczy nad swem miastem wogóle.

MIESZKANIE NAJLEPIEJ CHARAKTERYZUJE SWEGO WŁAŚCICIELA.

Stwierdzono, że gdy tylko w najuboższej dzielnicy robotniczej zjawi się jedno, czyste, ładnie urządzone mieszkanko z kwiatami wyglądającemi przez okno — natychmiast sąsiednie domy starają się upodobnić i w ten sposób wygląd estetyczny dzielnicy szybko się polepsza. Tutaj jest wielka rola dla dzieci. Dzieci winne najpierw dbać o wygląd swego mieszkania. W Cleveland, np., powstał „Home Gardening Association", który postawił sobie za cel upiększenie mieszkań swych rodziców, upiększenie swego klubu i szkoły. Dzieci te najpierw doprowadziły do porządku podwórze szkoły swej, następnie zadrzewiły go, obsiały kwiatami — i wkrótce przedstawiało ono bardzo miły dla oka wygląd.

Obywatel, dbający o swe miasto, winien pamiętać o swej części odpowiedzialności za jego czystość. Winien on kontrolować, np., zamiatanie ulic i, zauważywszy gdziekolwiek śmiecie, natychmiast zwracać uwagę miejscowemu funkcjonarjuszowi publicznemu, do którego obowiązek utrzymywania czystości należy. Każdy funkcjonarjusz publiczny winien stale pamiętać, że jest zawsze kontrolowany przez współobywateli miasta. Naturalnie, każdy mieszkaniec powinien również oszczędzać trudu uprzątania śmieci, nie powiększając ich, t. j. nie rzucając papierków, odpadków na ziemię. Pożądane jest, aby wszędzie znajdowały się kosze do śmieci i spluwaczki na ulicach. W tym wypadku tylko od samokontroli obywateli zależy celowość tego zarządzenia.

W dzieci od urodzenia należy wszczepiać tę stałą myśl o rozsiewaniu zamiłowania do piękna i czystości wokół siebie. Dziecko, rzucające papierki na podłogę szkoły, w przyszłości nie będzie odczuwało istotnej potrzeby pieczy nad pięknem swego miasta.



Kiedy dziecko jest pozbawione opieki matki lub dozoru szkolnego—czyż nie łatwo o wypadek?

Stale winno się wpajać konieczność utrzymywania zieleni w mieście. Jedno piękne drzewko, jeden barwny skwer czasami więcej ozdabiają miasto, niż okazały gmach. Dzieci tworzą również specjalne związki, których celem jest ochrona drzewek w ich dzienicy, pomoc ogrodnikowi miejskiemu i specjalna nauka o ogrodnictwie miejskiem.



„Uważaj, kiedy przechodzisz przez ulicę. Oglądaj się na prawo i na lewo, czy nie zbliża się samochód"—tak nauczycielki trenują przyszłych obywateli Stanów Zjednoczonych.

Już w szkole należy zwracać uwagę dzieci na reklamy, które grają tak wielką rolę w życiu współczesnego miasta. Współczesna reklama, oprócz swego bezpośredniego celu zwrócenia uwagi — winna również być ozdobą. Zarządy miast i opinja coraz więcej warunków wymagają od reklamy. W szkole winno się dzieci uczyć zasad współczesnej „nauki o reklamie". Reklama jest jedną z funkcyj współczesnego życia demokratycznego i gra wielką rolę jako czynnik oddziaływania i urabiania obywateli.

Współczesne miasto pod ziemią kryje wszelkie kable, przewodniki, dąży do rozpraszania dymu fabrycznego.

W tej działalności uestetyzowania miasta pomagają w Ameryce specjalne Komitety, t. zw. „Civic Improvement Association", które prześcigają się w pomysłach i projektach. Statystyka wykazuje, że im piękniej, im czyściej jest urządzone miasto, tem mniej jest w niem wszelkich zbrodni i zboczeń. Obywatele więc, polepszając wygląd estetyczny miasta, podnoszą warunki bezpieczeństwa publicznego.

Kończąc jeden rozdział z pożytecznej książki A. W. Dunn'a, należy stwierdzić, że zawarte w niej wskazania metodyczne wnoszą bardzo wiele nowego w tę tak ważną dziedzinę przygotowywania nowych świadomych obywateli Stanów Zjednoczonych

Prorok z Puszczy

Z filmopisu człowieka nieznanego

M. H. Szpyrkówna

(odcinek drugi)

Wśród dwóch olbrzymich ścian puszczy o złotych od zachodu wieżycach drzew, szerokim wyrębem szedł stary człowiek szczególnego i wspaniałego wyglądu. Płócienny samodział ubierał surowo i malowniczo potężną postać, podobną do starego dębu. Pyszna siwa głowa o sokolich oczach i białej brodzie do piersi miała w sobie spokój i moc. Bose, ciemne stopy w plecionych z łyka sandałach stąpały, jak po kobiercu, po wyścielającym wyrąb mchu, przezłoconym tu i tam przez zachodnią igłę słońca. Czasem znów krył się po kolana w paprociach, wystrzelających wachlarzami takiej rozłożystości i bogactwa, że budziły wspomnienia zamierzchłych stuleci, gdy szumiały potężnym lasem, nieskarlonym jeszcze przez starość ziemi.

Wyrąb nie prowadził nigdzie: był sam w sobie — królewska niedbała droga w królewskich ostępach nieprzeniknionej puszczy. Urywał się znagła przy głuchej ścianie lasu, przez który już się skradała tylko skacząca z kępy na kępy przez osypiska, zawały i moczary dzika ścieżka. Stamtąd właśnie, z nieznanej czerni boru, wychynął zgrzebny człowiek, i zmierzał prosto przed siebie, ku przeciwnemu krańcowi wyrębu, gdzie na małej polance widniała leśna chata. Tu się kończyła przestrzeń: za chatą pierścień puszczy zamykał się znów, jak ciemna obręcz tajemnicy, szumiąca naszeptanemi jej przez wieki zaklęciami.

Istnieje cisza poczwórna, jak żywioły: cisza wody, cisza gór, cisza pustyni i cisza puszczy. Każda z nich też uczy właściwości sobie najistotniejszej: woda — melancholji; góry — skupienia; pustynia — nieskończoności; puszcza — mądrości. Człowiek, idący między ciemną kolumnadą niebotycznych patrjarchów puszczy, patrzył przed siebie i nieco wgórę, na ich żagwiące się łuną zachodu szczyty — świece rozpalone ku wielkiej Ofierze Wieczornej. Coś mu musiały powiadać wysokopienne ich szumy; coś musiał wiedzieć o tajemnicach leśnego obrządku: bo gdy nagle wprost pod nogi przez wiadomy przesmyk konarów padł mu wprost pod stopy i usłał się na paprociach jak złoty chodnik, pas ostatniego słońca—zrzucił z ramienia brzemię roślin i ziela, które niósł w płachcie, i przyklęknął w paprociach, szepcąc. Żegnał wraz z puszczą dzień, on, wróż leśnej braci, przez tajemniczą wiedzę człowieczeństwa mocny święcić słowem i ruchem Ofiarę Wieczorną, której niewyświęceni jeszcze bracia jego — dęby — mogli być tylko nieruchomo przytomni.

Pas złota na paprociach skrócił się i zmierzchł. Starzec podniósł się zwolna i, zarzuciwszy naręcz znowu na kij przez ramię, zbliżył się do swego leśnego schroniska. Przed leśniczówką stała, przyparta do ściany z pozatykanych mchami berwion, długa ławka. Zrzucił na nią płachtę z zielem i, otwarłszy niziutkie drzwi wnętrza, schylił się, aby przestąpić próg. Zawrócił jednak, bo kilka cieniutkich i grubszych głosów odezwało się naraz z różnych skrytek osiedla. Były tam poświsty i skrzek, i cieniutkie pobekiwanie. Pokiwał żartobliwie i karcąco głową, ale wyjął z płachty parę przygarści ziela i rzucił na okrągłe denko drewniane w środku polanki. Mała, zgrabna główka leśnej kózki wyjrzała natychmiast z poza najbliższego drzewa i wyciągnęła delikatne nozdrza, węsząc. Dwa króliki, podobne do białych kłębków rozpuszonej bawełny, z koralowemi oczkami w paru zabawnych skokach kicnęły ku strawie. Ze strzechy bezszelestnie spadł na ziemię mały lisek z kitą większą od siebie, a coś, co chrząkało i mruczało, przyciężkim truchcikiem toczyło się przez krzaki. Króliki przysiadły i zastrzygły uszkami, lis stanął słupka, sarna podniosła pytająco śliczne, rzewne oczy.

— To nic, to nic. Nie trzeba się bać! Michaś nie skrzywdzi, Michaś sam jest mały samotniczek! Czyż nie pamiętacie, jakeśmy na wiosnę pielęgnowali Michasia? Poszedł do lasu, ale przecież jest ten sam, nie skrzywdzi przyjaciół, nie! nie!... No, chodź tu bliżej, Michaś! Chodź! Pamiętaj, że ci ufamy. Miś, Miś...

Zwierzątkom zjeżyła się sierść, ale jakgdyby nakazująco wyciągnięta ręka starca trzymała je na niewidzialnej smyczy, żadno nie ruszyło się z miejsca. Kilka par dzikich, nieufnych źrenic leśnego ludku wpatrywało się w krzaki. Rozsunęły się i ukazała się w nich trójkątna, ponura głowa burego niedźwiedzia, piastuna. Jeszcze nie dorósł miary, ale już potężny kark i łapy zapowiadały nie byle co. Wspiął się na łapy i, oparłszy o pień, przyglądał się z wyraźną ciekawością szczególnej leśnej wieczerzy. Wyglądało, że nie jest jeszcze zdecydowany czy ma się zachować jak bolszewik, czy

jak gość? Nagle spadł na łapy i jednej chwili, krótko zasyczawszy, wbiegł na polankę.

Ale już była zupełnie pusta: obok rozrzuconego denka stał tylko wysoki człowiek w bieli. Niewiadomo skąd miał teraz w ręku małą drewnianą dudeczkę, naciętą w rozmaity sposób: wąsko, szeroko lub okrągło wzdłuż. Nie spuszczając oczu z niedźwiedzia, przyłożył ją do ust i zadął. Z drewienka wypłynął drżący, przeciągły, niezwykle czysty ton, który się natychmiast odbił od zwartej ściany puszczy drugiem, trzeciem i dziesiątem echem. Drugi, wyższy i przeciąglejszy, wybiegł wślad za nim w ciszę, błąkając się wśród mrocznych drzew, jak pojedyńczy promień światła. Niedźwiedź utknął krótko i znieruchomiał. Chwilę stał, nasłuchując, zdziwiony i zaskoczony, nie umiejąc zrozumieć, skąd idą dźwięki, któremi jakgdyby grała dokoła puszcza. Stary człowiek, nie odejmując od warg szczególnej fujarki, nie spuszczał oczu ze zwierza. W oczach tych było wszystko, prócz lęku: przedewszystkiem jednak, nakaz woli. Uchwycił chwilę, gdy małe, złe ślepia wykryły nareszcie źródło melodji i przeszły na twarz człowieka, aż napotkały spojrzenie. Chwycił nieufną dziką duszę leśną, wyglądającą z tych oczu, na smycz potężnej siły wewnętrznej pana zwierząt, człowieka, i jak w żelazne kleszcze, skuł ją w nieugiętą wolę poskromiciela. Zwarli się ze sobą źrenicami, jak dwa płomienie — jeden czerwony zarzewiem krwi, drugi biały potęgą ducha — Kain i Abel odwiecznych dziejów świata, dwu braci, z których jeden nie zrzucił jeszcze skór zwierzęcych, ogień zaś płonący na ołtarzu duszy drugiego miły już jest Panu. I oto wielokrotnie mordowany przez dzikiego brata swego z puszczy, Człowiek-Duch idzie doń jednak poprzez stulecia nieobronny naprzeciw i mówi:

— Byliśmy braćmi, lecz dziś nie rozumiesz już mowy mojej. Zatraciliśmy wielkie słowo pierwotne, łączące wszystko, co żyje pod gwiezdnym namiotem naszego wspólnego ojca. Lecz słuchaj! Spróbuję do ciebie przemówić głosem, który nas obu kołysał w zamierzchłych wiekach dzieciństwa. Echa jego krążą zarówno w krwi twojej, jak mojej: to—głos matki-ziemi, która nas obu poczęła. Przyroda przechowuje go dla każdego w swych dźwiękach, tonach, szumach, szelestach; pomiędzy niebem a ziemią słońce i gwiazdy rozpinają miljard strun, które grają dla nas obu zrozumiałą muzyką. Chwyciłem jej ton i będę nią mówił do ciebie, aż przyczaruję twoją ciemną, daleką duszę na złotem jej pasmie tak, że usłyszysz jak przez nią mówię do ciebie:

— Bracie!...

Czy i co uchwycił z niemej mowy muzyki zwierz, niewiadomo. Lecz w zmierzchu, który zapadał, wilgotny od ros i balsamiczny wonią dzikich ziół wyzwalających swe tchnienia, leśna polanka oglądała widowisko szczególne. Wysoki biały człowiek i ciężki czarny zwierz, wyprostowany na łapach, zwarci oczami rytmicznie i miarowo pochylali się na prawo i na lewo do taktu przeciągłych, żałosnych tonów fujarki. Człowiek się pochylał na prawo i niedźwiedź się pochylał na prawo—ton zamierał i niedźwiedź nieruchomiał—człowiek się skłaniał na lewo, i potężny kadłub skłaniał się wiernie za nim. Trzy błyskające łuskami, nieduże węże wychyliły się z traw i, uniósłszy na ogonach bicze ciał, kołysały miarowo płaskie łby ze szpileczkami oczu. Niewiadomy nocny ptak świsnął przeciągle i dziko gdzieś w pobliskim gąszczu i w ślad za zamierającemi tonami leciał jego monotonny, stłumiony jęk. Najdziwniejsze misterjum puszczy odbywało się w ostępie odwiecznych drzew.

Nagle ciężki zwierz zachwiał się i runął na przednie łapy. Głowa mu opadła na mech. Zdawało się, że śpi, albo zgoła nie żyje. Starzec odjął od warg fujarkę, wyprostował się i głęboko, całą piersią odetchnął. Poczem schował narzędzie za bluzę i przykląkłszy przy kudłatem cielsku, wykonał szereg małych pociągnięć przed potężną czaszką.

— Nie będziesz odtąd moim wrogiem. Będziesz mię słuchał, młodszy bracie! Zostawiam ci chleb przymierza. Wrócisz, i będziesz posłuszny!

Położył przy niedźwiedziu kawał chleba i, wstawszy, dmuchnął mu kilkakrotnie między oczy. Zwierz zajęczał we śnie i poruszył się: świadomość wracała. Stary człowiek wyprostował na chwilę ramiona ku ciemniejącemu niebu i wszedł w niskie drzwi chaty.

Nad puszczą zapalały się gwiazdy.

* * *

Nie zawsze, idąc daną ulicą lub poznając nowego człowieka, doznaje się krótkiego rozbłysku, formułującego się w słowach:

— To zaważy w mojem życiu.

Czasem się jednak, o dziwo! — zdarza tępemu zwierzęciu ludzkiemu takie jasnowidzenie doraźne, oświetlające pewien przesmyk losu. Zdarza się tem częściej, im zwierzę jest mniejsze, zaś większy — człowiek.

Marek Odrowąż jadał mało, pragnął wiele, myślał zimno i czuł gorąco. Miał więc dane na prorocze przebłyski. Był jednak jeszcze za mało „z puszczy", aby nie pragnął w swoje lat dwadzieścia cztery zanurzyć się chłonnie i głodnie w samą głębię nurtu życia miejskiego, którego tylko rzadkie rozpryski dosięgały jego czwartaku. Był mało sentymentalny. Nie stał przed furtką losu, błagając o wstęp: zdobył szturmem jego zamkniętą przed niewtajemniczonym bramę, spadł jak piorun na ludzi, którzy mu stali na drodze, i rozmiotawszy ich na strony, ujrzał — kobietę.

A wówczas owa najgłębsza, czasem z dna ciała, a czasem — z wyżyn ducha płynąca u ludzi świadomość szepnęła mu nieodwołalne, jak samo przeznaczenie, słowo:

— Ona.

Nie byłaby jednak „oną" prawdziwego Marka Odrowąża, zachłannika i szaleńca, a studenta nauk ścisłych, gdyby mu się jawiła jako półcielesna jedynie mara proroczych objawień. Przeciwnie. Wychynęła przed nim nagle z fali losu wspaniała, półnaga i roześmiana, w obłoku duszących perfum, w oślepiającej powodzi sztucznych słońc hali filmowej — nawskroś współczesna i nieomal jutrzejsza, modna gwiazda z twarzyczką dziecka, ciałem kobiety i spekulatywnością aktorki. On miał dotąd o wiele za mało pieniędzy, aby poznać życie, ona — o wiele za dużo czasu, aby tego nie uczynić. A oto się spotkali.

I o chwili, gdy jemu, zdobywcy świata, poszukującemu narazie posady, ośmieszonemu i nieszczęsnemu, ona — gwiazda dwu światów!... — zarzuciła, gdy mdlał, na ramiona wypieszczone małe rączki: w astralu, gdzie zjawiska ziemskie projektują się obrazowo i odwrotnie, stała się rzecz szczególna. Dusza Miasta wyciągnęła ślepą mackę i, wydarłszy z miejskiego stekowiska chwytką jemiołę, rzuciła ją z chichotem na młody dębczak z puszczy, aby mu się wessała zatrutemi sokami w krew.

* * *

Nie miss Ljana jednakże (z Łodzi czy Bydgoszczy, matka wiedenka, ojciec komiwojażer, ona, rzecz prosta, „amerykańska Polka") stała się dla Odrowąża pierwiastkiem najsilniejszym. Istaniało coś jeszcze dużo potężniejszego, co zasłaniało nawet jej niewinne oczy i uszminkowane usta: środowisko filmowe, w którem utonął, jak w ruchomych piaskach, z których własną siłą niesposób się wydobyć nawierzch.

Życie, ślimaczące się dotąd za dnia i tylko nocami lecące skrzydłem do gwiazd — runęło nagle z kopyta, jak oszalały koń. Zatracił miarę przestrzeni i czasu. Dzień się zaczynał wędrówką do dziwnych budowli „Filmony". Przemierzał ją zresztą teraz tramwajem, a nie mając Mercedesu, dokładał resztę słynnym samochodem Perpedes. Skoro zaś raz wchodził, wchodził w nowy świat. Gdy wkładał na siebie bluzę robotniczą (stanowisko zastępcy mechanika, jakie uzyskał u „Filmony", obejmowało łażenie po belkach, stropach i zaoliwionych smarami blokach lamp) — wkładał jakgdyby nową skórę. Jak drobne zwierzę morskie, chciałby być cały jedną tylko paszczą, zdolną wchłonąć, nie uroniwszy cząsteczki, niespodziany ochłap strawy, rzucony jego głodowi przez los.

Narazie zdawało mu się, że trafił w środowisko ludzi obłąkanych, w przedziwne koczowisko cygańskie bohemjów sztuki, nie mających stałego miejsca na ziemi. Nad wyraz denerwująca, śrubująca wrażliwość na najwyższy szczebel gorączka trawiła istotę ich życia, jak złośliwy kwas.

Miazmaty uporczywego szaleństwa unosiły się nad wnętrzem filmowem nakształt malarji, nad moczarem; nie ulec temu na czas jakiś było niepodobieństwem, a często atak był powrotny lub nawet przyprawiał o śmierć. W ludziach filmu, tym przedziwnym stopie różnorodnych kruszców pod gorącem potwornych lamp, mieszały się pierwiastki najfantastyczniejsze. Był tam artyzm i paskarstwo, najniższe prostytuowanie sztuki z całym kunsztem technicznej wiedzy i graniczące z bohaterskiem manjactwem spalanie na jej ołtarzu czeków, fortun i zdrowia. Zakładali spółki i bankrutowali, wyszukiwali olbrzymim nakładem groszowe kapitały miłośników i agitowali wrogów, bili głowami o mur i rozbijali głowy — wiedząc, że ich czerepami inni zasztukują dziury. Marzyli o wielkiem, nieodkrytem, niepochwytnem, coraz lepszem—o szalonych możliwościach wykładnika ich życia—ekranu. Wszystko, co było, było nie to, dopiero jutro miało przynieść objawienie. Wszyscy co byli, byli prokurserami; dopiero jutro miało przyjść objawienie. Ludzie ci, jak ofiarnicy nieprzyznanego jeszcze przez urzędową sztukę bóstwa, dźwigali jednodniowe świątynie na jednodniową ofiarę od razu do razu, wiedząc, że życie je zburzyć może jutro obcasem krytyki, zastoju, pechu. Żyli w filmie, dla filmu, z filmem i przez film. Tętno życia warczało dla nich tylko głuchym warkotem motoru, słońcami ich były tylko Jupitery, domem — co dnia burzone i co dnia dźwigane kartony sztucznych ścian. Budowali wspaniałe sceny, odbywali próby, grali, uczyli się, ćwiczyli, wprowadzali się niejako w codzienny unormowany tryb. Potem nagle rozpadali się na grupy jak żywe srebro, zdejmowali się z miejsca, wyjeżdżali w jakieś przedziwne pustkowia z aparatami, lampami, motorami. Koczowali na łonie natury, podchodzili upatrzone zgóry osiedliska nędzy lub też zajeżdżali autami do rezydencyj wielkopańskich, gdzie furczące i skrzekocące maszyny chwytały fragmenty ludzi, murów i wnętrz. Jak rozsypana gromada żerujących po okolicy ptaków, zataczali wytknięte na mapie kręgi i spadali na łup, unosząc milowe tasiemce malutkich, przezabawnych zdjęć. Wówczas zamierające okresami atelier zaczynało tętnić znowu gorączką nerwowego,zadyszanego życia. Tłumy rozbieganych robotników w oczach dźwigały wewnątrz nieobjętej okiem hali potężne rusztowania, z gorączkowym pośpiechem rozstawiali meble, lustra, kwiaty, rozrzucali dywany i drobiazgi. Specjaliści z kwaczami, pomiarami, drabinami sklepywali gorączkowo całość oddzielnych stylowych wnętrz. Zajeżdżały oślepiające Jupitery, jak potworne słońcozbiory białego żaru lamp. Niesamowite rury, świecące parą rtęci, kazały odruchem nagłego bólu zamykać obolałe oczy. Kolosalny, pięćdziesięciomiljonowej siły świec reflektor przesuwał po hali nieruchomą smugę żaru, ścielącą się, jak chodnik, do piekieł. Technicy, nastawieni w swych pracach jak nieomylne wskazówki zegara, regulowali jeszcze nadto srebrzyste tarcze do odbijania świateł i ze zgrzytem przesuwali wiszące na żelaznem belkowaniu u góry olbrzymie lam-

py. Aparaty do zdjęć toczone na wózkach ustawiano tu lub tam podług niezłomnych, matematycznie obliczanych efektów. Biegali chłopcy, aktorzy, statyści. Huk, zgrzyt, skrzybot i nawołujące się poprzez to wszystko głosy ludzkie tworzyły dziką kakofonję, rozpychającą czaszkę wrzaskiem, światłem i upałem.

Nagła przerwa — i wszystko znikało. Ludzie się gdzieś podziewali, światła gasły. Poprzez ciszę zaczynały, jak skrzydła złowrogich ptaków, szumieć olbrzymie wentylatory. A w smugach dwu lamp zostawianych w pozbawionej okien hali, jak nowe, milczące życie, wyświetlały się naukos, zdołu w górę, ku huczącym śmigom powietrza, drżące pasma opyłu—dziwnie niematerjalne w swej przejrzystej delikatności wśród czarnych bloków, żelaza, rumowisk i ścian.

* * *

Czasem w takiej przerwie do odpoczywającego po kręceniu lamp i przesuwaniu bloków Odrowąża przysiadał się astmatyk reżyser, na papierosa. Miał febla do Marka za jego pierwszy „fotegeniczny", jak mawiał, występ ze sceną mordu. Dlatego może uważał za wskazane objaśnić młodego prowincjała, jego zdaniem, objektywnie.

— Rzuć pan to wszystko, młody człowieku, do pioruna i nim czas, idź stąd na zbity łeb! To wam, jednemu z drugim, objektywnie radzę. Dopóki cię nie wciągnęło ze szczętem, idź! Co cię tu trzyma, mechaniku z Kaczych Dołów? No, pytam pięknie! Bo nie te lampy. Co?

— Trzyma schwytanie fatamorgany. Po raz pierwszy jestem w środku mgły, a jednak tę mgłę widzę. Wie pan, jak to na łące? Zdaleka obłok, a wejdzie się na to miejsce — i niema nic! Pusto! Otóż tu — nie jest pusto. Jestem w tem życiu i czuję jego — jakby to powiedzieć?... objektywny, jak pan mówi, szał! Film — to naprawdę puls miasta!

— Bodaj go piorun strzelił, taki puls! Reżyseruję od piętnastu lat, astmy się, młody człowieku, nabawiłem, a myślisz może, że co z tego mam! Gdzie indziej zdobywa człowiek bodaj sławę. Taki Griffith zaczął w Ameryce od niczego, a dziś— — albo taki drugi ten — — Com to chciał powiedzieć? A u nas czego się człowiek dorobi? Astma tu a suchoty w kieszeni! Myślisz może, że się dochrapiesz czego więcej, poeto? Czego patrzysz? Z oczu ci ta gorączka już bucha, tak, tak! Tyleś udany na mechanika, co ja na primadonnę. Film ci pachnie, młodzieniaszku, sława! wawrzyny! miljony!... dziewczynki, he! he! Z temi oczyskami, z tą gębą... Byłbyś Adonisem, gdybyś nie był... mechanikiem!

— A gdyby nawet! A gdyby nawet! Nie wolno? Sam pan mówił, że gdzie indziej ludzie dochodzą z filmu do sławy, pieniędzy, władzy... Mechanik, tak! Ale czyż marzyć nie wolno?

— Wolno, wolno, proszę bardzo! Tylko, że marzeńka to — fiu!... zamki na lodzie!

— Tylko z zamków na lodzie powstają prawdziwe pałace! A jeśli marzenie było potężne, to nawet... niech filmowe Jupitery go stopią docna: sam pęd tej wody zdolen jest stać się burzycielem albo motorem! Zniszczone marzenie nie traci potęgi, tylko ją zmienia w kierunku!

— Fiu! Tyle temperamentu! Aż szkoda na mechanika! Gdybyś był aktorem, grałbyś jak... młode skrzypce!

— Bóg zapłać za dobre słowo! Uprzedzam jednak, panie reżyserze, że jestem, jak Napoleon, takim kapralem, który marzy o koronie cesarza. Nie fascynuje mię rola skrzypiec. Przeciwnie! Chcę być takim, który na skrzypcach gra, więcej! który kieruję orkiestrą i nakazuje wszelkiemu drewnu, jak, co i kiedy ma grać!

— Jak Boga kocham, umarłbym z radości, gdyby nie to, że mam próbę. Kupże sobie, Napoleonku katarynkę za pierwszą pensję mechanika. Tanio, zwraca odrazu uwagę i będziesz mógł kręcić tem, jak chcesz. Zupełne złudzenie fortuny, sławy i władzy. — Oprawiajże tymczasem swoje lampy, czy co tam robisz, a jak staniesz u szczytu i stworzysz... pierwszy sklepik z żarówkami, wal do mnie jak w dym: kupię!... I reżyser ma serce.

* * *

Kiedy i w jaki sposób w życie młodego mechanika weszła piękna miss Liana z Bydgoszczy, nie wiedział sam. Poprostu wsiąkła mu w duszę wraz z gorącem, kurzem i światłami filmowego atelier.

Było to tem dziwniejsze, że rzecz, o której najgoręcej po swym występie początkowym marzył, było zejść jej, na miłość Boską!... — z oczu i nie widzieć długi, długi czas.

Żeby nie widzieć jej zupełnie, o tem jednak nawet nie marzył. Pamiętał jeszcze te przestraszone i roześmiane dziecinne oczy pod litosnem zdumieniem brwi, miękkie, cudownie aksamitne ramiona, rozchwieje bladozłocistych loków, muskających najdelikatniejszy owal twarzyczki... Nie, nie mógł marzyć, aby jej nie widzieć więcej! Czyż podobna, aby więzień za kratą nie chciał czasami spojrzeć na kwiat magnolji z zewnątrz, na którem złoci się słońce? Woń jej perfum, którą uniósł podówczas w pierwszą w swem życiu godzinę niebytu, zjednoczyła się widocznie z nawpół ulatującą duszą, gdyż wróciła z nią razem do ciała już jako część najistotniejsza życia. Na wspomnienie tej chwili omdlenia czuł słaby i rozkoszny, przenikający ciało dreszcz. Ach, znał także kobiety! Ale takie znać może bądź student z czwartaku, bądź niedrukowany poeta. Znał kobiety, ale ta Liana to był kapryśny poemat o kobiecie w puszystych futrach i z ogonem komety, wleczonym przez ekrany świata. Ach, czyż było w niej coś z kanciatej studentki czy owych zmorfinizowanych masek kobiecych po knajpach, urzędowych towarzyszek artysty!

Spotkał ją jednak mimo wszystko, i to w parę zaledwie dni czy w tydzień po wsiąknięciu w „Filmonę". Było to w przejściu, ciemnem i nieco wąskiem, między dekoracjami, prowadzącem z korytarza do atelier. Zaoliwiony, w rozchełstanej przy szyi niebieskiej bluzie robotniczej, majstrował tam przy opornym dźwigu, który nie chciał iść w górę, gdy weszła, już poprzedzona smugą najdelikatniejszej woni. Bez kapelusza, tylko w futrze, z rozrzuconemi po czerni wspaniałego kołnierza złotemi lokami, szła z oczami spuszczonemi, uważnie czytając jakiś monogramowany list i zlekka się uśmiechała. Na Marka, którego nieomal potrąciła, spojrzała mechanicznie, jak na dekorację, przy której stał, zwłaszcza że przywarł do ściany, wsiąkł niejako, rozpłatany, w jej tło. Nie mógł jednak zniwelować w sobie— spojrzenia. W oczach nieistniejącego niemal mechanika musiała być jakaś realna moc, która mijającą go damę chwyciła niejako za złote, rozburzone włosy i kazała jej podnieść oczy przytomnie. Dopiero teraz spostrzegła go naprawdę i ruchem zaskoczonego podziwu podniosła rękę.

— Skąd... ach, no naturalnie, to przecież pan! Przecież to właśnie pana — — tylko ta bluza — — nie poznałam narazie. — — Jakże panu tu jest, u nas?... Nie wiem czemu — — właściwie — — widzę dziś pana pierwszy... raz...

Mówiła coraz wolniej, gdyż uwagę jej mowy pochłaniała zachłanna ciekawość i zdziwienie oczu. Marek je widział wprost siebie, o parę cali od swojej twarzy—cienistoszafirowe, olbrzymie oczy, zdziwione i dziwiące się coraz bardziej, jak u małej dziewczynki, która, nastąpiwszy na tobołek szmatek, wykrywa w nich nagle cudowną lalkę. Oczy te ze szczególną, bezczelną śmiałością mówiły bez względu na słowa ust:

— Czy to ty? Patrzcie! Dopiero teraz widzę, jaki jesteś ładny. Może ta rozchełstana bluza, która rzuca niebieskawy ton na matową śniadość twarzy? Masz cudowne oczy, nieśmiałe i dzikie. To ładne, takie brwi jak czarne dwójskrzydle. To ładne, takie bujne, ciemne, opadające na czoło włosy! Takie czoła mają greccy bogowie. Jesteś niejako... nie z twojej sfery, ty, bohaterze z prowincji! Wyglądasz na to, że chcąc, zdobędziesz, kochając, będziesz gryzł, a nienawidząc, zabijesz! Skąd się tu bierzesz wśród naszych sztucznych lasów, ty — dziki, drapieżny, ładny ptak?...

Niewiadomym szóstym zmysłem ciała Marek tę mowę oczu kobiecych zrozumiał bez słów, ale nieomylnie. Krew buchnęła mu na twarz równie gwałtownie jak przedtem uciekła do serca. Ach, byle teraz nie uwierzyć znowu, nie wziąć gry za prawdę, nie ośmieszyć się drugi i jużby ostatni naówczas raz! Odpowiadać spokojnie — swobodnie — bez afektacji — nie pozwolić sobie na dwie przeklęte krańcowości: wyszczerzanie o byle co kąśliwych kłów za domniemaną obrazę i wyciąganie, jak synogarlica, szyi po każdy pokazany przez żart kawałeczek cukru. — Pamiętać, że się jest mechanikiem — że się jest z prowincji — ach, że się nie jest wogóle! — —

Jednak te oczy o coraz ciemniejącym szafirze na porcelanowej twarzyczce dziewczynki mówiły aż nazbyt wyraźnie, że jest — czemś. Mechanik ścisnął klucz, trzymany w ręku tak, aby zabolało i wrócił do normy. Dopiero wówczas sobie uświadomił, że po raz drugi jest pytany o to samo.

— Nie wiem czy słowo: podoba się, jest odpowiednie do tego jak czuję. Film, to inny świat, nie wiem lepszy czy gorszy. Jeżeli dotąd byłem mrówką zwykłą, teraz uczę się latać. Jest i taki gatunek.

— Och!... Do mrówki jest pan bardzo mało podobny, panie... panie! No, kiedy naprawdę zapomniałam!...

— Jestem... mechanikiem, łaskawa pani. Nawet tylko pomocnikiem. —

— Och! Nie chciałam powiedzieć nic przecież przykrego? Tak się pan zżymnął cały — — Przeciwnie, chciałam właśnie — — Widziałam gdzieś obrazek, taki Lucifer z ciemnemi skrzydliskami, ciskający ziemię w chaos. Właśnie takie brwi nad złowrogiemi, radosnemi oczami. Rodzaj Schadenfreude, że robi przykrość staremu Panu Bogu. Pan ma pewnie też przykry charakter! To odrazu znać, już wtedy jak pan na nas wpadł z temi pięściami... No nie, nic, już nie będę! O Boże, przecież nie można się na mnie gniewać za byle co, panie... pomocniku mechanika! Jestem pusta jak balonik, ale nie chcę nikogo zmartwić — — dlaczego mi pan wydziera rękaw? — —

— Bo nie jestem dziecinnym balonikiem—i nie można się mną bawić, nawet jeśli... ma się mnie w ręku. — —

— Pf! pf! pf! Prycha pan zupełnie jak mój kot. Nie mam w ręku pana, tylko rękaw od bluzy, i tak zresztą zasmarowanej jakiemiś tłuszczami. Wogóle, co za pomysł z tym mechanikiem? Dyrektor, rzecz prosta, jeśli kogoś przygarnie do serca, to poto, aby go wycisnąć jak cytrynę, ale pan nie powinien się był zgodzić! Mechanik!! Co to jest? Stanowisko? Pensja? Dzikie pomysły! Czego pan robi tak godną minę, proszę bardzo? Czy na prowincji jest modą obrażanie się na kobietę co drugie zdanie?

— Na prowincji jest moda... nie dyskutować z paniami kwestji posad i zarobków. I ponadto, na prowincji jest moda, że się obiera środowisko odpowiednio do stanowiska, więc —

— Więc gdy się jest mechanikiem — i to płatnym! — należy patrzeć na lampy, nie na.. gwiazdy — —

— Gwiazdy... Cudownie! Brawo! Nadzwyczajne, jak na Kacze Doły. Nie, nie! Nie jest pan balonikiem, cofam! Co najmniej — aeroplanem, i to pancernikiem, zagwarantowanym od wszelkich wogóle dystrakcyj! Niechże pan patrzy na swoje lampy i —

— Słucham — uważnie — *(d. c. n.)*

Z cyklu Amerykańscy Byznesmeni

Jak pracuje i pracą kieruje Harry B. Thayer

Ubiegłe lata wojny pozostawiły nam w pamięci wiele głośnych nazwisk dowódców wojskowych. Talent i uzdolnienie tych dowódców stanowiły o życiu i śmierci setek i tysięcy ludzi, kierowały losami państw i narodów.

I w czasach pokoju, w warunkach pracy codziennej występują na czołowe stanowiska ludzie, którzy stają się takimi dowódcami we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, socjalnego i politycznego.

Jednym z takich dowódców na terenie walki gospodarczej jest właśnie Harry B. Thayer, prezes potężnego przedsiębiorstwa amerykańskiego, koncentrującego w sobie całą służbę telegraficzno-telefoniczną kraju oraz przemysł związany z tą służbą. Jakkolwiek nazwisko p. Thayer'a pozostaje niejako w cieniu, rzuconym przez najpotężniejsze osobistości Ameryki — jak podczas wojny nazwiska głównodowodzących zaćmiewają czyny poszczególnych dowódców — to jednak stoi on na czele ogromnej armji pracowników i robotników, liczącej około 250.000 osób, obsługującej daną gałąź przemysłu. Jeżeli uwzględnimy, iż armja Stanów Zjednoczonych przed wojną była liczebnie mniejszą, niż armja ludzi, zajętych w tem przedsiębiorstwie przemysłowem, wówczas dopiero uzyskujemy podstawę do porównań pomiędzy dowódcą takiej armji, a np. ministrem spraw wojskowych Stanów Zjednoczonych.

Harry B. Thayer należy do tych niewielu wybitnych byznesmenów amerykańskich starszej generacji, którzy w młodości swej przy pomocy rodziców otrzymali wyższe wykształcenie. Uzyskany dyplom zakładu naukowego nie stanowił jednak dla niego żadnej przeszkody w rozpoczęciu swej karjery życiowej od podstaw, od roli chłopca biurowego, na jakiej „posadzie" ubija się zwykle w Ameryce brudny, bezkształtny fundament dla przyszłego okazałego gmachu życiowego. Szybko i umiejętnie budował on ten gmach, począwszy od swej pierwszej posady w jednem z podrzędnych przedsiębiorstw wspomnianego wyżej trustu, a skończywszy na najwyższym szczycie jego centrali.

Kiedy zapytano ustępującego ze stanowiska prezesa, dlaczego mianuje p. Thayer'a swoim zastępcą, ten odpowiedział: „ponieważ Thayer każdą rzecz umie zrobić lepiej, niż ktokolwiek inny z pośród moich współpracowników. Nie było wypadku, żeby nie znalazł sposobu rozwiązania jakiegokolwiek zagadnienia, jakie ustawicznie stawiałem przed nim".

Zapytany p. Thayer, czy rzeczywiście tak jest, skromnie odpowiedział: „Osobiście nigdy nie rozwiązuję żadnego zagadnienia. Jedynem mojem zadaniem zawsze było odnaleźć takiego człowieka, któryby był w stanie zająć się pewnem zagadnieniem i znaleźć sposób jego rozwiązania. Niekiedy, gdy taki wybrany przeze mnie człowiek starał się mnie przekonać, iż dana rzecz jest niewykonalna, wówczas dawałem mu do zrozumienia, że to *musi* być zrobione. W znakomitej większości wypadków osiągaliśmy tym sposobem pożądany skutek".

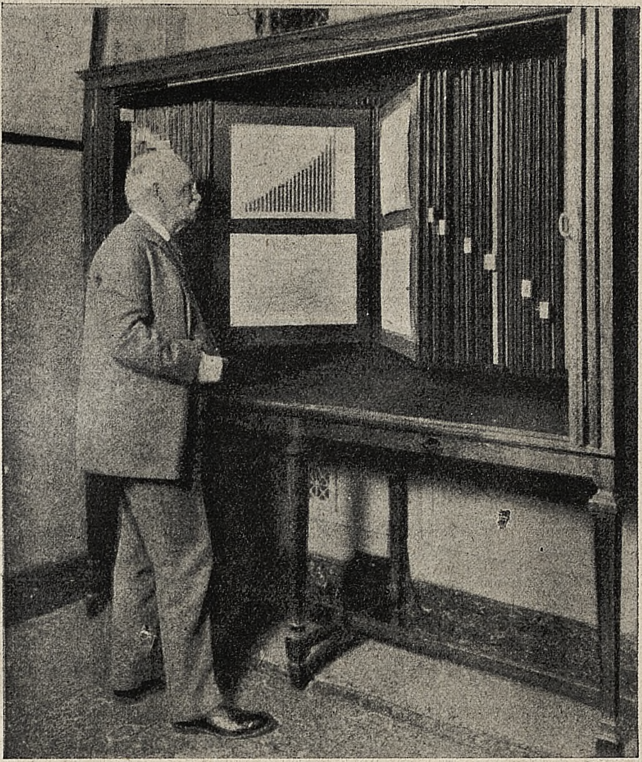
Jeden z jego biografów, B. C. Forbes, na dowód powyższego systemu pracy przytacza kilka przykładów z jego nad wyraz bogatej praktyki technicznej, handlowej i administracyjnej. Oto jeden z tych przykładów.

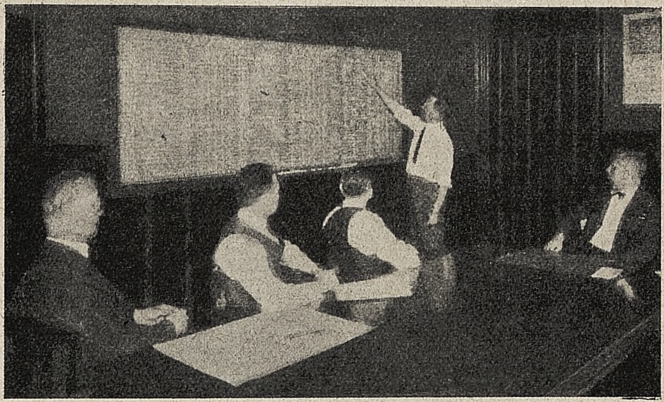
Gdy wybuchła wojna rosyjsko-japońska, pan Thayer wyciągnął z tego wniosek, iż na rynku światowym zabraknie platyny. Wydał też niezwłocznie rozporządzenie o zakupieniu wszystkiej platyny, znajdującej się w podaży. Następnie postawił swym technikom takie ultimatum: „Musimy natychmiast przystąpić do badań, celem zastąpienia platyny czem innem". Zmuszał on swój wydział, zajmujący się specjalnie badaniami technicznemi do ciągłej pracy, nie bacząc na cały szereg niepowodzeń. Dopiero po upływie dziesięciu lat znaleziono wreszcie taką kombinację metali, która w zupełności zastąpiła platynę. Rezultatem tej pracy było to, iż abonenci telefoniczni uzyskali możność zaoszczędzenia wielu miljonów dolarów rocznie.

Admirał marynarki amerykańskiej, Bradley A. Fiske, w dziele „From Midshipman to Rear-Admiral" przytacza następujący szczegół rozmowy z p. Thayer'em:

„Jest pan jeszcze młodym człowiekiem; kieruje pan wielką firmą nowojorską, która rozwija swe interesy z dnia na dzień, a jednak ma się takie wrażenie, jakgdyby pan nic nie robił".

„Istotnie nie mam dużo roboty — odpowiedział p. Thayer. — Są inni ludzie, który tę robotę wykonywają. Staram się trzymać jak najdalej od drobnych szczegółów oraz od pracy innych ludzi. Podzieliłem całe przedsiębiorstwo na oddziały, i szef każdego z nich jest obowiązany prowadzić go zupełnie samodzielnie; pozwalam mu zwracać się







Na rysunku z lewej strony widzimy p. Harry B. Thayer'a, prezesa „American Telephone and Telegraph Company", w swoim gabinecie, gdzie na specjalnych statywach są umieszczone wszystkie dane w postaci tablic, wykresów i rysunków, ilustrujące cały stan kierowanego przez niego przedsiębiorstwa, jednego z największych w Ameryce. Rysunki z prawej strony wyobrażają inne „gabinety marzeń" byznesmenów amerykańskich, w których ci ostatni uzbrojeni w kredkę, cyfry i tablice oraz w inicjatywę przedsiębiorczą snują podczas pracy codziennej wielkie marzenia o rozwoju swych przedsiębiorstw, a zarazem o rozwoju potęgi Ameryki.

do mnie tylko w wyjątkowych razach, gdy znajdzie się w kłopotach. Postarałem się urządzić wszystko w ten sposób, by przedsiębiorstwo pracowało wydajnie bez względu na moją w niem obecność. W ten sposób ja osobiście jestem wolny i mogę czynić to, co podług mnie jest moim obowiązkiem: patrzeć przed siebie i przewidzieć wszystko, by być przygotowanym do zastosowania niezbędnych środków w odpowiedniej chwili. Sądzę też, iż najszkodliwszym zwyczajem jest pośpiech. Człowiek, który się śpieszy przy wykonywaniu swej pracy, rzadko może ją wykonać dobrze".

Nawiązując rozmowę do kwestji materjalnej, do której zwykle młodzi ludzie przywiązują tak wielką wagę, p. Thayer mówił z uśmiechem: „Pamiętam, kiedy odbierałem pierwszą pensję, kasjer, czyniąc zadość formalności, zapytał mnie, ile wynosi mój zarobek. Byłem zmuszony odpowiedzieć mu, iż nie wiem, ponieważ nikogo się o to nie pytałem. Okazało się jednak, że wyznaczyli mi dziesięć dolarów na tydzień. Było to akurat tyle, że kiedy nadeszła zima i chciałem sobie kupić zimowe ubranie, musiałem sprzedać letnie, by zebrać potrzebną sumę.

„W związku ze sprawą wynagrodzenia nigdy nie zapomnę tej myśli, którą wypowiedział jeden z moich zwierzchników w czasach późniejszych: „Jeżeli pan otrzymuje 10.000 dolarów rocznej pensji i w przedsiębiorstwie, w którem pan pracuje, jest dostatecznie roboty dla tak hojnie opłacanego człowieka, pamiętaj pan, że każda godzina pańskiej pracy, którą mógłby wykonać człowiek pobierający 5.000 dolarów, jest najzwyklejszą defraudacją względem tego przedsiębiorstwa".

„Jedynem zajęciem kierownika większej firmy powinno być tylko jej organizowanie. Żadne szczegóły codziennej rutyny nie mogą mieć dostępu do niego. Jego rzeczą jest analizowanie wszystkich zasadniczych funkcyj, wyznaczanie tych funkcyj odpowiednim pracownikom i żądanie, by były one wykonane w formie możliwie zbliżonej do ideału. Ideał ten jednak musi być na tyle elastyczny, by w zależności od mniej lub więcej odpowiednich ludzi, mógł ulegać zmianie. Organizacja, zrobiona na podobieństwo odlewu żelaznego, nie może liczyć na powodzenie. Każdy z nas posiada usta zaopatrzone w jednaką ilość zębów, nie było jednak jeszcze takiego dentysty, któryby wykonał sztuczne zęby dla wszystkich ust podług jednego szablonu.

„W naszej dziedzinie przemysłu — i nie wątpię, iż stosuje się to także do innych dziedzin — stale dążymy do wykonania rzeczy napozór niewyko-

nalnych. Uświadamiamy sobie, iż gdyby taka lub inna rzecz była zrobiona, przyniosłoby to nam wielką korzyść. Wiemy doskonale, iż nikt jej dotychczas nie zrobił i nawet środki, prowadzące do tego celu, nikomu nie są znane. Zwracamy jednak na to całą naszą uwagę, wytężamy wszystkie siły i zdolności, i jest rzeczą zaiste zdumiewającą, jak często przezwyciężając trudnosci, osiągamy cel pożądany.

„Dobre kierownictwo wymaga przedewszystkim, aby rozwój przedsiębiorstwa był zapomocą tablic na pewien okres czasu zgóry wykreślony. Codziennie dokonywane tranzakcje mogą być w ten sposób kontrolowane przez porównanie z temi tablicami. Dla kierownika jest rzeczą nader trudną dokładne uświadomienie sobie tego, w jakiem miejscu procesu wytwórczego się znajduje. Jednak bez tej świadomości będzie on sterował pomacku, naraża się na zboczenie z właściwej drogi.

„Jak kapitan na okręcie, tak samo i kierownik przedsiębiorstwa winien posiadać swą kabinę obwieszoną mapami morskiemi, diagramami, statystycznymi i tablicami wskaźnikowemi, gdzie mógłby badać prądy konjunktur ekonomicznych, poznawać kierunek wiatrów, upewniać się w sprawności maszyn i załogi, wyliczyć szybkość biegu i porównywać wzięty przez siebie kurs z kursem wytkniętym na tablicach.

„Niektórzy kierownicy całą tę kabinę mają w swym umyśle, czyniąc z niej odpowiedni użytek. Inni zaś urządzają sobie rzeczywiste kabiny i zwyczaj ten rozpowszechnia się coraz bardziej, ponieważ możliwości i korzyści, płynące z właściwego tabelowania statystycznych danych, odnoszących się do produkcji, sprzedaży, rynków zbytu, surowców, cyklów ekonomicznych i t. d., zyskują coraz większe uznanie.

„Nasz własny interes wprowadza nas ciągle w zdumienie ilością i wielostronnością faktów, które należy znać i badać. Taka umysłowa, na pamięci tylko oparta, kabina nie byłaby w stanie służyć żadnemu z naszych odpowiedzialnych kierowników.

„Ja osobiście posiadam taki gabinet, który pod wieloma względami przypomina kabinę kapitana okrętowego. Znajduje się on tuż obok mego gabinetu roboczego, w. odległości kilku kroków od biurka. Każdego odwiedzającego mnie współpracownika prowadzę natychmiast do niej, gdzie wspólnie badamy główniejsze fakty, linje i liczby naszego przedsiębiorstwa. Tablice mówią nam o tem, co było dziesięć lat temu, co w poprzednim roku, jak się rzeczy przedstawiają obecnie i jakie są widoki na przyszłość".

A. Mikulski.

Marnotrawstwo w przemyśle

W opracowaniu Cezarego Łozińskiego

(ciąg dalszy)

WYKONANIA ZAKRZYWIONYCH KOŃCÓW.

Inny znowu fabrykant samochodów osiągnął oszczędność setek tysięcy dolarów rocznie przez uniknięcie strat powodowanych tradycyjnem traktowaniem surowego materjału, w danym wypadku—walcowanej stali. Np. stalowe arkusze w handlu są obcięte pod prostemi kątami z końców i z boków. Jednakże nie wychodzą one w tej formie z pod walców, lecz z brzegami krzywemi, z kątami najczęściej zgruba zaokrąglonemi.

Wspomniany fabrykant samochodów, chętny do każdego obniżenia kosztu produkcji, chociażby kilka centów na jednym samochodzie, uznał, iż te zaokrąglone kąty arkuszy, wychodzących wprost z pod walców, dają odpowiednią sposobność do zastosowania takiej oszczędności: „wiele form i wykrojów, które my wytłaczamy z arkuszy i płyt" objaśnił on, „mają zakrzywione kąty lub boki. Gdy są one wycinane z obciętych prostokątnie arkuszy, oczywiście oznacza to bezpośrednie marnowanie materjału. Przy zastosowaniu nieobcinanych prostokątnie arkuszy, zakrzywienie formy wychodzi z zakrzywionej części arkusza. Znaczy to, że przy wycinaniu niektórych form jesteśmy w możności wyciąć o jedną sztukę więcej, gdy arkusz nie został obcięty prostokątnie. Przy produkcji miljonów tych wycinanych form, to wykazuje setki tysięcy dolarów. A do tego dochodzi jeszcze oszczędność na koszcie obcinania prostokątnego w walcowni, co oczywiście znajduje odbicie w cenie kalkulowanej za nieprzycinane arkusze. Zkolei niejednokrotnie jesteśmy w możności otrzymać pasmo z odpadków z boków arkusza lub płyty. Jakakolwiek oszczędność materjału, chociażby najmniejsza w swojej jednostce, musi stać się wielką w całokształcie produkcji. Kładziemy duży nacisk na tę stronę unikania strat i tak jak inni producenci przekonaliśmy się, że jest to bardzo obfite w owoce".

Niedostateczna wydajność pracy jest jednem z najważniejszych źródeł marnotrawstwa w produkcji. W północno-zachodniej części stanu Illinois znajduje się jeden wielki zakład, gdzie procent tego rodzaju strat jest wybitnie mały.

„Nasz główny mechanik, — mówi kierownik tego zakładu, — większą część swego czasu jest zajęty obmyślaniem i instalowaniem jig'ów i przyrządów, które mają na celu ulżenie ludziom pracy. Jest on w tem bardzo pomysłowy. W rezultacie nie mamy dziś operacji, któraby nie była pozbawiona potrzeby cięższego fizycznego wysiłku, dzięki jego pomysłowości. Temu właśnie zawdzięczamy nasze nieznaczne zmiany w materjale ludzkim. Gdy się ludziom pokaże, że się dąży do tego, aby ich pracę uczynić mniej wyczerpującą, są oni skłonni trzymać się tego zakładu.

„Równocześnie niema zapewne w tym zakładzie uprzyjemniającego pracę przyrządu, któryby równocześnie nie zwiększył bezpośrednio wydajności. Zysk jest potrójny: mniej ludzi się zmienia, zwiększona wydajność dzięki mniejszemu zmęczeniu, wreszcie zwiększona produkcja dzięki większemu jej zmechanizowaniu.

„Wiele z naszych jig'ów i przyrządów jest dosyć prymitywne. Lecz wykonywają one swoje przeznaczenie, a możemy ich mieć więcej i zastosować je prędzej, wykonywając je w naszych własnych warsztatach".

SKRÓCONA DROGA DO PREMJI.

Wskazując na człowieka, montującego koła na ciężkich osiach, powiedział:

„Oto przykład — zgruba wykończony przyrząd, zawieszony pod sufitem, służy jako podnośnik. Oczywiście, zwiększył on znacznie szybkość operacji, lecz był w rzeczywistości przeznaczony do zaoszczędzenia wysiłku ludziom, korzystającym z niego. W drugim warsztacie mamy nową maszynę do kół, która zastępuje osiemnastu ludzi i oszczędza sześćdziesiąt dolarów dziennie. Tu znowu mamy przyrząd, który za jednem uderzeniem mocuje dziesięć nitów i redukuje koszt tej operacji z $ 2.60 na $ 1 — na jednej maszynie. Obok mamy wielokrotną wiertarkę, pracującą bardzo szybko i z cofaniem automatycznem po wywierceniu na nastawioną głębokość. Bardzo kosztowna, lecz się opłaci w krótkim czasie. Lecz najwięcej należy podkreślić oszczędność w produkcji, osiągniętą przy pomocy jig'ów i przyrządów, które zostały obmyślane i wykonane tutaj przez naszych ludzi.

„Zapewne nie było jeszcze takiego okresu pokojowej wytwórczości, kiedy pomysłowość, zaradność i talent wynalazczy kierowników, starszych mechaników, majstrów i samych robotników przyczyniały się wydatniej dla dobra firm i swego własnego, niż to ma miejsce obecnie. Wszelkie uproszczenia i oszczędzające robociznę przyrządy są bardzo poszukiwane w obecnej walce o zwięk-

szoną wydajność na dolar robocizny. Presja ta musi wywrzeć poważny wpływ na przemysł w jego całokształcie; musi ona uczynić następne parę lat bardzo obfitemi w oszczędzające robociznę urządzenia i ogromnie pomniejszyć wysiłek fizyczny, związany z przeważną ilością gałęzi wytwórczości".

Funkcjonarjusz wielkiej firmy, wyrabiającej armaturę i przyrządy elektryczne, potwierdza i rozszerza powyższe zdanie:

„My nigdy się nie zatrzymamy przed zakupem kosztownej maszyny wielokrotnego typu, o ile tylko jej wytwórcy zdołają nas przekonać, że jej zdolność wytwórcza nie przenosi zbytnio wytwórczej zdolności innych naszych jednostek wytwórczych, które ją aprowidują lub przez nią są aprowidowane w procesie wytwórczości, oraz że zdolność wytwórcza tej maszyny nie przekracza pojemności naszego odbytu, tak, że może ona zapewnić obniżenie kosztów produkcji przez zaoszczędzenie robocizny. Lecz nim zdobędziemy się na taką inwestycję, musimy wyczerpać wszystko, co możemy sami zdziałać w kierunku oszczędności robocizny i obniżenia kosztów produkcji przy pomocy przyrządów, dostosowanych do naszych dotychczasowych maszyn. Staranie to zaoszczędziło nam wiele tysięcy dolarów, zapobiegło zbytniemu powiększeniu naszych inwestycyj w postaci kosztownych nowych maszyn oraz jednocześnie wydatnie pobudziło ducha zaradności i polegania na własnych siłach w naszej organizacji. Wywarło to bardzo zdrowy wpływ na cały nasz personel.

„Ta sprawa powiększenia wydajności naszych maszyn — co jest niczem innem, jak zapobieżeniem marnowania wysiłku — przy pomocy przyrządów i urządzeń pomocniczych, rozwinęła jeszcze także inną formę oszczędności. Nazwijmy ją kombinacją normalnej wytwórczości z użytkowaniem odpadków. Oto przykład: Jedna firma na wschodzie St. Zjedn. fabrykowała prostokątne zawiasy, tłoczone z metalu arkuszowego. Sprzedawała je sklepom w wielkich ilościach po $ 9 — za tysiąc. Lecz nagle odbyt ustał całkowicie — a to z tego powodu, że sklepy uzyskały możność zakupu tych samych zawiasów po cenie $ 6 — za tonnę od wielkiego przedsiębiorstwa, które się specjalizowało w wytwórczości pokrywek do piast samochodowych. Przedsiębiorstwo było w możności otrzymać większy zysk przy cenie $ 6 za tonnę, niż tamta firma przy cenie $ 9 za tysiąc, gdyż tym razem zawiasy te reprezentowały odpadki fabrykacji. Jedno i to samo uderzenie maszyny, które wytłaczało wycinek dla pokrywki piastowej, równocześnie z odpadków arkusza wycinało pewną liczbę zawiasów. Te ostatnie zatem wyrabiane były z odpadków i do tego bez oddzielnej operacji. Jedyny koszt wycinania zawiasów był kosztem narzędzia.

„Robimy to samo przy tłoczeniu z mosiądzu arkuszowego, użytkując odpadki bez osobnej operacji. Dwa przedmioty zamiast jednego, za każdem uderzeniem prasy — jeden przedmiot z odpadku! Operacja powyższa uwydatnia, co przemysł wszędzie stara się zdziałać w celu obniżenia kosztów produkcji, bez obniżenia skali zarobków".

Typowy przykład sprężystej praktyki oszczędnościowej w obchodzeniu się z narzędziami i rekwizytami znajduje zastosowanie w zakładzie pewnych specjalnych wyrobów metalowych w Aurora, w stanie Illinois. Zakład ten użytkuje drobne narzędzia i przyrządy tysiącami. Zawiadowca narzędzi i rekwizytów tego zakładu jest entuzjastą w zakresie oszczędności. Zapobieżenie marnotrawstwu stało się dla niego jednocześnie sztuką i pasją. Otwierając drzwi swej obszernej zagrody, zaprasza on: „Proszę do wnętrza; chcę pokazać panu, jak się obchodzimy z narzędziami i rekwizytami. Ten nowy system oszczędza nam rocznie tysiące dolarów".

Na piedestałach stały dwie księgi ze stronicami z blachy żelaznej, każdy arkusz zaopatrzony w sprężynowe spinki do trzymania małych kartek papieru. Tego rodzaju księgi są często używane w garażach i wiejskich sklepach do rejestrowania rachunków klientów.

„Jedna księga — tłumaczy zawiadowca narzędziowni — jest dla robotników, druga dla narzędzi. Każdy robotnik ma swój numer i także każde narzędzie. Dajmy na to, robotnik Blencoe przyjdzie do okienka po wiertło 13/64 cala. Jego numer do zegara jest 103. Sprawdzam najpierw jego numer spinki, czy niema w niej karteczki, obciążającej go wiertłem tego wymiaru, o który prosi, które ma numer 508".

KONSERWACJA NARZĘDZI.

„Następnie wypisuję zażądanie na narzędzie w tryplikacie — jedną kartkę zakładam pod numerem zegarowym robotnika, drugą pod numerem zażądanego narzędzia, wreszcie trzecią wydaję robotnikowi do zachowania i zwrotu wraz z narzędziem. Robotnik cyfruje zażądanie, które zaopatrzone jest należycie w datę i zawiera opis narzędzia i jego numer. Zawiera też następującą wydrukowaną uwagę: „O ile narzędzia nie zostaną zwrócone lub nie będzie z nich zdany rachunek, koszt ich będzie potrącony z wypłaty".

„Przypuśćmy, że gdy zajrzę do przedziałki z wiertłami danego wymiaru, znajdę tam jedną tylko sztukę zażądanego wymiaru. Czy mam się tem przejąć i wypisać zamówienie na pół tuzina tego wymiaru? Nic podobnego! Natomiast zajrzę do spinki Nr. 508 w rejestrze narzędzi, z którego się dowiem, że mamy tylko trzy sztuki wierteł tego wymiaru w całym warsztacie i przez całe miesiące nie mieliśmy potrzeby zakupienia ich większej ilo-

ści, gdyż jest to wymiar mało używany. Co miesiąc spisuję inwentarz wszystkich narzędzi, znajdujących się w naszych zapasach. Słowem, księga narzędzi jest tak prowadzona, aby trzymać na niskim poziomie nasze inwestycje na narzędzia, i rzeczywiście spełnia to swoje zadanie. Do jakiego stopnia przed wprowadzeniem tego oszczędnościowego systemu posuwały się zbędne inwestycje, można z tego wywnioskować, że zapas niektórych wymiarów narzędzi nie został odnawiany przez ostatnie dwa lata i mimo to wciąż jeszcze zawiera trzy do czterech razy więcej wierteł niektórych wymiarów, niż rzeczywiście jest potrzebne.

„Za każdym razem, gdy robotnik przyniesie do zamiany narzędzie, które się stało niezdatnem do użytku i chce je zamienić na nowe, musi przynieść od swego majstra kartkę ze wskazaniem, co było przyczyną zepsucia. Najczęstszy zapis brzmi „niedbalstwo". Wiele narzędzi używanych u nas, szczególniej tłocznice większych wymiarów są bardzo kosztowne. Idą na nie wielkie sumy pieniędzy. I robotnikom nie daje się o tem zapomnieć. Dla narzędzi tego rodzaju jest ustalony termin używalności. Postępujemy z niemi, jak to się robi z książkami w czytelniach publicznych. Robotnik, któryby przetrzymał takie narzędzie poza termin, zostaje o tem zawiadomiony i jest obowiązany je odnowić, wykazując przytem, że znajdujące się w jego użytku narzędzie jest w dobrym stanie.

„Jeżeli z jakiegokolwiek powodu kierownik decyduje robotnika wydalić, najpierw o tem mnie zawiadamiają. Natychmiast żądam od niego wydania wszystkich narzędzi, które na niego są zapisane. Również żaden robotnik nie może opuścić pracy i otrzymać zapłatę, nim ze mną się nie wyrachuje z narzędzi.

„Niektórzy robotnicy, wydaleni nie bez powodu, bywają nastrojeni złośliwie i gotowi są nie zatrzymać się przed niczem, aby tylko narazić firmę na koszty. Nie jeden fabrykant miał połamane kosztowne tłocznice przez złość wydalonego robotnika. Nasz system wyliczania się z narzędzi całkowicie nas od podobnych zajść zabezpiecza.

„Pozostaje wreszcie marnowanie z powodu nadmiernego wyzyskiwania narzędzi. Np., robotnik przynosi gwintownik i powiada, że jest niedobry i nie wykonywa swej roboty. Poszedłem do jego maszyny i przekonałem się, że próbował gwintować przy zbyt wielkiej szybkości maszyny Oczywiście, jest to niedopuszczalne: każdemu narzędziu należy dać czas do wykonania jego roboty. Praca akordowa jest dla narzędzi bardzo ciężka, ponieważ dla zaoszczędzenia czasu bywają one niejednokrotnie wyzyskiwane ponad ich wytrzymałość. Przekonaliśmy się, że niejednokrotnie wiertła bywają naciskane do tego stopnia, że działają raczej jak przebijacze, niż jako wiertła. Tego rodzaju praktyka została sprostowana i uszkodzenia z powodu zbytniego nacisku i niedbalstwa zostały zredukowane prawie do zera. Nie obeszło się to bez walki, lecz oszczędność była bardzo wielka, nie pozostająca w żadnym stosunku do użytego wysiłku i wydatków, wywołanych przez akcję oszczędnościową.

(c. d. n.)

Lądowanie z przymusu

(Dalszy ciąg ze str. 7)

— Posłuchaj, Allanie! Ojciec pozostawił swe sprawy majątkowe w rozpaczliwym stanie. Było mnóstwo długów do spłacenia, tak, że niewiele nam pozostało. — Podniosła oczy ku niemu, on zaś patrzył w nie ogłuszony. — Musieliśmy opuścić pałac i większa część posiadłości poszła na sprzedaż. Początkowo nawet zdawało się, że trzeba będzie sprzedać wszystko, lecz ostatecznie postanowiłam za radą naszego adwokata pokryć długi hipoteczne sumą, uzyskaną za dziesięcioletnią dzierżawę. Przypuszczałam, że raczej zgodzisz się na to, niż na sprzedaż pałacu. Jeśli zdołamy sprzedać pastwiska i South Field, zostanie nam nawet trochę pieniędzy. Nie zbyt wiele, bo i tam są hipoteki, rozumiesz? Jestem strasznie zmartwiona Allanie!

Odrzuciła papieros i w obie dłonie wzięła jego ręce, jakby chcąc odjąć mu część troski. On zaś siedział z głową opuszczoną i patrzał w ziemię przez wpół przymknięte powieki.

— Kochany, drogi—podjęła znowu.—Ja smucę się tem głównie ze względu na ciebie. Nie masz wyobrażenia, jak bałam się powiedzieć ci wszystko.

Popatrzył na nią i ułożył wargi do uśmiechu, który usiłował być pewnym siebie, lecz nim nie był.

— Dokąd idziemy teraz, skoro pałac jest wydzierżawiony? — zapytał.

— Zajęłam domek ogrodnika — odrzekła — ten z widokiem na South Field. Jest bardzo ładniutki, Allanie. Wstawiłam tam meble, które nam będą potrzebne, wszystkie twoje rzeczy i moje, i ojca i matki. — Starała się nadać głosowi ton wiary i radości.

— Jesteś odważna, moja ty dzieweczko — rzekł gorąco.

A na te słowa ona przytuliła się do jego ramienia i popłynął strumień łez, powstrzymywanych dotąd z bolesnym wysiłkiem. Przyciskała go do siebie z całych sił z macierzyńską iście czułością.

— Drogi, biedny Allanie — szeptała. — Jak szczęśliwa jestem, żeś wrócił. Tak strasznie bałam się powiedzieć ci to wszystko.

Myślą przebiegła dzisiejszy poranek. Po raz pierwszy od czasu śmierci ojca włożyła dziś tę strojną suknię, wiedząc, że ładnie w niej wygląda; a chciała być jak najpiękniejszą dla Allana. Ustroiła dom kwiatami i wybrała z mebli najmilsze i najlepiej znane, chcąc w ten sposób nadać obcym ścianom pozór zadomowienia i swojskości.

W bezsłownem porozumieniu weszli w boczną ścieżkę, unikając w ten sposób pełnego widoku na pałac i szli ku domkowi po smudze żwiru, która przecinała strzyżoną trawę. Widać było, że ojciec ich, niepomny kosztów, pielęgnował swą posiadłość z taką samą starannością, jak poprzednie generacje Brentów.

Na schodach domku leżały już jego pakunki.

— Więc w Sound Brook wiadomo już jest — pomyślał — że Brentowie mieszkają tam, gdzie niegdyś mieszkał ich ogrodnik. Jakie to bolesne! Zapewne wielu cieszy się obecnie z upadku ich fortuny. Niegdyś gorszono się ogólnie małżeństwem ich ojca z aktorką. Nie szczędzono im przykrości z tego powodu. Dopiero potem, gdy sława Gertrudy Janeth zajaśniała olśniewającym blaskiem, wielu z dawnych oszczerców stanęło kornie u jej drzwi, które jednak dla nich na zawsze pozostały zamknięte.

W jadalni stał na stole olbrzymi globus, ujęty w oprawę z ciężkiego srebra. Nie mówiąc słowa, chwycił Allan siostrę za ramiona i obrócił ku oknu, tak, że globus stworzył pstre tło dla jej włosów, krętych i ciemnych jak i jego. Jej policzki różowiły się lekko, a czerwone usta były rozchylone w trwożnem oczekiwaniu. Oczy o ciemniejszym jeszcze niż jego błękicie patrzyły nań błagalnie.

— Śliczna jesteś, Janko! — rzekł. — Masz teraz siedemnaście lat. Prawda?

— Skończę w kwietniu osiemnaście.

— A więc w kwietniu? — Zapalił papierosa.— Lecz do kwietnia jeszcze daleko. Powiedzmy więc siedemnaście.

Wyjęła mu z rąk papierosa, zaciągnęła się i oddała mu napowrót.

— Nie lubię cię, gdy palisz — rzekł, marszcząc brwi.

— Rzeczywiście? — brzmiała uprzejmie obojętna odpowiedź.

Ramię w ramię przechodzili wszystkie pokoje, zatrzymując się od czasu do czasu. Wkońcu stanęli przed oknem, wychodzącem na przestrzenną równinę South Field. Pełniąc służbę w charakterze pilota naprzód w armji francuskiej, potem zaś w amerykańskiej, Allan, patrząc na równinę, mimowoli myślał, że nadaje się doskonale do przymusowego lądowania.

Z rozmyślań obudził go głos Janki:

— Czy zostały ci jeszcze pieniądze z tych dwóch tysięcy, które ci przekazałam telegraficznie?

— Hm! Coś około czterech dolarów.

— O Boże! — westchnęła — a myślałam, że będę mogła zapłacić rachunek u rzeźnika i w sklepie kolonjalnym.

— A więc jest aż tak źle? — W jego głosie brzmiało niedowierzanie. Dziewczyna skinęła potakująco. — Naturalnie nie miałem pojęcia. Inaczej byłbym się bardziej liczył z wydatkami. — Przypomniał sobie nagle ów żart o niedostatku, który wydał mu się nagle nieco gorzki.

— I ja nie miałam pojęcia wtedy, gdy depeszowałam — rzekła Janka. — Lecz nie martw się tem teraz.

Następnego ranka zaraz po przebudzeniu opadły go troski. Na nicby się zdało wyruszyć przeciw nim ze strzelbą na ramieniu. Polowanie na lwy, które uważał niegdyś za rzecz ze wszech miar trudną i niebezpieczną, stało się nagle czemś prostem i niegodnem porównania — poprostu dziecinną igraszką.

W ostatnich ośmiu latach zdarzało mu się często i w czasie wojny i podczas polowania pokonać przeciwności głównie dzięki bezwzględnemu zaufaniu we własne siły. Lecz sytuacja obecna była zupełnie odmienna; miał wrażenie zupełnej niemocy, zrobienia czegoś, coby się mogło okazać skutecznem.

Janka wstała już wcześniej i siedziała na werandzie przy stole nakrytym do śniadania, promiennie świeża w swej skromnej żółtej sukience z kwadratowem wycięciem u szyi i luźnym paskiem. W jej przejrzystych oczach była mieszanina milczącego pytania i spokojnej ufności.

Zaraz po śniadaniu Allan poszedł do lasu. Chodzenie było przynajmniej jakimś rodzajem działania i choć trudno było uzdrowić majątek Brentów przez spacer, jednak wszelki ruch był błogosławioną ulgą. Wieczór już zapadał, zanim rozliczne pomysły bohaterskie skupiły się w jednem zagadnieniu: jak zapłacić rachunek w sklepie kolonjalnym i u rzeźnika. Była to sprawa mniej wprawdzie bohaterska niż polowanie na lwy z Psem Morskim, lecz zaiste tem bardziej żywotna.

Strapiony zwrócił swe kroki w kierunku domu; i znowu zaciężyło mu poczucie swej własnej niemocy. Nie wychowano go do pracy zarobkowej, nie posiadał niczego, co w świecie stworzyć może tak zwaną „pozycję". Nie miał najogólniejszego choćby pojęcia, co należy czynić, chcąc otrzymać zarobek.

Z szubienicznym humorem układał w myśli ogłoszenie: Zdolny myśliwiec, chwilowo bez zajęcia, umiejący polować na grubą zwierzynę i lubiący dobre wina, chce zapracować sobie na życie. Po raz pierwszy w życiu doznał uczucia zazdrości, lecz nie względem ludzi, żyjących w dobrobycie. Zazdrościł tym drobnym egzystencjom, które umieją wytężyć całą swą siłę i zużytkować ją do kierowania nawą swej drobnej łodzi życiowej. Wszyscy w okół niego płacą rachunki w sklepie i u rzeźnika, tylko on — Allan Brent — stoi jak głupi, nie wiedząc, co robić i dokąd się zwrócić. To może doprowadzić do szaleństwa!

W swym obecnym nastroju chciał dokonać jakiejś decydującej próby odwagi. Chętnie wystąpiłby do walki z jakiemś dzikiem zwierzęciem, by wypróbować, kto ma większe prawo do wygrzewania się na słońcu. Lecz chociaż rzeźnicy i właściciele sklepów przyglądaliby się chętnie podobnemu widowisku, wiedział jak bardzo są prozaiczni, gdy siedzą pochyleni nad swemi rachunkami.

Allan wracał do domu, nie stawszy się od rana bogatszym o żaden dobry pomysł, natomiast mając serce pełne zwątpienia i żalu. Przed drzwiami zauważył skromny niebieski automobil, a Janka wyszła mu naprzeciw z wyrazem zaniepokojenia na twarzy. Jemu ani przez myśl nie przeszło, że niechęć powrotu na obiad mogła jej sprawić przykrość. Na jego powitanie powstał mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie skromnym jak jego auto i czekał w uprzejmej postawie, dopóki Janka nie rzekła:

— To jest pan Stinchfield, Allanie!

Podali sobie ręce.

— Skąd się wziąłeś, do djabła — pytanie to malowało się wyraźnie na twarzy Allana, lecz gość zdawał się nie zauważać tego wcale.

— Nie liczyliśmy już na pana — oświadczył Stinchfield. — Napije się pan cocktailu? — Jego spojrzenie padło na dwie puste już szklanki, stojące na stole, z kieszeni wyjął srebrną flaszkę.

Oczy Allana zabłysły wojowniczo. W pierwszym impulsie chciał chwycić gościa za kark, ponieść go do auta i rzucić za nim flaszką; spojrzał na siostrę. Lecz Janka, spokojna w swej nieświadomości, jak dalece nieodpowiedniem jest przyjmować mężczyznę i pić z nim razem cocktail, który on sam przynosi ze sobą, stała przy oknie, spoglądając na South Field. Po zachodniej stronie pola zaczynały już błękitnieć drzewa.

— Dziękuję, nie! — odpowiedział krótko.

Janka spojrzała na niego z lekkiem zdziwieniem i rzekła:

— Dick prosi, byśmy zjedli z nim obiad w klubie. Najlepiej idź zaraz się przebrać. Jest już późno.

Allan chciał odmówić, gdy Janka dodała, zwracając się do Stinchfielda:

— Strasznie się cieszę, że pan po nas przyszedł. Zapomniałam zupełnie przygotować obiad na dzisiaj.

Te słowa były dla Allana groźnem przypomnieniem. I usłyszał jej śmiech: — Nie nadaję się widocznie na gospodynię.

— To też nie dla pani to zajęcie — odparł Stinchfield. — Nie wychowywano pani na gospodynię. Czy nie mam racji?

Allan odszedł do swego pokoju, poprostu dlatego, by nie być zmuszonym do uprzejmości. Uspokoił się nieco, lecz nie mógł zdobyć się na lepszy humor. Z werandy dochodził go szmer głosów i śmiechy.

— Muszę się zająć nią poważnie — mruczał z wściekłością.—Ta mała musi poczuć silną dłoń!

I w klubie nie mógł się pozbyć złego humoru Spotkał tam wielu dawnych przyjaciół, których twarze tak inne były we wspomnieniu niż w rzeczywistości, że wciąż wstawał, ściskał ręce i rozpaczliwie szeptał do Janki:

— Kto to jest? Jak się nazywa?

Pod koniec obiadu zabrał go ze sobą jeden z kolegów do stołu dawnego przyjaciela Phila Martina, który nie mógł przywitać się z nim, mając złamaną nogę. Mówiło się o tem i o owem, a wkońcu zapytał go jeden z nich:

— Jak ci się podoba Stinchfield?

— Kim wogóle jest Stinchfield? — zapytał Allan. — Przedtem nigdy go nie spotykałem.

Spojrzeli po sobie w zdumieniu.

— Nie wiesz? — zapytał Martin z niedowierzaniem. — Przecież to oni wydzierżawili pałac Brentów.

Allan zmusił się do uśmiechu i potrząsnął głową.

— Jestem tu jeszcze zbyt krótko, by móc o wszystkiem wiedzieć. Skąd oni pochodzą?

— Z Nowego Yorku. Dicka uroczy papa zrobił majątek podczas wojny — na jakichś maszynach, zdaje mi się. Już dawniej mieli dosyć pieniędy, lecz teraz nie wiedzą już, co z niemi począć. Na wszelki wypadek lepiej nie zajmuj się nim zbyt wiele.

W głosie Martina brzmiała jakaś aluzja. Allan spojrzał mimowoli na Jankę i pojął wszystko. Tymczasem zabrzmiał jazz-band i rozpoczęły się tańce.

— Jeżeli nie tańczysz — mówił Martin — dotrzymaj towarzystwa mnie i mojej złamanej nodze.

— Dziękuję, musimy już wracać do domu.

Wrócił do siostry i rzekł, nie zwracając zupełnie uwagi na Dicka.

— Musimy już odejść, Janko. Chcę jeszcze pomówić z tobą o różnych sprawach. Pójdziemy pieszo, noc jest ładna.

— Ale przecież nie pójdę pieszo w tych lekkich pantofelkach. Nie chcę iść teraz do domu. Porozmawiamy jutro.

— Teraz, zaraz, w tej chwili, Janko!

Zmarszczyła czoło i wzruszyła ramionami.

— Mój szofer was przecież odwiezie — wtrącił Dick. — Niestety, sam nie mogę, jestem już umówiony.

— Serdecznie dziękuję — rzekła Janka.

Włożyła płaszcz i wstała. Allan skłonił się sztywno Stinchfieldowi i opuścili salę.

Podczas drogi Janka próbowała nadaremnie nawiązać rozmowę z bratem. W milczeniu zajechali przed dom.

Skoro weszli do pokoju, zapytała:

— Cóż to właściwie znaczy? o czem to chciałeś ze mną pomówić? — Była zupełnie spokojna i opanowana.

— Nie podoba mi się wszystko, co się tu dzieje — rzekł nagle. — Nie życzę sobie tego. Pozwól sobie powiedzieć, że jesteś na złej drodze.

— Tak? — Nie zmieniła wyrazu twarzy.

— Nie podobają mi się ani papierosy, ani cocktail, a już mowy niema, bym ci pozwolił zadawać się z tym wstrętnym potomkiem dorobkiewicza wojennego, który wydzierżawił nasz pałac.

— Proszę cię, Allanie, zaufaj mi i powiedz mi, co masz zamiar czynić teraz — rzekła łagodnie. — Nie mam na myśli tego, coś mi właśnie powiedział, lecz plany na przyszłość.

Allan miał nagle uczucie jakgdyby z wielkiej strzelby wziął za cel wróbla i chybił.

— O tem ja sam będę decydował — rzekł chłodno. — Ty nie potrzebujesz troszczyć się o to.

— Dziękuję — odparła dziewczyna. Umilkła na chwilę, namyślając się nad tem, co ma powiedzieć.

— Allanie — podjęła znowu. — Nie pozwalam ci krytykować mnie ciągle. Musisz o tem pamiętać, że dawałam sobie zawsze radę bez ciebie i bez ojca, nawet będąc dzieckiem i...

— Teraz jesteś również dzieckiem — przerwał jej Allan — siedemnastoletniem dzieckiem.

— Jesteś jedyny, który uważasz mnie za dziecko — odrzekła ze spokojem. I obróciwszy się w kierunku drzwi, wiodących do pokoju, dodała:— Może zajmie cię wiadomość, że Dick Stinchfield prosił o moją rękę.

— Odpowiem mu, że nie chcesz—wykrzyknął dziko.

Uśmiechnęła się:

— Dałam mu już tę odpowiedź na dwa tygodnie przed twym przyjazdem. — Z temi słowy weszła do swego pokoju.

— Janka, chodź tutaj! — rozkazał.

— Nie, nie chcę! — Drzwi zamknęły się za nią i usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Znalazłszy się w swym pokoju, dziewczyna położyła się na łóżku, walcząc ze łzami, które szukały sobie drogi do oczu. Minęła godzina, zanim usłyszała kroki brata, wracającego z werandy do domu.

Allan Brent chciał w pierwszym impulsie zatrzymać się u jej drzwi i prosić ją, by mu pozwoliła być znowu jej bratem. Lecz tylko zwolnił kroku przed drzwiami jej pokoju i wszedł do swej sypialni. Słyszała jak zamykał drzwi, gasił światło. I będąc pewną, że nikt jej usłyszeć nie może, rozpłakała się rzewnie.

Nazajutrz wstał Allan wcześnie, zanim jeszcze zbudziła się Janka, mając umysł zajęty ważną sprawą płacenia zaległych rachunków. Zdawało mu się, że możność rozwiązania tego piekącego problemu ma w kieszeni, w postaci kosztownego zegarka, który otrzymał w darze od Psa Morskiego podczas uroczystego obchodu ich urodzin w Konstantynopolu.

Wypił kawę w małej cukierni. poczem udał się bryczką do najbliższego miasteczka. Bez trudu odnalazł odpowiedni sklep i po kilku chwilach wychodził stamtąd z miną wyrażającą niesmak, lecz mając w kieszeni 35 dolarów i kartkę zastawniczą. Miał wprawdzie nadzieję uzyskania co najmniej 100 dolarów, lecz kupiec był nieubłagany.

Przygnębiony przechadzał się ulicami, przyglądając się domom i sklepom i nie mając wielkiej ochoty wracać do Sound Brook. Myślał właśnie nad tem, który z wczoraj spotkanych, dawnych przyjaciół mógłby najlepiej wtajemniczyć go w sposoby szukania zarobku, gdy wtem wzrok jego padł na wielki czworokątny namiot. Zbliżywszy się, przeczytał następujące słowa:

Sensacja naszego stulecia.
Niezapalne aeroplany.
Hickey Company.
Gotówką i na raty.
William St. Hickey, prezes

— Aeroplany! — Allan Brent westchnął i skierował wzrok ku pogodnemu niebu.

Jak dobrzeby było móc wznieść się ponad niepokój i drobne troski świata i patrzeć przez chwilę z góry na własną małą planetę.

Płótno namiotu było nieco odchylone i widać było świeżo malowany aeroplan, raczej dawniejszego typu. Przestrzeń przed namiotem była odgrodzona sznurem od widzów, w głębi zaś widać było namiot mniejszy, z napisem „Biuro" i plecy mężczyzny, pochylonego nad stołem.

— Zdaje się, że dziś nie będzie już pokazu — zauważył mały chłopak, wałęsający się koło sznura.

Allan spojrzał na niego:

— Jakiego pokazu?

— Dziś mieli zrobić próbę. Wznieść się w górę i zapalić. Lecz pilot zwiał. Pewnie dostał stracha. Nie dziwię mu się wcale. — I z żalem dodał:— wielka szkoda, byłoby na co patrzeć.

Allan zagryzł wargi i nagle przeskoczył sznur i zbliżył się do namiotu.

Barczysty mężczyzna o czerwonych policzkach wyszedł ku niemu.

— Słyszę, że szukacie pilota?

— Tak, pan jesteś nim?

Allan skinął głową.

— O co chodzi? — zapytał.

Chodziło o to, by wznieść się w górę, otworzyć pięć zbiorników benzyny, umieszczonych na skrzydłach i płynąć w powietrzu na płonącej maszynie. Jeśli pilot wyląduje bezpiecznie, to dowód, że aeroplan jest niezapalny; jeśli zaś nie...

— Robiliśmy ze sześć prób z zapalaniem samolotu na ziemi — oświadczył Hickey. — Absolutne bezpieczeństwo! — Pokazywał fotografje aeroplanu, który płonął tak miło, jak stos pogrzebowy.

— Ile? — zapytał Allan.

— Sto dolarów.

— Czy pan oszalał?

Przemknęło mu przez myśl, że to nie jest ton, jakim się przemawia do przypuszczalnego chlebodawcy, lecz Mr. Hickey przyjął to tak łagodnie, jakgdyby był przyzwyczajony do spostrzeżeń w tym rodzaju. Widocznie nie spodziewał się dostać za tę cenę pilota. Była to zapewne suma znacznie mniejsza od tej, którą miał zamiar zapłacić. Weszli do hangaru, by obejrzeć maszynę.

Z każdego zbiornika wychodziły małe pasma miedzi, w celu rozpylania benzyny. Same zbiorniki roztwierały się szeroko, wylewając nagle całą zawartość, w celu uniknięcia eksplozji. Wprawiało się je w działanie zapomocą zwykłej dźwigni, którą pilot pociągał ku sobie.

— To zaś — objaśniał Hickey, — wskazując na pręt — jest iskra, służąca do zapalania. Widzi pan? Czy jako pilot, ma pan wielkie doświadczenie?

— Jakieś parę tysięcy godzin — odrzekł Allan. — Nieuport, Morane, Spad. — Obchodził aeroplan, dotykając różnych jego części.

— Pudło! — mruczał sam do siebie. Lecz zadecydował, że maszyna próbę wytrzyma.

— Jak się pan zapatruje na dwieście dolarów? — zapytał Hickey.

— Pięćset i zgoda między nami.

— Co? — Głos Hickey'a był jękliwą skargą.— Pięćset dolarów za dziesięciominutową pracę?

— Nie będę sprzeczać się z panem. Pan sam dobrze wie, ile to jest warte.

— Taki się ma kłopot z tymi pilotami. Gdy któryś z was dostaje stracha, zaraz wyśrubowuje nadmiernie cenę, by uratować pozory. Pięćset! — Odwrócił się ze złością.

Allan położył mu rękę na ramieniu i obrócił go ku sobie. Mr. Hickey popatrzył w twarz, którą nie zbyt miło było oglądać.

— Spójrz na mnie, ty karle! Jeszcze jeden dowcip w tym rodzaju, a może ci się coś złego przytrafić! Zresztą, jeśli masz dość odwagi wznieść się wraz ze mną w górę, zgadzam się na dwieście dolarów. Co sądzisz o tem?

Hickey'owi zrzedła mina.

— W przeciwnym razie pięćset dolarów. Możesz się zgodzić lub nie, lecz jak śmiesz mówić ze mną w ten sposób?

Sytuacja Towarzystwa Niezapalnych Aeroplanów niezbyt była wygodna. Jedyny sposób na sprzedanie większej ilości to było demonstrowanie wytworów, które zgodnie z prospektem miały zrobić przewrót w lotnictwie.—Ubezpieczenie duszy i ciała w podróży powietrznej. — Przy tej sposobności wspominano kusząco o olbrzymich fortunach, uzyskanych przez tych, którzy ongiś włożyli swój kapitał w przedsiębiorstwa, eksploatujące wynalazek telefonów.

I z tych powodów Mr. Hickey pomyślał, że różnica pomiędzy dwustu a pięciuset dolarami jest właściwie mała, tem bardziej, gdy własny udział wynosi nie więcej jak siedemnaście dolarów. Więc pocóż się sprzeczać?

— Zgadzam się — rzekł. — Niech będzie pięć-

set. Lecz musi pan być swoim własnym mechanikiem. Jutro w południe dokona pan lotu.

Piętnaście minut później Allan w płaszczu mechanika trudził się odczyszczaniem zaniedbanego motoru. Cylindry i rurki były zanieczyszczone, a zapalnik groził katastrofą. Tymczasem rozeszła się w mieście nowina o znalezieniu nowego pilota i podczas kiedy Allan czyścił i przygotowywał maszynę, koło sznura gromadził się liczny tłum, podniecony możliwością katastrofy. Był mrok, gdy zaczął pracować koło propelera i noc nastała, zanim motor pozbył się śladów swej wielomiesięcznej bezczynności.

W najbliższym hotelu rzucił się na łóżko wyczerpany. Na drugi dzień Hickey przybył na plac jeszcze przed nim, promieniejąc z zadowolenia, mając już na widoku kilku nabywców. Tym udzielono zaszczytnego prawa poznania z Allanem. Zdawało się, że specjalną emocją było dla nich uścisnąć rękę nieszczęśliwej ofiary.

Allan, już w ubraniu pilota, wezwał do siebie Hickey'a:

— A więc jak będzie z temi pięciuset dolarami?

— Czy nie widzi pan, że jestem zajęty? — mówił mały człowieczek.

— Widzę — odrzekł Allan, — lecz ja nie jestem zajęty i nie chcę nim być tak długo, dopóki nie otrzymam pisemnego zobowiązania.

Hickey protestował, opierał się. Wątpi się w jego honor, wszak słowo dżentlmena powinno wystarczyć. Lecz wkońcu ustąpił. Dwaj stojący na straży posterunkowi zostali wezwani na świadków i jeden z nich schował zobowiązanie, opiewające na nazwisko Janiny Brent.

Mając jeszcze pół godziny czasu przed sobą, Allan zaczął zastanawiać się nad tem, że właściwie nie latał już trzy lata; przestrzeń czasu wystarczająca zupełnie, by stracić zręczność w lądowaniu.— Wznoszenie się i sam lot — to zapewne nie sprawi mi zbytnich trudności — myślał.

Rozważania te przerwał mu Hickey, który stanąwszy na stole, rozpoczął przemowę do publiczności, zalecając kupno aeroplanów. Bezpłatne widowisko zgromadziło niezliczone tłumy.

— A teraz, panie i panowie, ujrzycie produkt naszej fabrykacji. — Tu przytaczał słowa prospektu. — I mam zaszczyt, panie i panowie, przedstawić wam odważnego kapitana Brenta, słynnego ze swoich bohaterskich czynów z czasów wielkiej wojny. On to poprowadzi pod niebiosa ten wielki aeroplan, podpaliwszy go wprzódy, a uczyni to bez trwogi, ufając zupełnie naszemu wynalazkowi, który jest największą sensacją tego stulecia. Wynalazek ten, własność firmy Hickey i Spółki, ochroni was w przyszłości przed wszelkiemi niebezpieczeństwami w waszych podróżach podniebnych, dla interesu, czy też dla przyjemności. Wynalazek ten, panowie i panie, zabezpieczy was przed najokrutniejszym rodzajem katastrofy.

Allan uśmiechał się na widok tłumu, słuchającego z zapartym oddechem słów Hickey'a. Lecz oto już zaczęli posterunkowi odpychać publiczność z przed garażu. Trzej wynajęci mechanicy posunęli aeroplan do miejsca, z którego miał wyruszyć. Fotografowie zaczęli robić zdjęcia. Allan wdział hełm azbestowy, podobny do hełmu nurka — i poprawił pas.

— Cztery razy w górę i w dół wzdłuż wybrzeża — ryczał Hickey.

Allan skinął głową i dał znak głównemu mechanikowi, by wprawił w ruch propeler.

— Kontakt — krzyknął.

Motor zahuczał. Czekał kilka minut, zanim się rozgrzał.

— Zaczyna się — rzekł do siebie ponuro i dał znak, by zdjęto z kół bloki. Mechanik podniósł w górę ramiona na znak, że wszystko gotowe.

W chwili, gdy koła zaczęły uderzać o ziemię, jakby strząsając ją ze siebie, Allan doznał znanego mu już zdawna uczucia wesołości. Lecz wzlot nie był tak równy, jak być powinno, a świadomość, że prawe skrzydło ma tendencję do przechylania się wskutek wadliwego umocowania, przyczyniła się do wywołania w nim uczucia niepewności. Kilka minut upłynęło, zanim odzyskał poprzednią pewność siebie.

Zawrócił i przeleciał nad wybrzeżem, gdzie gromadziły się coraz to większe tłumy publiczności.

Z wibrującemi nerwami, Allan raz jeszcze minął wybrzeże i rzekł do siebie:

— Zaczynajmy! — Jego palce dotknęły dźwigni, otwierającej zbiorniki, lecz czekał jeszcze chwilę, aż pod prawem skrzydłem znajdzie się to miejsce na ziemi, które był wybrał poprzednio.

— Raz — dwa! — Liczył i... pociągnął.

Poprzez hałas motoru doszedł go szmer „Puuff!" i nagle zaciemnił się świat od pokrywy czerwonych płomieni. Przycisnął twarz do tarczy ochronnej, pozwalając, aby napór wiatru odsuwał płomienie wtył. Chwila duszności przeszła i wreszcie mógł pochwycić trochę czystego powietrza.

Ogień posuwał się wzdłuż brzegów poczerniałych skrzydeł i trzymał się tam uparcie. Cały tył samolotu wyglądał jak pióropusz ognisty. Niebezpieczeństwo wybuchu cysterny z benzyną minęło, i teraz obawiał się tylko, żeby płomienie nie zniszczyły steru lub elewatora.

Ogień opadał, powoli płynąc po resztkach śladów benzyny. Jeszcze raz przeleciał Allan wzdłuż wybrzeża. Leciały teraz ku niemu rękawiczki, wznosiły się setki ramion i tłumy zaczęły biec w kierunku hangaru.

W tej chwili myślał tylko o tem, że za minutę tłum zajmie pole i że niema czasu do stracenia. Dzięki temu pośpiechowi zapomniał o tem, że już

od trzech lat nie kierował maszyną i zaczął lądować wedle wszelkich reguł sztuki. Koła i tył aeroplanu dotknęły równocześnie ziemi. Wjechał do hangaru, odebrał kartkę z zobowiązaniem i poszedł na poszukiwanie Hickey'a.

Zażądał zapłaty, lecz Hickey zanadto był obecnie zajęty.

— Nadzwyczajnie! Wspaniale! — wykrzykiwał. — Dam panu pięćdziesiąt dolarów więcej, jeśli zabierze pan na przejażdżkę aeroplanem tych, którzy zakupią dzisiaj maszyny. Jak tylko załatwię klientów, zaraz panu służę.

Koło hangaru zapytał Allana jeden z posterunkowych:

— Czy wie pan na pewno, że Hickey ma pieniądze?

— Nie wygląda na to — odparł Allan.

— Tamten pilot rzucił go dlatego. Zdaje mi się, że grosza nie posiada. To nie on wynalazł tę ochronę od ognia. On odkupił tylko patent od wynalazcy. Ale pan ma przecież pisemną umowę.

Allan skinął głową i wszedł do hangaru. Teraz, kiedy próba się już odbyła, miał wielką ochotę odebrać swoją zapłatę w postaci nieco burzliwego pożegnania się z Hickey'em. Lecz tą monetą nie zapłaci przecież rachunku u rzeźnika. Dziesięć minut później wysunięto znów z hangaru aeroplan, w celu dokonania kilku wzlotów pasażerskich. Allan wszedł do biura i pisał coś przez kilka minut.

Hickey przyprowadził trzech pasażerów i trzy razy okrążył Allan miasto. Gdy wrócił z trzeciego wzlotu, na placu panował już spokój, Hickey zaś był spocony i zdenerwowany.

Allan nie poruszał wcale tematu zapłaty. Żartobliwie zauważył:

— Zmęczyłeś się, staruszku! Może chcesz się pan przejechać dla ochłody? Powietrze jest dziś bardzo miłe. No, niechże pan wskoczy.

Hickey nie wskoczył wprawdzie, lecz skuszony myślą o chłodnym wietrze i uspokojony zachowaniem się Allana, wdrapał się dość niechętnie na miejsce, przeznaczone dla pasażera. Odbili od lądu i zamiast wznieść się lekko ponad wybrzeżem, maszyna zaczęła iść w górę i dopiero na wysokości sześciu tysięcy stóp, popłynęła równolegle do poziomu ziemi. Tłumiąc motor, by można było usłyszeć, co mówi, obrócił się Allan ku swemu pasażerowi.

— Kiedy otrzymam swoją zapłatę? — zapytał.

Hickey zbladł i jego wodniste oczka zwróciły się ku Allanowi z błagalną prośbą, by wrócił do rozumu. Nie otrzymawszy zaraz odpowiedzi, Allan tak silnie chwycił za ster, że aeroplan rzucił się szybko w bok, jakby próbował pozbyć się skrzydeł.

— Oj, nie rób tego! — Hickey chwycił się za poręcz. — Nie rób tego!

Aeroplan skręcił nagle i stanął w położeniu pionowem, a ziemia i niebo przemykały pod nimi w jakimś obłąkanym wirze.

— Odsapnij teraz! — rozkazał Allan. — Czy zapłacisz mi teraz moją należność?

— Nie mogę!

— Nie masz pieniędzy?

Hickey skinął głową. Wtedy Allan wyjął z kieszeni list, który napisał był przedtem w biurze. Był to przekaz, wystawiony na jego imię, na którego podstawie stawał się właścicielem maszyny, na której jechali, oraz zastrzegał sobie wyłączne prawo urządzania wystaw niezapalnych aeroplanów, to wszystko w charakterze zastawu na sumę 550 dolarów.

— Pan to podpisze—oznajmił, trzymając w ręku papier. — Jeśli zaś pan nie podpisze, lub też przypadkiem upuści papier, wtedy raz jeszcze spróbujemy się przekonać, czy aeroplan jest niezapalny, — ale teraz dokonamy próby — razem!— Wskazał na zbiorniki benzyny. — Napełniłem je! Tu, na przedniem siedzeniu mogę tę próbę wytrzymać, ale tam, gdzie pan siedzi, gotowo być piekielnie ciepło. Zrozumiano?

Przerażony Hickey patrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

— Podpisz to — rozkazał Allan i podał mu papier.

Hickey przeczytał i zaczął się pienić. Aeroplan znajdował się właśnie nad wodą.

— Jadę teraz do końca wybrzeża i nawracam — oświadczył Allan. — Nad tem kąpieliskiem otwieram zbiornik. Wybieraj więc pan!

Puścił znów w ruch motor i zaczęli płynąć wzdłuż wybrzeża, poczem Allan nawrócił. Hickey zauważył, że położył rękę na zbiorniku, kąpielisko zaś było oddalone zaledwie o minutę drogi. Wtedy krzyknął Hickey na cały głos:

— Zgadzam się! — Wziął papier i podpisał.

Allan spojrzał na kartkę, wsunął ją do kieszeni i wylądował na wybrzeżu, w miejscu oddalonem o godzinę drogi od miasteczka.

— Wyłaź — rozkazał.

Hickey wyskoczył z aeroplanu tak gwałtownie, że upadł na piasek. Poprzez łoskot motoru dochodziły Allana pojedyncze słowa, jak: „prawo", „aresztować", „zbrodnia". Allan ukłonił mu się szyderczo i wzniósł się w górę. Będąc już wysoko, widział jeszcze Hickeya, który szedł z trudem w górę wybrzeża. Allan zaśmiał się i popłynął do Sound Brook.

Lecz Janka nie wyszła na jego spotkanie, jak się tego spodziewał. Przyciągnął aeroplan bliżej domku i wszedł do środka. Na stole w jadalni leżał list z jego adresem. Zaczął czytać:

„Kochany Allanie! Jest już trzecia godzina i więcej niż dzień cały czekałam na jakąś wiadomość od Ciebie. Ocenę Twego postępowania zostawiam Tobie samemu. Wyobrażam sobie, jak bardzo dręczy Cię odpowiedzialność, którą na Ciebie

włożono, i nie chcę przyczyniać Ci jeszcze ciężaru. Najlepiej dla nas obojga będzie, jeśli wyjdę zamąż za Dicka Stinchfielda. Chciałam Ci to oznajmić, lecz nie wracasz, a nie widzę powodu, dla któregobym miała zwlekać. Bardzo się martwię, Allanie, że Twój powrót do domu był tak przykry i że ja się również do tego przyczyniłam. Początkowo sądziłam, że będziemy mogli walczyć razem, lecz widzę, że to jest niemożliwe. Jestem pewna, że gdy się nad tem zastanowisz, przyznasz mi rację. Naturalnie, zrzeknę się na Twoją korzyść mej części majątku, a Stinchfield chce zapłacić 180 tysięcy dolarów za pałac i posiadłość. Jeśli zdecydujesz się sprzedać, osiągniesz w ten sposób byt niezależny. Nie mamy zamiaru uciekać — naprzód jedziemy do Denny wziąć tam ślub, a potem do Nowego Yorku, gdzie czeka na nas jacht Dicka. Napiszę Ci stamtąd.

Janka".

Nieosobowość tego listu. mająca na celu ukrycie uczuć, których doznawała, wstrząsnęła nim do głębi. I najbardziej bolało go przeświadczenie, że postąpił jak głupiec i przez brak zrozumienia zniszczył jej i swoją przyszłość. Po raz pierwszy w życiu Jana potrzebowała jego rady i pomocy; a on dał jej wszelką pewność, że ją opuścił.

Była już prawie czwarta godzina, gdy opuścił South Field i poleciał wzdłuż 55 milowej drogi, prowadzącej do Denny, szukając wzrokiem niebieskiego auta Stinchfielda. Zauważył je wreszcie w oddaleniu zaledwie trzech mil od miasta; jeszcze za chwilę zanurzy się w to morze fabryk i zniknie w niem bez śladu.

Allan myślał nad sposobem szybkiego działania. Przysunął się jak najbliżej do automobilu i zapalił benzynę. W okół niego buchały płomienie, on zaś pochylił się naprzód, nawpół uduszony, oślepły, ufając, że samą zdolnością latania utrzyma się w powietrzu. Wreszcie oprzytomniał dysząc i chwytając powietrze, a skoro płomień przygasł, mógł zorjentować się w sytuacji. Na gościńcu zatrzymał się olbrzymi szereg samochodów i wśród nich znaczył się niebieską plamą wóz, którego szukał.

Wylądował i pobiegł naprzód. Ludzie tłoczyli się ku niemu z pytaniami, lecz on minął ich w szybkim biegu. Jana i Stinchfield stali na stopniach wozu, patrząc na czarnego od dymu młodzieńca, który biegł ku nim poprzez kartoflisko, przeskakując z brózdy na brózdę.

— Janka!

— Allan!

— Janko, ja chciałem wrócić. Przyszedłem po ciebie. Błagam cię, Janko. nie czyń tego! — Prosił pokornie, patrząc w szeroko rozwarte oczy dziewczęcia. Na Stinchfielda nie zwrócił najmniejszej uwagi. — Jestem narwaniec, Janko. Nie wyobrażałem sobie, że tak to odczujesz. Patrz — dostałem aeroplan! Będę teraz zarabiać. Dlatego nie wracałem tak długo. Polecimy z powrotem do domu — do naszego domku — razem. O mała Janko! Nie chcę, byś ode mnie odeszła.

Chwycił ją w ramiona, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

— Ale... — odezwał się Stinchfield.

Przerwała mu:

— Bardzo mi przykro, lecz chcę wrócić z Allanem.

Byli wysoko w przestworzach. Motor huczał a ziemia przemykała pod nimi w zawrotnym pędzie. Janka była upojona. Skoro samolot, ślizgając się, zaczął opadać ku lądowi, Allan krzyknął:

— Teraz lądujemy. Naprzód ustawiamy się równolegle z ziemią, a skoro maszyna straci szybkość, cofamy się wstecz i spuszczamy się na ziemię.

Widać już było zieloność pola pod nimi. Jeszcze chwila i tył aeroplanu opuścił się, koła dotknęły ziemi, a hamujący łańcuch uderzył o ziemię i zmusił maszynę do zatrzymania się.

Jance błyszczały oczy. W tych niewielu minutach pojęła nowy sens istnienia — latanie. Patrzała olśniona, nie mówiąc słowa, na stary, poczerniały od dymu aeroplan, jakby na rzecz najpiękniejszą na świecie.

Allan wziął ją za rękę.—Towarzystwo lotnicze Brent i Spółka — rzekł miękko. — Jesteś dyrektorem, prezesem i skarbnikiem. Ja zaś najstarszym pilotem.

Ramię w ramię szli w kierunku domu.

Tego samego wieczoru Allan, ulegając nagłemu impulsowi, chwycił za ołówek i pokazał Janie zapisaną kartkę. U jej nagłówka przeczytała: „Cablegram, dalej zaś: Willard Weston Towar, na adres banku londyńskiego z poleceniem doręczenia go adresatowi. Treść depeszy była następująca:

„Przyjedź niezwłocznie, liczę na pewno.

Brent.

Spojrzała nań z niepokojem.

— Sprowadzimy tu Psa Morskiego — rzekł. — Jest to idealny doradca dla Towarzystwa Lotniczego Brent i Spółka. Najmilszy człowiek pod słońcem. Pragnę, byście się poznali.

Opowiadanie powyższe ukazało się w oryginale w „The Saturday Evering Post".

U źródeł potęgi japońskiej

(Dalszy ciąg ze str. 13)

razie wielki arsenał polskiej energji wychodźczej nie powinien być zupełnie pominiętym... byłoby to nieusprawiedliwionem marnotrawstwem.

Główna akcja w dziedzinie wyrównania oczywiście, tak jak niegdyś w ubiegłem stuleciu i w Japonji, powinna skupić się na zmobilizowaniu uzdolnionych sił w Polsce dla wysłania na fachowe studja za granicę. W tej działalności Emigracja — Wychodztwo Polskie może być, i można być pewnym, że i zechce być pomocnem. Już daje tego dowód przez samodzielne utworzenie w Stanach Zjednoczonych „Polsko-Amerykańskiego Komitetu Stypendjalnego". Niezależnie od tej bardzo pożytecznej akcji Emigracja na obczyźnie może służyć dla tych, co wyjadą na studja na obczyznę jako pied a terre za granicą.

Akcja ta, podobnie jak niegdyś analogiczna akcja w Japonji, powinna być rozwinięta na szeroką skalę. Ułożenie planu jej na kilkanaście lat może, oczywiście, skutecznie zwiększyć wydajność przedsiębranej akcji i zabezpieczyć Polsce osiągnięcie może nawet tak skutecznych wyników, jak Japonji dała analogiczna akcja w ubiegłem stuleciu, która w przeciągu kilkudziesięciu lat przekształciła starożytną Japonję w nowoczesne potężne mocarstwo. W każdym razie Polska ma zadanie o wiele łatwiejsze niźli miała Japonja, bo, jak widzieliśmy, mamy bardzo dużo ułatwień w tej akcji. Mieliśmy i mamy dzisiaj wiele możliwości, a które, jak dotąd, nie zawsze potrafiliśmy wykorzystać.

Trzeba również dobrze pamiętać i o tem, że nie chodzi w tej akcji o ślepe naśladownictwo, lecz, jak i Japonji niegdyś, o praktyczne wykorzystanie najlepszych zdobyczy cywilizacji, aby nie marnować energji narodowej na to, co doświadczenie innych narodów zdobyło. Nie tylko to nie zmniejszy własnej twórczości w różnych innych dziedzinach, tak wielce twórczości własnej wymagających, lecz i w samej akcji omawianej będzie jej wielce potrzebowało dla umiejętnego przystosowania wypróbowanych za granicą sposobów do warunków naszego odrębnego społeczeństwa i klimatu.

Dążność do specjalizowania się za granicą istnieje w naszem społeczeństwie, lecz wykonanie nie jest zorganizowane. Dążności te są indywidualne i ogarniają coraz szersze sfery.

Patrjotyzm, rodzący pragnienia przyczynić się do odrodzenia Rzeczypospolitej, popycha nieraz całe zastępy jednostek do wytężonej pracy dla dobra społecznego, lecz siły ich często marnują się nieużytecznie.

Mimo to, indywidualne wysiłki samorzutnie się zjawiają w coraz większej ilości i obecnie coraz większy kontakt nawiązuje się z zagranicą szlakami stosunków naukowych, handlowych, państwowych, społecznych i wszelkiego rodzaju stosunków prywatnych. Mały to kontakt, lecz kontakt, zapomocą którego wpływ zagranicy przenika do nas pomału różnemi drogami organizmu społecznego, często nawet z powodzeniem, częściej jednak z marnowaniem energji i czasu.

Aby działalność zainicjowana dosięgła skali, któraby potrafiła istotnie przerobić cały naród, zwłaszcza w przeciągu życia jednego pokolenia, ku czemu przecie należy dążyć, trzeba spoić akcję jedną myślą, natchnąć ją jednym duchem i zorganizować należycie.

Rzucone na pierwszym zjeździe „Naukowej Organizacji Pracy" hasła o konieczności podniesienia wydajności wszelkiej pracy, zainicjowane również przez niektóre czynniki rządowe i społeczne, powinny przy pomocy racjonalnej propagandy dosięgnąć wszystkich i ogarnąć cały naród... Zmaterjalizowane masy należy w sposób skuteczny przekonać do tych zasad „Naukowej organizacji", trzeba na przykładach innych narodów, a przedewszystkiem Ameryki, pokazać całą materjalną dogodność umiejętnej i wydajnej pracy, dającej niezawodnie największe zyski przedewszystkiem dla samego pracownika, zabezpieczając mu i większy zarobek, i znaczny zysk zaoszczędzonej energji. Tam, gdzie na zrozumienie i wolę ludzką liczyć nie można, trzeba stworzyć swego rodzaju „klapy bezpieczeństwa" w postaci powszechnie ustalonych poziomów minimalnej wydajności pracy i racjonalnych podstaw organizacji wszelkich czynności, któreby walczyły skutecznie z ideałem nieróbstwa, mającym u nas jeszcze stosunkowo wielką ilość adeptów nawet wśród warstw wykształconych. Trzeba hasła naukowej organizacji pracy popularyzować tak, aby wszyscy uświadomili sobie, że korzystanie z dobrodziejstw kultury i cywilizacji w sprawiedliwej mierze przez wszystkich obywateli naszego Państwa możliwe jest do urzeczywistnienia jedynie przez wspólną, wydajną i rozumnie zorganizowaną pracę całego narodu.

Jeśli myśl polska potrafi to zdziałać, jeśli społeczeństwo zapragnie i potrafi tego rodzaju akcje wykonać, wówczas i ogólny dobrobyt podniesie się i naród nasz będzie mógł spokojnie patrzeć w przyszłość.

Dr. Józef Jakóbkiewicz.

Od Redakcji: Artykuł powyższy był, jako odczyt, wygłoszony na „Pierwszym Zjeździe Naukowej Organizacji Pracy w Polsce", który się odbył w dn. 6, 7 i 8 grudnia 1924 r. w Warszawie.

Jeśli dobrze rozumiemy konferencję genewską w sprawie narkotyków, karygodne jest, jeśli ktoś inny sprzedaje opjum.

„Columbia Record".

Ideał wiecznej młodości

(Dalszy ciąg ze str. 21)

temu pewien lekarz uczynił spostrzeżenie, że kto chce dożyć późnego wieku, powinien rozwinąć w sobie organiczną chorobę, któraby go zmuszała do dbałości o swe zdrowie. To jest—należy przyznać — plan co najmniej dziwaczny. Chodzi nam o to, by znaleźć idealny sposób ochronienia się przed dolegliwościami starości i zatrzymania do późnego wieku elastyczności ciała i młodzieńczego funkcjonowania organów. Dążeniem ludzkości powinno być zachowanie przez całe życie żywotności ciała i ducha, by ostatnią i jedyną dolegliwością stała się dla człowieka śmierć, na którą rady niema.

Jedną z przyczyn starzenia się są toksyny, które powodują twardnienie i sztywnienie muskułów, powodem starości jest również skłonność ludzi w średnim wieku do zaniechania wszelkich sportów i ćwiczeń fizycznych. Muskuły tracą swą elastyczność, jeśli się im pozwala próżnować.

Powinniśmy przeto uprawiać sporty przez całe życie, bez względu na wiek. U nas sport traktowany jest niesłusznie, jako rozrywka młodzieży, na ślizgawce, na placach tennisowych widuje się przeważnie młodzież w wieku szkolnym. Pamiętajmy o tem, że ruch i ćwiczenie muskułów jest jednym z głównych eliksirów wiecznej młodości. Załączone ilustracje podają nam szereg ćwiczeń gimnastycznych, których celem jest wyrobienie w człowieku giętkości ciała, a tem samem uzbrojenie go przed trudnem często do dźwigania brzemieniem lat. Człowiek, który potrafi mimo późnego wieku pozostać młodym fizycznie i duchowo, jest w stanie pokonać również nabytą lub też odziedziczoną dolegliwość. Zwiększająca się liczba lat przestanie być dla niego momentem grozy. Ot, kartki zerwane z kalendarza, i nic więcej ponadto.

Dbałość o zdrowie, pielęgnacja ciała, ruch i świeże powietrze! Oto lekarstwa na starość, w nich tajemnica wiecznej młodości!

Prezydent Wojciechowski

(Dalszy ciąg ze str. 2)

To, że Papież Pius XI żywi szczególną sympatję i zainteresowanie dla przedziwnego rozwoju państwa Polskiego pod względem przemysłowym i gospodarczym zrozumieć łatwo, gdy się zważy wielką rolę, jaką odgrywał w Warszawie w pierwszych czasach odzyskania przez Polskę niepodległości. Pod tym względem papiestwo ma wielkie tradycje w Polsce. Gdy książę litewski Jagiełło, stał się katolickim monarchą, jako król polski Władysław II, Stolica Apostolska przyczyniła się wówczas do tego w wielkiej mierze, potem zaś dopomogła również obu synom królewskim, Władysławowi III i Kazimierzowi IV do postawienia państwa Polskiego w rzędzie największych mocarstw europejskich, jako twierdzy, broniącej Europy przed najazdami Tatarów i Turków.

Władysław Grabski

(Dalszy ciąg ze str. 3)

dla wszystkich?) tak genjalnie zmontowały mechanizm państwowy, że i tanio można było sprzedawać i tanio kupować, i tanio pracować i tanio się bawić. Dla wiecznych malkontentów mało jeszcze było doświadczeń z okresu powojennego, w którym warunki i konjunktury gospodarcze i finansowe przelewały się z jednego kraju europejskiego do drugiego, jak morze wzburzone, i przelewają się dotychczas, ale falami coraz słabszemi, coraz więcej niwelowanemi przez organizującą wolę świadomych klas i sfer społeczeństwa.

Więc gdy Francja i Czesi wszystkie bóle porodowe zdrowych organizmów państwowych mają jeszcze przed sobą w postaci deflacji, podatków, kryzysów, drożyzny, drożyzny i drożyzny, Polska najcięższe bóle już przetrwała. Gdy waluty tych państw, a więc i kredyt państwowy, i cały system finansowy, i cała gospodarka narodowa są jakgdyby podminowane, niepewne jutra, zagrożone wstrząsami, nasza waluta jest już jak granit, jak stal pancerna, chroniąca nas od pocisków zewnętrznych. Gdy Paryż, Praga, Berlin nawet i Rzym z parlamentów swoich czynią jeszcze arenę najordynarniejszych burd, nasz Sejm w porównaniu z niemi przedstawia względnie najwięcej poważną i kulturalną instytucję państwową.

Czy te fakty realne nie są dostatecznem świadectwem, przemawiającem na korzyść Rządu naszego i jego Szefa? Fakt jest rzeczą twardą: można go ominąć, można go bezwiednie lub świadomie nie dostrzegać, a w następstwie łudzić się i łudzić innych, lecz zatknąwszy się z nim—ani go zgnieść, ani obalić nie można.

Więc czy p. Grabski jest optymistą? Odpowiemy na to drugiem pytaniem: czy technik, który według ścisłych zasad mechaniki i technologji materjałów skonstruował maszynę, może wątpić w skuteczność jej działania? On nie tylko wierzy i przewiduje, lecz ma matematyczną pewność, że maszyna m u s i działać. Czy możemy go nazwać optymistą? Nie. Jest tylko dobrym fachowcem, takim, jakim każdy pracownik w zakresie swojej pracy być powinien. Jednak dobrze przemyślaną konstrukcję maszyny mogą mu zepsuć: metalurg może zły metal podać, giser zły odlew zrobić, monterzy źle zmontować — na te wszystkie wypadki trzeba doskonale zorganizowanego aparatu administracyjnego, by teoretycznie opracowana konstrukcja przetworzyła się w sukces rzeczywisty.

Jest jeszcze źle, jest bardzo źle przeciętnemu obywatelowi polskiemu: czy to robotnikowi w fabryce, czy chłopu na roli, czy właścicielowi nieruchomości miejskiej czy ziemskiej; wszyscy w miarę możności ponoszą wielką ofiarę na rzecz odbudowy swego Państwa, na rzecz tego domu, tego bezpiecznego i wygodnego schroniska, w którem kiedyś zaznać muszą spoczynku i szczęścia doczesnego.

Lecz gdzie jest ten genjusz, gdzie ta partja polityczna w Polsce, którąby potrafiła przeprowadzić cały naród i państwo przez ten okres niedoli do lepszej przyszłości w sposób lepszy, prędszy, doskonalszy? Jeżeli są, dlaczego ich nie widać, dlaczego nie mają odwagi ująć steru rządu w swoje ręce, w celu urzeczywistnienia swych zbawczych postulatów? Dlatego, że nikt nie czuje się na siłach, że wiedzą, iż wszelkie mniej lub więcej dojrzałe iluzje rozwiały się już raz na zawsze po rewolucji rosyjskiej, a ostatnio po rządach socjalistycznych w Niemczech.

Jeden tylko p. Grabski nie lęka się odpowiedzialności, przyjętej na siebie w całej pełni świadomości obywatelskiej, stoi też ponad wszystkiemi temi pretendującemi partjami i grupami, stoi jak wartownik na czatach w obronie istotnych interesów całego państwa, a nie oddzielnych jego klas, warstw lub grup. Stoi samotny u boku Prezydenta Rzeczypospolitej i w tem jego siła i wielkość! W tem jednak tkwi także i tragizm polityczny kraju, albowiem człowiek, któremu oddano bez żadnych prawie zastrzeżeń klucz od skarbca narodowego, oraz ster nawy państwowej, nie czuje pod sobą gruntu stałego, nie widzi organicznej większości narodu polskiego, zespolonej w jedną całość polityczną, któraby w każdej chwili i w każdej okoliczności gotowa była murem stanąć za nim.

Nietylko wojna i pole bitwy stwarza bohaterów narodowych. Nie mniejsze prawo do tej zaszczytnej nazwy mają ci, którzy odważnie, z pełnem zaparciem się siebie, zdobywają pozycje na terenie pracy gospodarczej i politycznej na rzecz dobra publicznego i państwowego.

Takim bohaterem narodowym będzie w historji Polski p. Władysław Grabski.

Aleksander Laczysław.

Rekord nad rekordami

(Dalszy ciąg ze str. 9)

rząd kubański okazał się niezdolny do zabezpieczenia życia, własności i wolności osobistej mieszkańców. Nie była to czcza pogróżka: gdy w roku 1906 Kubańczycy wzięli się za czuby ze zbyt meksykańską fantazją, statki amerykańskie wysadziły na wyspę oddział wojska, który pozostał tam trzy lata, aż do przywrócenia ładu i przeprowadzenia nowych wyborów. Nauka nie poszła w las. Ubiegłej jesieni odbyły się na Kubie wybory, które mimo zaciętej walki miały przebieg spokojny i dały liberałom zwycięstwo, przyjęte przez przeciwników bez szemrania, karnie. Za cenę wewnętrznego ładu Kuba zachowała nadal pełną niepodległość.

Ta bezinteresowność daje Stanom moralną siłę, z którą bodajże kiedyś odezwą się do niesfornych sąsiadów z południa: „Albo rządźcie się karnie, albo wpakujemy was do czyśćca, aż do czasu, kiedy z łobuzowatych smarkaczów wyrośniecie na mężów w wielkiej rodzinie narodów". Wolno się nawet domyślać, gdzie kiedyś zacznie się ta „walka dwóch wiar". Stany bowiem posiadają jeszcze jeden czyściec i to w bardzo drażliwym punkcie Ameryki centralnej: wzdłuż kanału Panamskiego. Ten pas szerokości 16 kilometrów odstąpiła Stanom republika Panama. Był to nieużytek, do którego dostępu broniła żółta febra. Dziś tam panują stosunki sanitarne wzorowe i — konstytucja amerykańska stoi na straży tej tak ważnej arterji komunikacyjnej, której bezpieczeństwo nie może zależeć od nieobliczalnych humorów hiszpańsko-indyjskich mieszańców.

Jeśli Stany kiedyś tam wkroczą, by wnieść swój „życia prąd", tryskający z karności i ładu, to stanie się to pewno w tej samej myśli, która ujawniła się na Kubie, a której ślady odnaleźć też można w ich stosunku do spraw europejskich.

T. Ż. S.

Działalność Angielskich i Amerykańskich Przyjaciół w Polsce

(Dalszy ciąg ze str. 32)

sce i z innych krajów. Bardzo cenną zwłaszcza była wełna, ofiarowana przez Australję.

Prowadząc swą pracę, Towarzystwo Przyjaciół chciało wyrazić swe uczucia miłości do wszystkich ludzi i współczucie cierpieniom, spowodowanym przez wojnę. W przeświadczeniu, iż żadna wojna nie może być usprawiedliwioną, Towarzystwo Przyjaciół czyniło wszystko, by ulżyć w cierpieniach ludziom prostym: dzieciom, wieśniakom i biedakom, którzy w żaden sposób nie mogli być winnymi wywołania wojny, lecz którzy najbardziej ucierpieli wskutek pożogi wojennej.

W przeciągu 5-ciu lat około 108 osób z Anglji, Ameryki, Kanady i in. krajów brało w różnym czasie udział w naszej pracy. Każda z nich, w pewnym stopniu, spoiła swój kraj więzami przyjaźni z Polską i wzmocniła wzajemne zrozumienie się narodów, przez które, jak wierzą Przyjaciele, będzie usunięta możliwość przyszłych wojen.

Amerykańskie badania kwalifikacyj pracowników biurowych

(Dalszy ciąg ze str. 16)

w końcu 1-go, 2-go, 3-go, 6-go i 12-go miesiąca pracy. Za każdym razem notowano wyniki testów i opinję zwierzchników o każdym urzędniku. Zapisy te wykazywały stały wzrost uzgodnienia między wynikami testów i orzeczeniami zwierzchników. Np. ze 188 biuralistów, wybranych na zasadzie prób psychotechnicznych, uznano za dobrych:

po	I miesiącu	75%
„	II „	89%
„	III „	92%

A zatem orzeczenia o ludziach, wydawane na zasadzie prób kilkuminutowych, były dostatecznie wiarogodne i pewne, skoro zwierzchnicy po upływie 2, 3-ch miesięcy zgadzali się z opinją psychotechników.

Kończąc ten szkicowy referat, zwracam się z gorącem wezwaniem do Sz. Pp., aby zainteresowali się sprawą badań urzędników biurowych i prowadzili te łatwe i potrzebne badania w biurach, kantorach, urzędach, szkołach handlowych i t. p. w celu zebrania dostatecznie obfitego i wiarogodnego materjału doświadczalnego do:

a) określenia średnich wyników testów dla ludności w Polsce,

b) określenia własnych naszych sposobów badań,

c) ustalenia naszych racjonalnych wymagań względem urzędników,

d) wreszcie do pośredniego zainteresowania najszerszych warstw tą nową nauką, która ma znaczenie nie tylko ekonomiczne, ale i społeczne.

SPROSTOWANIE

Z powodu niewłaściwego podpisu pod reprodukcją obrazu „Orka" Ruszczyca (Ameryka-Polska Nr. 2) p. Stefan Benzef prosi nas o zamieszczenie następującego sprostowania:

„Pozwalam sobie zwrócić uwagę Sz. Redaktora, że znajdujący się w moim gabinecie służbowym obraz „Orka" nie pochodzi ze „zbiorów" moich, bo ich nie posiadam, lecz stanowi własność Banku."

Redakcja

Artykuł pierwszej potrzeby

Wojna niezmiernie zaszkodziła książce polskiej. Jakość treści, formy i wykonania graficznego spadła znacznie poniżej poziomu pierwszego dziesięciolecia naszego wieku. Zmniejszył się popyt, a co za tem idzie możność produkcji; z drugiej strony zamarła prawie twórczość literacka.

Okres inflacji — te czasy życia z dnia na dzień bez przewidywania, bez możności myśli o jutrze, nie tylko nie poprawiły sytuacji, lecz przeciwnie, pogorszyły ją znacznie i to zupełnie naturalnie: książka, jak żaden inny produkt, wymaga „planu", t. j. myśli twórczej u Autora i u Wydawcy, myśli nieraz na kilkanaście, a zawsze przy dobrej książce na kilka lat naprzód. A pojedyńcza książka to jeszcze nie wszystko; książka jest tylko najczęściej cząstką całego wydawnictwa, jakiejś kolekcji „bibljoteki". Jak można było tworzyć coś planowego, gdy pieniądz z dnia na dzień, z godziny na godzinę tracił wartość, i to zawsze w okresach największego ruchu sprzedażnego w księgarstwie, gdy nie było czasu ani możności odrazu go lokować w produkcji, a księgarz z natury swego zawodu przeważnie do żadnej krótkoterminowej spekulacji biało- ani czarnogiełdowej się nie nadaje. Więc nie planowano. Produkowano byle prędzej i takie rzeczy, które gwarantowały najszybszy zbyt. Niewiele to pomogło, i księgarstwo wogóle, a księgarstwo wydawnicze w szczególności, poniosło olbrzymie straty.

Pan Premjer Grabski, wprowadzając stałą walutę, oddał książce polskiej nadzwyczajną przysługę. Umożliwił przez to planową akcję wydawniczą, opartą zawsze na jednej wielkiej niewiadomej „jak książka pójdzie", ale nie znoszącej żadnych niewiadomych dodatkowych. Pomimo kryzysu, pomimo szalonych kosztów produkcji, wynoszących czasem aż cztery razy tyle co przed wojną, przemysł wydawniczy ruszył z martwego punktu, książka ożyła.

Wracają wydawnictwa piękne, książki zwyczajne drukuje się ładnie, na dobrym papierze, znać wielkie staranie o zewnętrzny wygląd i... szacunek dla czytelnika.

Mówi się ogólnie, że książki są drogie, że jest to artykuł zbytku... Fatalny błąd w rozumowaniu i poprostu pomyłka logiczna. Jako punkt wyjścia bierze się zwykle cenę przedwojenną, albo cenę książek francuskich podobnej objętości. Tak jakby wszystkie inne towary i wogóle koszt utrzymania stosował się do cen przedwojennych lub francuskich obecnych, a tylko książki były swoiście, po polsku, drogie. Książkę trzeba brać w porównaniu z naszemi cenami, a wtedy okaże się, że pomimo że od wiosny roku przeszłego, to jest od wprowadzenia złotego, prawie wszystkie ceny poszły w górę — książka ani drgnęła. A więc staniała bardzo poważnie.

I jeszcze tanieje. Naturalnie cena książki francuskiej w tej chwili jest nieosiągalnem marzeniem: po pierwsze dlatego, że Francuzi produkują na cały świat w setkach tysięcy i miljonach egzemplarzy, a w Polsce można na palcach wyliczyć te dzieła, które przekraczają dziesięć tysięcy; po drugie, że Francja wogóle jest kilka razy tańsza od Polski.

„A więc dlaczegóż nie drukujecie zagranicą, choćby w tej samej Francji?'" możnaby zapytać. Temu staje na przeszkodzie, pomijając już obowiązek patrjotyczny produkowania w kraju, konieczność utrzymania i podtrzymania przemysłu graficznego, który łatwo zdezorganizować, ale niezmiernie trudno podnieść potem na właściwy poziom. Tylko w wyjątkowych wypadkach, tam, gdzie przemysł krajowy jest nieprzystosowany do danej roboty, albo nie umie jej zrobić, albo nie może jej wykonać terminowo, wydawcy uciekają się do pomocy zagranicy. Wtedy całą korzyść z różnicy cen odnosi publiczność: np. „Słownik Ilustrowany Języka Polskiego" w jednym tomie, któryby wyprodukowany u nas kosztował 80 złotych co najmniej, sprzedaje się po 28 zł.; dwa wspaniałe albumy „Malarstwo Polskie" i „Louvre", zawierające po 50 plansz kolorowych, drukowane w Paryżu, kosztują zaledwie po 50 złotych, gdy tymczasem koszt własny u nas byłby kilkakrotnie wyższy. Co do tych dwóch ostatnich albumów publiczność winna wielkie podziękowanie Rządowi, który dla udostępnienia ich szerszym kołom inteligencji, zrezygnował z cła od obrazków, zaoszczędzając w ten sposób kupującemu po kilkanaście złotych.

Ale i książka wykonana w kraju, dzięki udoskonaleniom drukarstwa, ulepszonej organizacji produkcji, i t. d. — tanieje. Przecież już mamy duże tomy powieściowe po złotemu i nawet taniej (London np.), całe bibljoteki za grosze (Bibljoteka Dzieł Wyborowych). A miesięczniki? weźmy choćby naszą „Amerykę-Polskę": dwie i pół godziny czyta się jej 40,000 słów, godzina przyjemności kosztuje więc zaledwie złotówkę, a pożytek i korzyść to czytelnik już zupełnie darmo otrzymuje!

Wydawca zrobi wszystko, co w jego mocy, by książka była tańsza i lepsza. Ale i Ty, Czytelniku, a może piękna Czytelniczko? musisz się do tego przyczynić, bo to głównie od Ciebie zależy. Nie narzekaj, że książka polska droga, tylko kupuj, jeżeli ci ciężko z gotówką, to choćby „na raty" i czytaj, a ręczymy Ci, że książka stanieje z samej radości, że nie jest kopciuszkiem, lecz miłowanym i szanowanym Artykułem Pierwszej Potrzeby.

St. A.

Idee przewodnie w filmie Amerykańskim

W Warszawie wyświetlano film p. n. „Dziesięcioro Przykazań". Wzbudził on dość dużą uwagę dzięki bardzo pomysłowej i bogatej wystawie, jak również wspaniałemu ujęciu strony fotogeniczno-technicznej. Krytyka, omawiając z uznaniem stronę techniczną filmu, naogół dość słabo zaznaczyła walory jego treści, a w kilku wypadkach zaktualizowała ją nawet, nawiązując do antagonizmów rasowo-wyznaniowych. Otóż pragnęlibyśmy na tem miejscu podkreślić pewne idee przewodnie tegoż filmu, jak również filmów amerykańskich wogóle.

Panujące w Europie poglądy na sztukę wogóle, a film w szczególności, wykluczają wprowadzanie do tak zwanej „czystej sztuki" jakiegokolwiek moralizatorstwa lub tendencyjności. W dziedzinie kina również podkreśla się „czystą grę" i „ściśle kinematograficzny scenarjusz", stwarzając w ten sposób niepodległe państwo nowej sztuki — Filmony.

Sztuka amerykańska jednak ujmuje swe zadanie jako funkcję życia; każdy przejaw zorganizowany, społeczny winien, według wybitnych teoretyków, przodowników myśli państwowo-twórczej, mieć na pieczy przedewszystkiem wzgląd na obywatela i jego zdrowie moralne. Są dzieła traktujące np. o roli wychowawczej reklamy, jako takiej, o wpływie jaki może mieć na człowieka ogłoszenie, które dotarło doń we właściwym momencie. Zainteresowano się każdym niemal przejawem życia i sztuki. Naturalnie są to wytyczne teoretyczne dla rozwoju społeczeństwa i w praktyce życiowej istnieją wielkie odchylenia od powyższych zasad, jednak świadomy ogół zdaje sobie sprawę, że tylko w ten sposób można kształcić i urabiać niejednolity i niescementowany dotąd typ obywatela-Amerykanina. Doprowadza to do ogólnej t. zw. „standaryzacji", t. j. stwarzania myśli, ludzi i ich dzieł na jedną modłę, co w danych warunkach jest jednak koniecznością. Podkreślić również należy, że religijność i rozważania natury etyczno-religijnej grają bardzo wielką rolę w życiu społeczeństwa anglosaskiego i amerykańskiego. Powstawanie i ścieranie się ze sobą wielu sekt i prądów religijnych, pewna bigoterja nawet — sprawiają, że kwestjom tym poświęca się stosunkowo bardzo wiele miejsca w codziennem życiu i wywołują one duże zainteresowanie.

Amerykanie, jedni z pierwszych, ocenili potężną rolę wychowawczą filmu. Szalony, nieprawdopodobny rozwój tej sztuki stworzył z niej całą dziedzinę myśli i zainteresowań każdego człowieka. Według panujących u nas poglądów nauczanie i moralizatorstwo należy zostawić t. zw. „filmom kształcącym", na które chadza młodzież szkolna z nauczycielami; dorosłym daje się rzeczy „tylko dla dorosłych", w których względy natury etyczno-moralnej roli nie grają, a sukces zależy od umiejętnego podrażnienia najniższych instynktów erotycznych, lub też, w lepszym wypadku, wyzyskania aktualnych i modnych haseł dnia.

Jednak współczesna amerykańska opinja twardo żąda od każdego filmu, aby był w zgodzie z zasadniczemi pojęciami moralno-religijnemi i aby ideę triumfu dobra i szlachetności przeprowadzał. Film musi głosić „twórczy optymizm", musi zachęcić widza do pokonania wszelkich trudności w swem życiu, ukazując daleko większe, które w baśniowem życiu filmu zostały pokonane. Film musi głosić potęgę „ś m i e c h u", tej fundamentalnej podstawy społeczeństwa. Charlie Chaplin np. jest uważany za zasłużonego męża... na polu formowania społeczeństwa, na nowych zasadach opartego. „U ś m i e c h z w y c i ę ż a" jest „standartowem" nowożytnej myśli amerykańskiej wezwaniem.

Niestety, Europa przyjmuje dość mało tych właśnie filmów, które są może najwięcej typowe dla produkcji i umysłowości amerykańskiej. Film „Dzięsięcioro Przykazań" zrobił wyłom w tym względzie, prawdopodobnie dzięki swej technice. Jest on bardzo znamienny ze względu na konsekwentnie przeprowadzoną ideę przewodnią triumfu Dobra nad Złem, jak również doskonale przedstawioną epokę biblijną.

Zaznaczyć trzeba, że epoka ta, dzięki roli, jaką gra biblja w życiu moralnem społeczeństwa amerykańskiego (specjalne t. zw. „Bible study courses" etc.), jest bardzo dokładnie znaną i stale komentowaną, a więc film oddał tu tylko ogólne w tej mierze zainteresowania.

Odmienne warunki życia europejskiego wywołują również inny rodzaj pojęć o sztuce kinematograficznej. Jednak reakcja „praktycznego idealizmu", ogarnia i trzeźwą Europę — spodziewać się więc należy, że i film europejski wielkim celom tworzenia człowieka nowego służyć zacznie.

St. C.

Dwugłos o Finlandji:
polski i amerykański

EX-PREZYDENTOWA FINLANDJI AUTORKĄ POWIEŚCI „NIEDZIELA"

Dnia 1 marca została dokonana w Finlandji, w drodze konstytucyjnej zmiana prezydenta Rzeczypospolitej. Ustąpił dotychczasowy prezydent Karlo Juho Ståhlberg, który, będąc pierwszym prezydentem Finlandji godność tę piastował od stłumienia czerwonego powstania. Z dniem 1 marca r. b. objął urzędowanie nowoobrany prezydent Finlandji, Lauri Kristian Relander, członek fińskiego stronnictwa agrarjuszy, ostatnio naczelnik prowincji wyborskiej. W dniu powyższym odbyła się w zimowej rezydencji prezydenta w Helsingforsie uroczysta ceremonja przekazania najwyższej władzy w państwie przez dotychczasowego prezydenta nowemu.



Ex-prezydentowa Finlandji pani Ester Ståhlberg.

Prezydent Ståhlberg zdołał przez czas swej kadencji uzyskać ogólny szacunek i przywiązanie narodu i stał się tak popularnym, iż wszystkie bez wyjątku stronnictwa upraszały go o pozostanie w piastowanej godności na nową kadencję. Zmęczony jednak brzemieniem obowiązków państwowych, prezydent Ståhlberg zapragnął wypoczynku i powrócił do dawnego życia w pełnej chwale szacunku i przywiązania do niego narodu. Profesor z zawodu i znany działacz społeczny obecnie staje znowu do pracy społecznej i naukowej, a niewątpliwie świat usłyszy jeszcze nieraz jego imię w związku z dalszemi jego pracami w tych dziedzinach. Należy tu podkreślić, iż również popularną w kraju jest małżonka byłego prezydenta, pani Ester Ståhlberg, z domu Elfving, primo voto Hällstrom, znana działaczka na niwie społecznej i literackiej. Po wydaniu kilku studjów i utworów literackich pani Ester Ståhlberg zdobyła rozgłos autorki ostatniem swem dziełem „Sunnuntai" (po fińsku) lub „Söndag" (po szwedzku). Powieść ta, napisana przez nią jednocześnie w dwóch językach krajowych, wyszła w Finlandji w kilkunastu nakładach i została przetłomaczona na kilka języków obcych. Polska zapozna się z tem dziełem, zawdzięczając autoryzowanemu przekładowi, dokonanemu przez panią Zofję de Bondy, małżonkę byłego pierwszego sekretarza Poselstwa Polskiego w Finlandji. Książkę tę, zatytułowaną po polsku „Niedziela", wydała Księgarnia Gmachowskiego w Częstochowie, której dział literacki prowadzi prof. dr. Stanisław Pazurkiewicz. „Niedziela" jest opatrzona fotografją autorki i przedmową red. Zdzisława Dębickiego.

SPORTOWCY FINLANDZCY PODNOSZĄ WARTOŚĆ SWEJ OJCZYZNY NA $ 10.000.000

Wartość zwycięstw małej grupy sportowców finlandzkich, z p. Paaro Nurmi na czele, na igrzyskach olimpijskich w Paryżu oraz w spotkaniach w Ameryce, została oceniona przez rząd finlandzki i bankierów amerykańskich nie mniej, niż na $ 10.000.000.

Podczas obiadu, urządzonego w domu p. Ch. E. Mitchella, prezesa banku nowojorskiego, National City Bank, który sfinansował ostatnio trzy pożyczki finlandzkie, nazwisko Nurmiego wymieniano bardzo często. Pan Leonard Astrom, minister Republiki Finlandzkiej przybył do Nowego Jorku w celu udekorowania p. Mitchell'a orderem Białej Róży, najwyższą odznaką honorową Republiki.

P. Astrom wyraził pogląd, że czyny Nurmiego, Ritoli, Stenroosa i in. sportowców przyniosły Finlandji w ostatniem stuleciu więcej rozgłosu i chwały, niż cokolwiek innego, niż nawet obwieszczenie niepodległości Finlandji. W odpowiedzi na to p. Mitchell podkreślił, że i jego spostrzeżenia potwierdzają ten pogląd: Amerykanie są wprost zelektryzowani nadzwyczajnemi sukcesami tej grupy sportowców finlandzkich i ludzie, którzy dotychczas poświęcali znikomo mało uwagi Finlandji, naraz zaczęli się pytać i dowiadywać, co to za naród, który wydaje tak silnych i świetnych atletów? Rezultatem takiego ogólnego zainteresowania było to, że kredyt Finlandji na amerykańskim rynku pieniężnym wzmógł się w niebywałym stopniu. Popyt na



Wnętrze Pałacu Zimowego Prezydenta Finlandji.
Gabinet Prezydenta.

obligacje pożyczek finlandzkich rośnie z dnia na dzień coraz wyżej, albowiem naród, który ma tak zdrowych i zahartowanych obywateli, jest dosta-



Wnętrze Pałacu Zimowego Prezydenta Finlandji.
Salon recepcyjny.

teczną rękojmią, że zobowiązań swych zawsze i w każdym wypadku dotrzyma. (Taki jest głos prasy amerykańskiej).



Letnia rezydencja Prezydentostwa Finlandji „Kultaranta".

AVANT LA LETTRE

Książki dr. T. Dzieduszyckiego „U podstaw usprawnienia pracy i państwowości naszej".

W najbliższych dniach wyjdzie z druku niezmiernie ciekawa książka pod powyższym tytułem. Temat wielkiej doniosłości i żywotności, jakim jest usprawnienie całej gospodarki krajowej i oparcie na wzorach zachodnich, zwłaszcza zaś amerykańskich, znalazł w książce dr. Dzieduszyckiego szerokie i głębokie ujęcie, nacechowane rozmachem, energją i optymizmem „amerykańskim".



Paavo Nurmi.

Znakomity biegacz, Finlandczyk, jest prawdziwym fenomenem. Pobiwszy wszystkie rekordy w Europie obecnie zwycięża wszystkich w Ameryce. Ostatnio stanął do biegu w Nowym Jorku i przebiegł 2.000 metrów w czasie 5 min. 33 sek. Jest to już ósmy jego rekord w Stanach Zjednoczonych.

Wychodząc z zestawień cyfrowych i porównawczych, autor szuka dróg, wiodących szybko i składnie do lepszej przyszłości gospodarczej i kulturalnej.

W następnym kwietniowym numerze pisma naszego podamy wyjątek z tej książki, zaopatrując go jednocześnie w specjalną ankietę, w celu zachęcenia Czytelników do przestudjowania całości oraz do wypowiedzenia się w sprawach pierwszorzędnej wagi dla naszego rozwoju gospodarczego, a więc i dla naszej egzystencji państwowej.

Redakcja.

O głównej różnicy pomiędzy naszem ogłoszeniem a amerykańskiem

Według powszechnego poglądu, zarówno w szerokich warstwach społeczeństwa naszego, jak i w sferach kupieckich, różnica pomiędzy ogłoszeniem naszem a ogłoszeniem „amerykańskiem" leży głównie w sumie pieniędzy, wydanych na ogłoszenie. Wystarczy, by jakaś firma często umieszczała w dziennikach jednostronicowe ogłoszenia, posługiwała się olbrzymiemi afiszami, by opowiadano odrazu o ogłoszeniu „naprawdę amerykańskiem". W rzeczywistości jednak różnica w sumach, wydawanych na ogłoszenie, jest może najmniejszym szczegółem, różniącym oba typy ogłoszeń. Jest cały szereg różnic ważniejszych, dzielących ogłoszenie nasze od ogłoszenia w Stanach Zjednoczonych, najważniejszym jednak szczegółem, odróżniającym zasadniczo ogłoszenia obu krajów, jest rozmaitość celów, dla których używa się ogłoszenie w Stanach, względnie u nas.

Rozmaitość celów! Napozór niedorzeczność. W Ameryce ogłoszenie ma inny cel, niż ogłoszenie u nas. Dlaczego używa się ogłoszenia u nas? Większość naszych kupców czy przemysłowców odpowie bez wahania: „Poprostu dla o g ł o s z e n i a mego towaru, dla zapoznania publiczności z moim produktem czy z moją firmą". Pogląd ten co do celu ogłoszenia podziela zresztą cały szereg wybitnych ekonomistów europejskich (Prof. Mataja, autor „Die Reklame"). Nic w tem zresztą dziwnego. Przecież sam wyraz OGŁOSZENIE wyraźnie mówi o celu. Tak samo i w angielskim języku t o a d v e r t i s e nie znaczy nic innego, jak rozgłaszać, uwiadamiać. I rzeczywiście dawne ogłoszenia nie miały innego celu, jak ogłaszać, jak zaznajamiać społeczeństwo z towarem, czy firmą ogłaszającego.

Tymczasem Amerykanie ogłoszeniu dali inny cel, daleko większy. Według koncepcji amerykańskiej ogłoszenie ma s p r z e d a ć towar ogłaszany, ma przynajmniej w wybitny sposób pomóc w jego sprzedaży. I doświadczenia długich lat i tysięcy przedsiębiorstw pokazały, że jedynie ogłoszenie „sprzedające" jest racjonalne. Że jedynie sumy wydane na ogłoszenie, które sprzedaje, są usprawiedliwione. Że jedynie tego rodzaju ogłoszenia opłacają się. Ta różnica celów pomiędzy dwoma typami ogłoszeń pociąga za sobą różnicę w sposobach osiągnięcia tych rozmaitych celów, tworzy dwie rozmaite techniki ogłoszeniowe. I właśnie dlatego różnica pomiędzy obu rodzajami ogłoszeń co do celu jest najważniejszą różnicą, dzielącą zasadniczo ogłoszenie nasze od ogłoszenia „amerykańskiego".

Ponieważ celem naszego ogłoszenia jest tylko zapoznanie pewnych warstw ludności z pewnym towarem, największy wysiłek nasz skierowany jest na zastosowanie w ogłoszeniu jak najwięcej elementów, zwracających uwagę. Cel naszego ogłoszenia jest osiągnięty, gdy najwięcej ludzi je zobaczyło i przeczytało. O ile możności posługujemy się w tym celu wielkiemi formatami ogłoszeń, czy też częstotliwością ogłoszeń. Szukamy oryginalności w tekście (Tabromik), czy też w środkach ogłoszeniowych (ogłoszenia na kartkach pocztowych, na biletach tramwajowych, na skrzynkach listowych i t. p.). Zdaje się ogłaszającemu nieraz, że oryginalność to główna zaleta dobrego ogłoszenia.

Tymczasem Amerykanin stara się umieścić w swem ogłoszeniu jak najwięcej elementu „sprzedażotwórczego". Elementy, zwracające uwagę, używa się tu tylko dla zabezpieczenia danego ogłoszenia przed zaginięciem w powodzi innych ogłoszeń. Główny nacisk jednak kładzie się na elementy, po których przeczytaniu nabiera się zaufania do ogłaszanego towaru, uznaje konieczność jego posiadania, przyznaje wyższość nad innemi towarami tego samego rodzaju, czy decyduje się do kupna próbnego przy najbliższej sposobności.

Tak, ale to nie jest dokonaniem sprzedaży, — powie niejeden. I miałby rację, gdyby jako sprzedaż uważał on tylko tę chwilę, w której ktoś decyduje się na kupno czegokolwiek i zamawia towar, czy też płaci odrazu, a kupiony przedmiot zabiera ze sobą. Sprzedaż jednak to nie odosobniony całkiem akt wymiany pieniędzy (czy przyrzeczenia zapłaty) z pewnym towarem. Sprzedaż to długi proces psychologiczny, składający się z rozmaitych, po sobie następujących faz odrębnych, począwszy od zupełnej nieznajomości towaru, a skończywszy na zapłacie. Nim jednak ostatni ten akt nastąpi, musi przyszły odbiorca dowiedzieć się o tym towarze, musi uznać zdolność tego towaru w zaspokojeniu jego potrzeb, musi się przekonać o jego wyższości nad innemi podobnemi towarami, nabrać zaufania do wytwórcy, czy sprzedającego. I właśnie celem ogłoszenia amerykańskiego jest przeprowadzenie czytelnika przez te poszczególne fazy procesu myślowego, przemienienie obojętnego człowieka w możliwego odbiorcę ogłaszanego towaru. O g ł o s z e n i e a m e r y k a ń s k i e l u b, d o k ł a d n i e j m ó w i ą c, o g ł o s z e n i e n o w o c z e s n e m a n a c e l u p r z y g o t o w a ć s p r z e d a ż. Przygotować raczej niż sprzedać,

gdyż zazwyczaj ostatni akt sprzedaży, a więc wymianę pieniędzy za towar, załatwia personel sprzedający. Często akt ten ogranicza się na zażądaniu przez kupującego pewnego rodzaju towaru i zapłacie. Nieraz jednak personel musi wytłumaczyć niejeden szczegół, usunąć niejedną wątpliwość, podać może argument nowy przekonywający, by dana osoba zdecydowała się na kupno. Trzeba bezstronnie przyznać, że ten akt ostatni procesu sprzedaży jest najtrudniejszy i dlatego wymaga indywidualnego traktowania przez personel sprzedający, podczas gdy inne fazy sprzedaży mogą być załatwione masowo przez ogłoszenie.

Ogłoszenie więc nowoczesne ma przygotować sprzedaż, ma ułatwić personelowi sprzedającemu (czy to personel sklepowy, czy agent podróżujący) dokonanie sprzedaży. Musi więc zawierać w sobie elementy, wywołujące w umyśle czy uczuciach czytelnika odpowiednie procesy psychologiczne, doprowadzające do kupna. I dlatego ogłoszenie nowoczesne w odróżnieniu od ogłoszenia pierwotnego, „mechanicznego", jest ogłoszeniem psychologicznem. Podczas gdy ogłoszenie „mechaniczne" stara się tylko zwrócić uwagę na ogłaszany towar, ogłoszenie „psychologiczne" stara się o wywołanie w czytelniku pewnego procesu psychologicznego, doprowadzającego do kupna. Zazwyczaj ogłaszający rozdziela na całą serję pojedyńczych ogłoszeń poszczególne elementy, mające wywołać pojedyńcze fazy psychologiczne. Jedno ogłoszenie więc opisuje nam, np., wygodę i komfort, jaki daje używanie materaców X, celem wywołania u nas potrzeby lepszego odpoczynku i snu, niż mamy dotychczas. Drugie ogłoszenie podaje nazwiska znanych osób, czy też luksusowych hoteli, używających wyłącznie materaców X, dla uzyskania naszego zaufania co do jakości. Trzecie ogłoszenie wkońcu oblicza długotrwałość materaców X i kalkulując tem do naszego instynktu oszczędnościowego. I tak dalej. Podczas gdy ogłoszenie pierwotne podaje opis towaru w najlepszym razie obok adresu firmy sprzedającej czy produkującej, zostawiając czytelnikowi swobodę nad dalszem zastanawianiem się nad ogłoszonym towarem, na ewentualny wysiłek umysłowy, przedstawiający korzyści z posiadania danego towaru, ogłoszenie psychologiczne zapomocą tekstu czy ilustracji daje już gotowy obraz korzyści z posiadania ogłaszanego towaru, zapomocą odpowiednio dobranych argumentów usuwa z umysłu czytelnika motywy, sprzeciwiające się kupnu, słowem, czyni go „dojrzałym" do kupna. I dlatego też słusznie prof. D. S t a r c h z Harvard University nazywa ogłoszenie nowoczesne „sprzedawaniem zapomocą druku".

Wyszukanie jednak tych elementów psychologicznych, działających w kierunku dla ogłaszającego pożądanym, nie jest łatwem. Przeglądając historję reklamy w Stanach Zjednoczonych, widzi się, że pierwszymi ogłoszeniowymi ekspertami byli eksperci sprzedaży. Ci bowiem najlepiej znali powody, dla których ludzie kupowali, względnie wstrzymywali się od kupna. Te same argumenty, które służyły im w osiągnięciu sprzedaży osobistej, używali w ogłoszeniu. Zczasem jednak prócz tekstu przybył szereg innych elementów, wpływających na psychikę mas (np. ilustracja, odpowiednie typy czcionek), przybyły rozmaite środki ogłoszeniowe. Ogłoszenie nowoczesne wymagało fachowców, zajmujących się wyłącznie skomplikowanym problemem „sprzedaży zapomocą druku". I obecny rozwój ogłoszeniowej techniki w Stanach Zjednoczonych to rezultat pracy tysięcy fachowców, tysięcy organizacyj specjalnych, poświęcających się wyłącznie problemowi ogłoszenia, rezultat dokładnych studjów i badań zagadnień ogłoszeniowych na wydziałach handlowych amerykańskich uniwersytetów i w prawdziwych laboratorjach ogłoszeniowych wielkich przedsiębiorstw.

Weźmy typowe takie jednostronicowe ogłoszenie kolorowe w Saturday Evening Post. Ogłoszenie pasty do zębów. Zwracamy na nie uwagę z wielu powodów. Ilustracja przedewszystkiem, następnie stosunkowo krótki tekst, zachęcający do przeczytania. Nagłówek nas zaciekawia i wprowadza w tekst główny. W kilku słowach dowiadujemy się, że jednym z głównych warunków zdrowych zębów są zdrowe, silne dziąsła i właśnie ogłaszana pasta utrzymuje dziąsła w zdrowotności, a dziąsła osłabione i miękkie wzmacnia w krótkim czasie. Argument ten przekonywa nas dość silnie. Postanawiamy, po skończeniu się obecnie używanej pasty, kupić na próbę pastę ogłaszaną. Odcinek, umieszczony jednak w rogu, upoważnia nas do otrzymania bezpłatnej próbki w najbliższym sklepie, sprzedającym tę pastę. Odrywamy więc i wieczorem już pasta ta znajduje się na naszej umywalni. Napozór nic trudnego w ułożeniu takiego ogłoszenia. A jednak jest ono rezultatem badań i prób kosztownych i długich. Każdy element ogłoszenia: ilustracja, nagłówek, argument, odcinek był badany osobno. Zapomocą specjalnych metod określono wartość „sprzedającą" poszczególnych elementów. Z setki, czy nawet tysiąca nagłówków, ilustracyj, wybrano najsilniej działające i złożono z nich kilkanaście ogłoszeń. Teraz ogłoszenia już z wszystkiemi elementami poddane były próbie i wkońcu najlepsze pojawia się w czasopiśmie tak samo obranem po dłuższych próbach i badaniach i w odstępach czasu tak samo zbadanych przedtem. I w ten sposób przygotowuje się choćby najkrótsze ogłoszenia w dziennikach, afisze uliczne, broszury i składanki (folders), katalogi i czasopisma firmowe. I dopiero tak przygotowane ogłoszenie daje rezultaty dodatnie, obliczalne w dolarach.

U nas, niestety, ogłoszenie pierwotne „mechaniczne", panuje niepodzielnie. Działając tylko powierzchownie na masy, osiąga słabe rezultaty.

Olgierd Langer.

CO MÓWI PRASA
O
JANIE SOBIESKIM
AR. ŚLIWIŃSKIEGO



„Po przeczytaniu znakomitej i wspaniale przez księgarnię M. Arcta wydanej książki p. t. „Jan Sobieski” idę podzielić się z autorem mojemi wrażeniami. Co za wstrząsający obraz! Jak wielkie napięcie dramatyczne w całym przebiegu życia genjalnego wojownika, którego oplotły ciężkie sieci intryg i przeciwności losu! Jakie kontrasty niesłychane pomiędzy potężną wolą nieustraszonego rycerza a zupełnie bezwolnem posłuszeństwem wobec uroków kobiety, której kaprys więcej może ważyć, niż wszystkie jego najpoważniejsze decyzje! Jaka miłość szalona, wyciskająca złe piętno na życiu publicznem narodu! Osoby dramatu: Ludwika Marja, zła i przewrotna, panująca wszechwładnie na dworze i kierująca wszystkiemi krokami Jana Kazimierza; Marja Kazimiera, piękna cudzoziemka, zabiegająca o awantaże i łaski francuskiego dworu dla siebie i dla swego ojca, margrabiego d'Arquien, zrujnowanego i rozpustnego hulaki, a zarazem sprzymierzona w niecnych intrygach z królową i potwornie wyzyskująca uczucie Sobieskiego; wróg królowej, Jerzy Lubomirski, z którym Sobieski, wbrew przekonaniu i wbrew woli, zmuszony jest nietylko walczyć, bo tak chce Marysieńka, ale i przyjąć odebraną Lubomirskiemu buławę polną i wszystkie inne dostojeństwa, bo tak każe Marysieńka; Michał Wiśniowiecki, obrany królem i sam zdumiony tym nieoczekiwanym faktem, bo się ta kandydatura wyłoniła z chaosu, jak deux ex machina; hetman Doroszenko, zdrajca, łamiący każde przyrzeczenie i każdą przysięgę; dziesiątki, setki całe warchołów, wysługujących się obcym potencjom, a dla ubarwienia wielkiego dramatu „chóry” francuskie, rosyjskie, austrjackie, tureckie, tatarskie, biskupi, senatorzy, kanclerze, hetmani, wojewodowie—wszystko w krwawem skłóceniu. A na tem tle — życie Sobieskiego, pełne chwały i nieszczęścia. Zwycięstwo podhajeckie, wyprawa na czambuły tatarskie, obrona Lwowa, walki pod Żórawnem, odsiecz wiedeńska— i wszystkim bojom towarzysząca zgryzota z powodu niedobrej, chłodnej, a tak ubóstwianej Marysieńki. A wkońcu rozpacz starego króla, który w domu ma poprostu piekło: już nie Marysieńka, ale stara Marja nienawidzi swego syna Jakóba, a przytem kłóci się ohydnie i z mężem i ze służbą i z rezydentami. Powie tedy nieszczęśliwy król: „Łatwiej mi bić nieprzyjaciół, niż zgodę utrzymać we własnym domu...

Książka Artura Śliwińskiego napisana jest z dobrem wyczuciem tego dramatycznego napięcia we wszystkich fazach życia Sobieskiego. Czyta się przez to, jak piękny utwór literacki. Mamy tu świetną charakterystykę poszczególnych osób i doskonałą plastykę w obrazie epoki...”

„Wiadomości Literackie” № 45, 1924 r.

KRONIKA

Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce oraz Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego

SPRAWOZDANIE RADY
Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce za rok 1924.

W dniu 20 lutego r. b. odbyło się Walne Zgromadzenie Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce pod przewodnictwem prezesa Izby, p. Leopolda Kotnowskiego, który, otwierając posiedzenie, zobrazował rezultaty wytężonej działalności, prowadzonej przez Izbę, która bezustannie pogłębiała stosunki handlowo-kulturalne między obu krajami i wzmagała wzajemne zaufanie i kontakt bezpośredni.

Z radością podkreślono rezultaty tych wysiłków w postaci sukcesów Rządu w zawarciu umów, konsolidujących nasz dług państwowy w Stanach Zjednoczonych i uzyskania miljonowej pożyczki państwowej — co jest dowodem realności i owocności działalności Izby.

Walne Zgromadzenie zatwierdziło sprawozdanie Rady z działalności za rok 1924 (zamieszczone przez nas poniżej) oraz sprawozdanie Komisji Rewizyjnej i bilans.

Na miejsce ustępujących członków wybrani zostali do Rady pp. A. Wieniawski, K. Hejmowski, A. Barber, P. Klopstock, S. Szumański, L. Kotnowski, I. Zagleniczny, K. Kowerski, A. Leszczyński, L. Straszewicz, E. Bojemski.

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali pp. Helena Bisping, I. Hebdzyński, A. Iwański, C. Łoziński, M. Pate.

Walne Zgromadzenie uznało, że Izba ma moralne prawo wystąpienia o subsydjum państwowe dla sprostania zadaniom, które wobec wzmożenia amerykańskiej działalności inwestycyjnej przed nią powstają, oraz postanowiło jednogłośnie wyrazić panu prezesowi Izby, Leopoldowi Kotnowskiemu, wyrazy uznania i podzięki za pełną poświęcenia pracę w Izbie.

Na wstępie swego sprawozdania, obejmującego czwarty rok działalności Izby, pragnie Rada oddać hołd pamięci jednemu ze swych członków, ś. p. Stanisławowi Mikułowskiemu-Pomorskiemu, który zmarł w jesieni ubiegłego roku, a którego stratę wybitnie cennej i czynnej współpracy narówni z Izbą odczuły dotkliwie polskie sfery rolnicze i handlowe.

CZŁONKOWIE IZBY

Skład członków na dzień 1 stycznia 1925 roku przedstawiał się, jak następuje: członków honorowych 1, wspierających 2, rzeczywistych 65, zwyczajnych 102, bezpłatnych 8. Ogółem członków 176, czyli o 44 więcej niż w roku ubiegłym. Natomiast zgłosiło się 65 nowych członków, w tem 22 rzeczywistych i 43 zwyczajnych.

POSIEDZENIA

Rada odbyła 4 posiedzenia, Komitet Wykonawczy zaś 18. Ważniejsze z nich były następujące: posiedzenie w dniu 3 kwietnia, na którem zdecydowano delegować generała W. Zagórskiego i p. L. Straszewicza na Kongres Transportu Samochodowego w Detroit; posiedzenie w dniu 20 maja, na którem zdecydowano przyjęcie udziału przez Izbę w utworzeniu Polsko-Amerykańskiej Spółki Handlowej; posiedzenie w dniu 3 lipca, na którem generał Zagórski wobec członków i zaproszonych gości, przedstawicieli Rządu i sfer przemysłowych, omawiał wrażenia z pobytu w Ameryce i składał sprawozdanie z Kongresu Samochodowego; posiedzenie w dniu 7-ym sierpnia, na którem w obecności członków, przedstawicieli organizacyj społecznych i związków, pp. P.

REPORT OF THE COUNCIL
of the American Polish Chamber of Commerce and Industry in Poland for the year ending Dec. 31, 1924.

In this, the fourth annual report on the affairs of the Chamber, the Council first of all desires respectfully to pay tribute to the memory of one of its members, Mr. Stanisław Mikułowski-Pomorski, who passed away last fall. The loss of his amiable, highly efficient and active co-operation has not only been deeply felt by the Chamber, but by the agricultural and allied business circles of Poland as well.

MEMBERSHIP

On January 1st, 1925, the membership of the Chamber consisted of 1 Honorary Member, 2 Sustaining Members, 65 Active, 102 Associate and 8 Gratuitous Members, of which 20 are Americans and 160 Poles; thus giving a total of 176, an increase of 44 over last year. Resignations from 14 Members were received while 6 were dropped off the roll. These losses were more than compensated by the 65 applications subbmitted by the 22 new Active and 43 Associate Members.

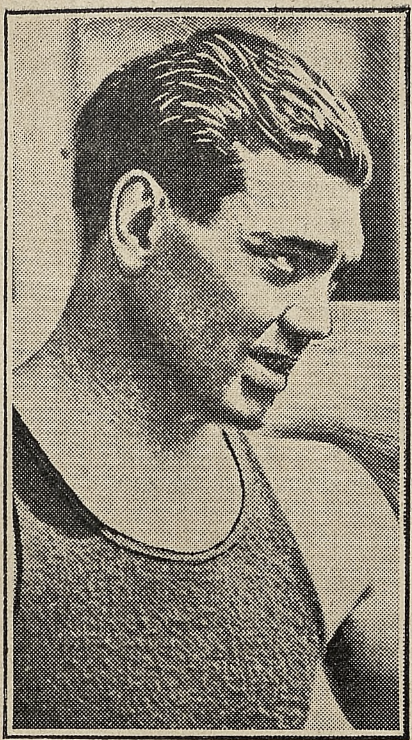
MEETINGS

Eighteen meetings were held by the Executive Committee during the past year while the Council convened four times. Of these the following were the most important: that of April 3rd at which General W. Zagórski and Mr. L. Straszewicz were appointed delegates of the World's Motor Transport Congress held in Detroit; that of May 22nd at which it was decided that the Chamber participate in the organization of the Polish-American Trading Corporation; that of July 3rd at which General Zagórski spoke on his trip to the U. S. in the presence of members, invited guests and Government officials; that of August 7th at which Messrs. Drzewiecki and Łubienski reported on the proceedings of the Prague International Management Congress before members, representatives of the press and trade associations, and that of November 13th at which a decision was reached jointly with representatives of all Polish-foreign Chambers of Commerce to act in concert against the passing of a bill which would deprive the Polish-foreign Chambers of the right to use the word „Chamber" in their name.

The Editing Committee, Finance Committee, Efficiency Engineering Committee and Motor Transport Congress Committee had each met several times during the year. In addition, the Chamber was represented on numerous occasions at meetings held by commercial and industrial associations.

THE PUBLICATION „AMERYKA"

Nine numbers of „Ameryka" appeared during the past year, each an evident improvement over the preceeding one. The last issue of the magazine, covering July, August and September, appeared under the title „Ameryka-Polska" and was devoted mainly to industrial management. That the Chamber was able for nearly two years to publish one of the best publications of its kind in Poland is due solely to our Vice-Pres., Mr. F. A. Liszewski, who not only cintributed to its upkeep but had also taken an active part in its

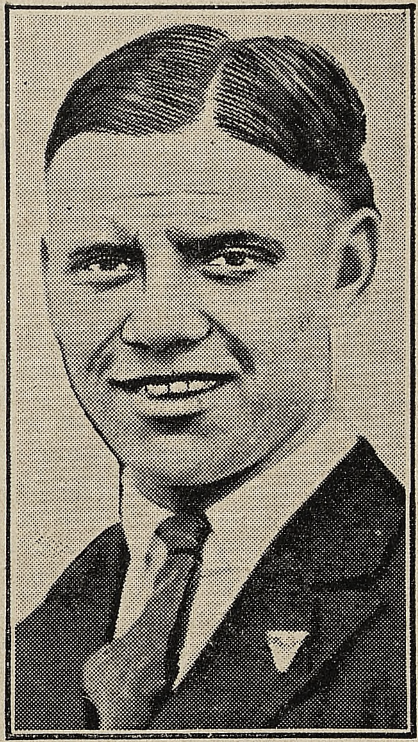


Rys. lewy: Jack Dempsey, słynny bokser, champion świata. Niedawno przeprowadził on operację nosa upiększającą go, ożenił się i obecnie występuje w filmach.

Klisza «Cellen-Paris».

Rys. prawy: Arne Borg, który ostatnio w Miami (Floryda), pobił rekord światowy w sporcie pływackim; przepłynął on 880 jardów (804,32 metrów). w ciągu 10 min. $36^{4}/_{5}$ sek.

Klisza «Cellen-Paris».



Drzewiecki i S. Łubieński zdali sprawozdanie z Praskiego Kongresu Naukowej Organizacji Pracy, oraz posiedzenie w dniu 13 listopada, na którem, wspólnie z przedstawicielami wszystkich Izb handlowych polsko-obcych, uchwalono poczynić kroki, aby Ustawa o Izbach handlowych i przemysłowych nie pozbawiła Izb polsko-obcych ich dotychczasowych nazw.

Komisje specjalne, a mianowicie: Komisja Wydawnicza, Komisja Finansowa, Komisja Naukowej Organizacji Pracy i Komisja Kongresu Samochodowego, odbyły w ciągu roku po kilka posiedzeń. Poza tem przedstawiciele Izby przyjmowali udział w obradach Związków handlowych i przemysłowych oraz organizacyj społecznych.

WYDAWNICTWO „AMERYKA"

W ciągu ubiegłego roku zostało wydane 9 numerów „Ameryki", przyczem zaznaczyć należy, że z każdym nowym numerem pismo to znacznie rozszerzało swoje dotychczasowe ramy zarówno pod względem treści jak i formy.

Ostatni numer „Ameryki" — zbiorowy, za miesiące lipiec, sierpień i wrzesień wydany został pod tytułem „Ameryka-Polska" i poświęcony był głównie idei naukowej organizacji pracy.

Zasługę umożliwienia Izbie wydawania w ciągu dwóch lat pisma, które bezsprzecznie było jednem z lepszych tego rodzaju wydawnictw w Polsce, należy głównie przypisać wiceprezesowi Izby p. F. Liszewskiemu, który poza finansowaniem pisma, brał również czynny udział w pracach wydawniczych.

Pod koniec roku została zawarta umowa z firmą wydawniczą „M. Arct", na zasadzie której firma ta zobowiązała się finansować i nadal wydawać miesięcznik „Ameryka-Polska" jako organ Izby.

DZIAŁALNOŚĆ HANDLOWA

Rok sprawozdawczy, ze względu na stabilizację waluty, wynikiem czego był brak gotówki i wysokie koszty produkcji, odznaczał się zastojem gospodarczym, a zatem i mniejszą ilością zgłoszeń handlowych,

management. Towards the end of the year, arrangements were made with the Arct Publishing Company whereby this organization undertakes to finance and continue to publish „Ameryka-Polska" as this Chamber's official organ.

COMMERCIAL ACTIVITY

Due to the stabilization of the currency and the subsequent money stringency and high production costs, the period under review was one of business entrechment, and, consequently, less fertile in general trade opportunities. Despite this the Council is pleased to inform that the Chamber's activity along purely commercial lines maintained the same prominence in the total of services rendered that it held in former years. The bulk of the 1591 letters received and of the 1922 sent consisted of trade offers and inquiries and of replies to them. Verbal answers were also given on numerous occasions to inquiries made over the telephone and by visitors. In conversations with callers it was found that Poles were not always acquainted with American business methods and that Americans, on the other hand, were not always cognizant of the psychology and business characteristics of Poles. Information received at the Chamber frequently led to a better mutual understanding and, ultimately, to satisfactory business transactions.

Our magazine „Ameryka" continued to be a valueable medium in bringing trade opportunities to the attention of Polish merchants and manufacturers. Published monthly in the form of numbered inserts, the opportunities did not fail to create interest. The resultant requests for addresses and information were complied with when the reliability of the inquirers was unquestioned or when references were found to be satisfactory.

Thanks to the courtesy of our sister organization in New York, Mr. Łubienski was able to visit a few of the larger cities in Western Poland on behalf of this Chamber. The object of his trip was to secure samples for our New York Chamber's Permanent Exhibit of Polish Manufactures, to lecture on trade possibilites with America, and to gather information on Polish-American trade that would be useful to the Ministry of Industry and Commerce in cennection with the future Commercial Treaty. This tour done much toward

Pomimo to Rada na zasadzie świadczeń Izby, z zadowoleniem konstatuje, iż działalność Izby pod względem czysto handlowym utrzymała się na poziomie lat poprzednich.

W liczbie 1591 listów otrzymanych i 1922 wysłanych, przeważały zapytania handlowe i odpowiedzi na nie.

Poza tem Izba załatwiła szereg ustnych i telefonicznych zapytań.

Jako charakterystyczny szczegół zaznaczyć należy, że firmom polskim często nie są znane metody handlowe, przyjęte w Ameryce, jak również Amerykanie częstokroć nie orjentują się w tutejszej procedurze handlowej i psychologji polskiego kupca.

Izba swem pośrednictwem przyczyniła się w wielu wypadkach do obopólnego porozumienia się i w rezultacie do zawarcia szeregu pomyślnych tranzakcyj.

Jednym ze środków łączności między Izbą a sferami przemysłowemi i handlowemi był nadal miesięcznik „Ameryka", na którego łamach Izba zamieszczała w formie numerowanych notatek wszystkie oferty i zapytania. Otrzymywane na skutek tego zgłoszenia załatwiane były przychylnie, o ile zainteresowane firmy znane były Izbie jako solidne, względnie po zbadaniu przedstawionych referencyj.

Zawdzięczając uprzejmości naszej siostrzanej Izby w New Yorku, p. St. Łubieński miał możność, w charakterze naszego przedstawiciela, zwiedzenia szeregu miast zachodniej połaci Polski, gdzie wygłaszał odczyty o możliwości rozwinięcia stosunków handlowych z Ameryką oraz zbierał eksponaty dla stałej wystawy wyrobów polskich, mieszczącej się przy Izbie w New Yorku.

Jednocześnie p. Łubieński zbierał dane o handlu ze Stanami Zjednoczonemi, które mogłyby się przydać Ministerstwu Przemysłu i Handlu w Związku z przyszłym traktatem handlowym.

Akcja ta przyczyniła się znacznie do zainteresowania sfer kupieckich wielkopolskich działalnością Izby.

Z pomiędzy spraw załatwionych w okresie sprawozdawczym zwróciła Izba szczególną uwagę na eksport mebli, lnu, chmielu, parafiny i wyrobów włókienniczych oraz import mąki, tytoniu i maszyn.

DZIAŁALNOŚĆ PUBLICYSTYCZNA

Głównym czynnikiem publicystycznym Izby w roku ubiegłym był miesięcznik „Ameryka", zapomocą którego, jak również z przedruku w innych pismach, liczne warstwy społeczeństwa polskiego zaznajamiane były z różnemi dziedzinami życia amerykańskiego oraz z rozwojem stosunków polsko-amerykańskich.

Na gruncie amerykańskim wiadomości, dotyczące Polski, rozpowszechniane były przez Izbę New Yorską oraz przez jej wydawnictwo „Poland".

Izba zaś ze swej strony zasilała tamtejszą Izbę szeregiem wydawnictw urzędowych i społecznych, jak również broszurami, sprawozdaniami, artykułami dla „Poland", fotografjami etc.

BIBLJOTEKA I KATALOGI

Zawdzięczając nieustającej współpracy Izby New-Yorskiej, oraz amerykańskiego attaché handlowego, bibljoteka Izby w ciągu ubiegłego roku obficie była zasilaną angielskiemi wydawnictwami.

Dział polski bibljoteki również znacznie powiększył się przez wpływ szeregu pism i książek, nadsyłanych bądź dla wzmianki, bądź też wzamian za miesięcznik „Ameryka".

Z wyjątkiem druków sporadycznych, Izba w ciągu okresu sprawozdawczego otrzymywała wydawnictwa od 101 amerykańskich i 40 polskich czasopism i gazet.

Zbiór ksiąg adresowych i kredytowych powiększył się liczbowo z 29 na 34.

Zasób katalogów również powiększył się znacznie. Pod koniec roku ubiegłego Izba posiadała 1260 amerykańskich i 72 polskich katalogów, przedstawiających wyroby 403 firm.

arousing the interest of businessmen of Western Poland in the activity of this Chamber.

Of the specific matters dealt with during the past year, the export of bent furniture, flax, hops, parafine and textiles, and the import of flour, tobacco and machinery received special attention.

PUBLICITY

Again, in the past year, „Ameryka" was he Chamber's chief publicity factor. By means of this magazine, and through republication arrangements with Polish periodicals and newspapers, articles and news on economic and current developments in the U. S. as well as on Polish-American relations were given a wide circulation.

With reference to publicity work in the U. S., this was done by our sister organization in New York and by its publication „Poland". This Chamber was, howerer, able to be of assistance to the New York Office by supplying it with Polish periodicals, official publications, booklets, reports, articles and photographs.

LIBRARY AND CATALOGUES

Due mainly to the co-operation which the New-York Chamber and the local American Commercial Attache continued to extend, our library has stengthened materialy during the past year in English reading matter. This is also true of the Polish language section which was abundantly supplied with books, periodicals, etc. that were sent in exchange or for comment in our magazine. Aoart from the many sporadic contributions, there were 101 American and 40 Polish magazines and newspapers received fairly regulary during the year. The number of various credit and business directories has increased from 29 to 34.

Our catalogue files have also grown appreciably. At the close of the past year the Chamber had 1260 American and 72 Polish catalogues, representing commodities offered by 403 firms.

AMERICAN VISITORS.

Among the Americans whom the Chamber had occasion to favor personally either with information or by service were the following: Messrs. H. E. Rastal, Chief, Industrial Machine Division, Department of Commerce; Jeremiah Jenks, Research Professor of Government, New York University; Paul Klopstock, Pres., Foreign Trade Supply Corporation, New York City; Joseph F. Kopp, General Motors Acceptance Co., New York City; Henry E. Sturges, Spencer Trask Co., New York City; C. A. Tupper, Pres., International Trade Press, Inc., Chicago; Hiram Barney, Ulen New York City; Wells Goodhue, The Stanley Works, New et Co., New York City M. W. Carrel. vice-prezes Ulen & Co., Britain, Conn.

COOPERATION WITH POLISH-AMERICAN SOCIETY.

Last June Mr. Hugh Gibson, the American Minister, left Poland to take over ministerial duties in Bern. A farewell banquet was given by the Polish-American Society and Chamber, at which Mr. Gibson was presented with an „album of appreciation" containing a few thousand signatures.

The Chamber had also on a few occasions acted jointly with the Society in organizing commemorative celebrations as well as ceremonies of tribute to noted American dead.

FINANCES.

Regardless of the fact that there has been an increase in membership and that the currency and prices have become stabilized, the increasing calls on the Chamber for services resulted in larger expenditures. In order to offset the-

GOŚCIE AMERYKAŃSCY

W szeregu obywateli amerykańskich, którzy korzystali z usług lub informacyj Izby, między innemi odnotowaliśmy następujące osoby: pp. H. E. Rastal, szef Wydziału Maszyn Przemysłowych Ministerstwa Handlu; Jeremiah Jenks, prof. Uniwersytetu Nowo-Jorskiego; Paul Klopstock, prezes Foreign Trade Supply Corporation New York; Joseph F. Kopp, przedstawiciel General Motor Axceptace Company, New York; Henry E. Sturges przedst. Spencer Trask Company, New York; C. A. Tupper, prezes International Trade Press, Inc., Chicago; Hiram Barney, radca „Ullen Co., New York; M. W. Carrel, wiceprezes „Ullen Co.," New York; Wells Goodhue, przedst. Stanley Works, New Britain, Conn.

WSPÓŁPRACA Z TOWARZYSTWEM POLSKO-AMERYKAŃSKIEM

Z powodu opuszczenia przez posła Stanów Zjednoczonych Hugh Gibsona zajmowanego stanowiska i objęcia równorzędnego w Bernie — Towarzystwo Polsko-Amerykańskie wraz z Izbą wydało na jego cześć bankiet pożegnalny, wręczając jednocześnie adres, zawierający kilka tysięcy podpisów.

Poza tem Izba współdziałała z Towarzystwem Polsko-Amerykańskiem w organizacji obchodów świątecznych i ceremonjałów żałobnych.

FINANSE

Pomimo wzrostu liczby członków oraz stabilizacji waluty, zwiększająca się ilość zgłoszeń o świadczenia Izby pociągnęła za sobą wzrost wydatków. Celem zapobieżenia tym ostatnim zaprowadzono w Izbie w miarę możności surowy system oszczędnościowy i odłożono wiele spraw konstruktywnych do czasu bardziej pomyślnego.

Jak widać ze sprawozdania finansowego, szczupłe fundusze ledwie wystarczyły na utrzymanie Izby do końca roku. Aby utrzymać działalność Izby na obecnym poziomie i w miarę możności rozszerzyć zakres jej działania, niezbędnem jest poprawienie stanu finansowego.

Rada przeto zwraca się do wszystkich członków z prośbą o poczynienie usilnych starań w kierunku werbowania nowych członków.

UZNANIA

Rada wreszcie pragnie na tem miejscu, wyrazić swą głęboką wdzięczność sferom rządowym polskim, amerykańskiemu attaché handlowemu, amerykańskim konsulom, Amerykańsko-Polskiej Izbie przemysłowo-handlowej w New-Yorku, i agencji wywiadowczej „Confidentia" za cenną pomoc, firmie zaś „The Baldwin Locomotive Works" za poparcie, oraz firmie „Foreign Trade Supply Corporation za poparcie i współpracę.

se where possible the strictest economy was pursued and a number of constructive plans deferred until the situation is more propitious. As can be seen on the financial statements which follow the limited funds have barely carried the Chamber through the year. In order that the present lines of service may be maintained and others instituted the Chamber's finances will have to be improved. All members are, therefore, solicited by the Council to make earnest endeavors to induce their friends to join.

APPRECIATION.

The Council wishes finally to record here its deep appreciation to the Departments of the Polish Government, U. S. Department of Commerce, American Commercial Attache, American Consular Officials, the American Polish Chamber of Commerce and Industry in New York and to the Credit Agency „Confidentia" for their valuable assistance, to the Baldwin Locomotive Works for its support, and to the Foreign Trade Supply Corporation for both support and co-operation.

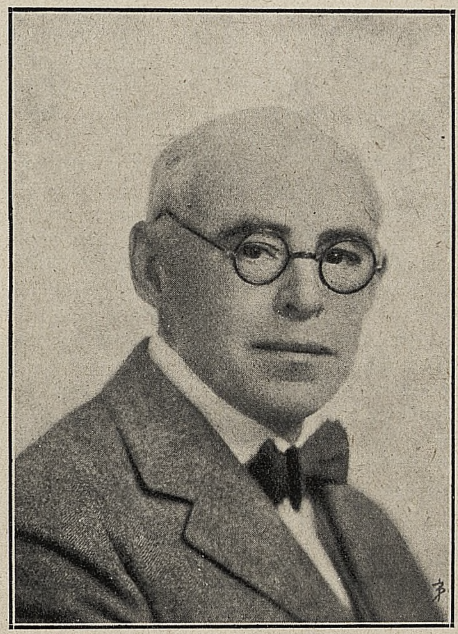
Marszałek Wojciech Trąmpczyński nadesłał pod adresem Prezesa Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej, p. Leopolda Kotnowskiego, list treści następującej:

„Uprzejmie dziękuję Panu za przesłanie mi pierwszego numeru wydawnictwa „Ameryka-Polska", którego treść bardzo mnie zainteresowała.

Odpowiednia działalność Izby Handlowo-Przemysłowej w znacznym stopniu może się przyczynić do zbliżenia Polski i Ameryki na polu ekonomicznem, a przez to samo — do gospodarczego rozwoju naszej Ojczyzny. Miło mi jest zatem stwierdzić, że instytucja, na której czele Pan stoi, tak umiejętnie i energicznie wywiązuje się ze swego doniosłego zadania".

podpis: Trąmpczyński.

Towarzystwo Polsko-Amerykańskie uzyskało dla wszystkich swych członków bilety ulgowe do teatrów warszawskich i kinematografów.



Frank H. Simonds.

W Warszawie bawi znany publicysta amerykański i doświadczony przyjaciel polski p. Frank H. Simonds, który w ostatnich kilku dniach brał udział w oficjalnych przyjęciach Rządu i organizacyj społecznych. P. Simonds, urodzony w Concord (stan Massachussetts) w r. 1878, jest absolwentem uniwersytetu Harvarda. Brał udział w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej i działalność dziennikarską rozpoczął w r. 1901 w gazecie „New York Tribune" w charakterze korespondenta politycznego. W r. 1908 jest już współredaktorem gazety „New York Sun", a w r. 1913 naczelnym redaktorem „New York Evening Sun". Od r. 1914 jest redaktorem zagranicznym miesięcznika „Review of Reviews". Podczas wojny jest korespondentem pism francuskich i angielskich. Jest on także autorem dzieła: „History of the World War". Obecnie obsługuje on swemi pracami do 100 czasopism amerykańskich, angielskich, polskich, meksykańskich i in. P. Simonds przybył do nas bezpośrednio z Londynu i Berlina w celu gruntownego zbadania problemów, wyłonionych obecnie w polityce międzynarodowej w związku z niepodległością Polski.

PROJEKT UCHWAŁ LIGI MORSKIEJ I RZECZNEJ WYNIKAJĄCYCH Z REFERATU RADCY PRAWNEGO AM.-POL. IZBY HANDL.-PRZEM. ADWOKATA KONSTANTEGO HEJMOWSKIEGO, O POTRZEBIE BEZPOŚREDNIEJ KOMUNIKACJI MORSKIEJ Z AMERYKĄ, Z PUNKTU WIDZENIA EMIGRACJI, HANDLU I ŻEGLUGI.

1. Mocarstwowe stanowisko Polski wymaga posiadania i utrwalenia bezpośredniej komunikacji morskiej z Ameryką.

2. Roztoczenie najbardziej skutecznej opieki nad polskimi wychodźcami do Ameryki, jak również nad reemigrantami z Ameryki i zabezpieczenie ich od niedogodności i wyzysku w podróży jest możliwem li-tylko przy bezpośredniem przewożeniu ich z polskich portów do Ameryki, lub odwrotnie, bez potrzeby przesiadania w drodze.

3. Jedynem racjonalnem rozwiązaniem problematu rozwoju handlowych stosunków między Stanami Zjednoczonemi a Polską jest stworzenie stałej, możliwie regularnej bezpośredniej komunikacji okrętowej między polskiemi portami a Nowym Yorkiem.

4. Ponieważ wydawanie przez Rząd koncesyj na przewożenie emigrantów z zachodnio-europejskich portów, do których są dostarczani lądową drogą kolejami przez Niemcy, albo mniejszemi pomocniczemi statkami z Gdańska lub Gdyni (łamane linje), wytwarza konkurencję kilkunastu przedsiębiorstw żeglugowych przy ogólnej liczbie około 6000 wychodźców z Polski do Stanów Zjednoczonych, powstanie w tych warunkach samodzielnej polskiej linji okrętowej dla komunikacji z Ameryką jest wykluczonem. Stworzenie takiej polskiej linji stanie się możliwe dopiero po wprowadzeniu w Polsce ustawowego przepisu, że koncesje będą wydawane wyłącznie przedsiębiorstwom okrętowym, przewożącym emigrantów z polskich portów do portów przeznaczenia w bezpośredniej komunikacji, t. j. bez przesiadania.

5. Dla osiągnięcia wytkniętych powyżej celów należy uzupełnić ustawę o wyłączności portów polskich dla wychodztwa, uchwaloną przez Radę Ministrów dn. 10 listopada 1924 r. i wniesioną do Sejmu przepisem, że koncesje na przewóz wychodźców mogą być wydawane linjom okrętowym wyłącznie pod warunkiem przewożenia ich z polskich portów do portów przeznaczenia w bezpośredniej komunikacji, t. j. bez przesiadania.

6. Ponieważ dopięcie tych celów stanowi dla Polski państwowy interes pierwszorzędnej wagi, należy drogą uzupełniających układów, lub zdenonsowania umów usunąć sprzeczne z powyższą zasadą uprawnienia państw obcych, wynikające z uprzednio zawartych z niemi traktatów.

W celu towarzyskiego zbliżenia się członków Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce, powstała myśl wykorzystania ogródka Towarzystwa Naukowego (Nowy Świat 72) na urządzenie placów tennisowych

Po porozumieniu, się z Towarzystwem Naukowem Towarzystwo Polsko-Amerykańskie zamierza wybudować narazie dwa place tennisowe.

Towarzystwo Polsko-Amerykańskie przystąpiło do utworzenia przy Towarzystwie Koła młodzieży powracającej z Ameryki.

W celach zbliżenia członków Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowej w Polsce, szczególnie zaś Amerykanów i Polaków, odbyło się w dniu 6-ym marca w salonach Resursy Kupieckiej pierwsze z zapoczątkowanych śniadań, na którem byli obecni oprócz prezydjum Izby „in corpore" z prezesem Leopoldem Kotnowskim na czele, pp. dr. Alfred Pearson — minister pełnomocny Stanów Zjednoczonych, Theodor Jaeckel — konsul generalny St. Zjedn., Leighton Rogers—radca handlowy poselstwa Stanów Zjedn., E. Crocker, S. Hawks — sekretarz poselstwa, Antoni Wieniawski, Eustachy Korwin Szymanowski, Frank K. Simonds — dziennikarz amerykański z małżonką, A. W. Dubois, M. R. Kecfe, L. A. Gempel — przedstawiciel Ullen Co., Maurice Pate i wiele innych osób ze świata finansowego i przemysłowego.

Przemówienie prezesa L. Kotnowskiego, podkreślające konieczność bliższego wzajemnego zapoznania się, było przyjęte przez zebranych z uznaniem. P. Frank Simonds w kilku słowach scharakteryzował bardzo dodatnie wrażenie swe z pobytu w Polsce i dziękował za gościnność.

Miła atmosfera cechowała zebranie i uczestnicy wyrazili życzenie, ażeby te spotkania odbywały się możebnie często.

Amerykańsko - Polska Izba Handlowo - Przemysłowa w osobie jej prezesa p. Leopolda Kotnowskiego przyjmowała udział w śniadaniu, urządzonem przez Ministra Bertoniego w dniu 7 marca na cześć dziennikarzy: amerykańskiego Frank Simonds'a i francuskich, oraz w obiedzie, wydanym przez prezesa Rady Ministrów Wł. Grabskiego w dniu 10 marca w Pałacu Prezydjum Rady Ministrów z racji podpisania pożyczki amerykańskiej.

AMERYKANIE W GOŚCINIE U RZĄDU POLSKIEGO

Dnia 10 marca r. b. pan prezes Rady Ministrów i p. Władysławowa Grabska, wydali obiad na cześć posła Stanów Zjednoczonych p. Pearsona, oraz wybitniejszych przedstawicieli kolonji amerykańskiej w Warszawie z udziałem członków rządu, marszałków i vicemarszałków oraz prezesów komisyj i klubów sejmu i senatu, wyższych urzędników i prezesa Am.-Pol. Izby p. Leopolda Kotnowskiego. W czasie obiadu p. prezes Rady Ministrów wygłosił przemówienie:

„Wielką i szczególną jest to dla mnie przyjemnością powitać na dzisiejszem przyjęciu Ministra Stanów Zjednoczonych w Polsce, pana Pearsona i jego znakomitych rodaków.

Dawne są w Polsce uczucia przyjaźni dla Ameryki i jej synów, ale niedawno dana nam jest możność gościnnego przyjmowania ich w naszym wolnym kraju.

Bardzo jestem szczęśliwy widząc, że uczucia wzajemnego zrozumienia pomiędzy naszemi krajami i zaufanie, które stąd wypływa, stają się z każdym dniem silniejsze.

Jest to najlepszym dowodem, że nasze dążenie do pokojowego rozwoju są należycie zrozumiane przez wielki naród z poza Oceanu.

Szczególniej radzi jesteśmy z tego, że nigdzie lepiej niż w Ameryce, nie umiano ocenić tego, że współczesna Polska stawia sobie za cel swój dokonanie poważnego zadania na polu ekonomicznej i finansowej odbudowy i rozwoju. Na tem polu pracy, które przez długi czas było niedostępne dla naszej inicjatywy i na którem dopiero niedawno zaczęliśmy pracować samodzielnie, są Stany Zjednoczone wzorem i wspaniałym przykładem dla nas i dla całego świata.

Są one żywym dowodem tego, że naród, który zdobywa siłę gospodarczą i finansową, jest powołany do odgrywania roli dominującej o znaczeniu międzynarodowem. A rola taka tem się różni od roli każdego kraju, któryby chciał opierać się nie na swej pracy, ale na sile, że wzmacnia ponad wszelką miarę prestige moralny, nie krzywdzi, lecz raczej wspomaga inne kraje i pracuje na pożytek całej ludzkości.

Wznoszę mój kielich za dobrobyt i pomyślność Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i piję zdrowie Ministra Stanów Zjednoczonych w Polsce".

W odpowiedzi zabrał głos poseł Stanów Zjednoczonych:

„W odpowiedzi na serdeczne pozdrowienie i życzliwe słowa uznania, wyrażone dla mego kraju przez Jego Ekscelencję Prezesa Ministrów, pozwalam sobie wyrazić w imieniu Stanów Zjednoczonych i zebranych tutaj współobywateli moich, szczere podziękowanie. Z prawdziwą przyjemnością przypomnę tu, że uczucia przyjaźni łączącej nasze kraje, istnieją szczęśliwie nie od dzisiaj, lecz wrosły w historję i w literaturę amerykańską już przed 100 laty. Czas, który dzieli nas od chwili zawiązania się tej przyjaźni, spra-

wił, iż węzły jej zostały wzmocnione i zyskały na serdeczności i żywotności. Szczęśliwi jesteśmy, że mogliśmy przyjść z pomocą Polsce w jej zmaganiach się w dziedzinie gospodarczej i finansowej odbudowy. Uczucie to towarzyszyć będzie i w przyszłości, gdyby okazała się potrzeba wyświadczenia Polsce jakiejkolwiek większej jeszcze przysługi, mogącej zaspokoić jej pragnienia i potrzeby. Z uczuciem prawdziwego zadowolenia widzimy Polskę znowu w szeregu wielkich narodów świata. Dzieła tego dokonała Polska w krótkim okresie czasu i w obliczu wielu trudności, które, gdyby chodziło o naród mniej żywotny, mogłyby się okazać nie do przezwyciężenia. Naród, który w tak krótkim czasie tyle dokonał, który wykazał zdolność do twórczej pracy w budowie podwalin swej wielkości, jest powołany do odegrania poważnej roli w dziejach świata. Charakter przyjaźni, łączącej Polskę i Stany Zjednoczone, musi budzić w nas uczucia wielkiego zadowolenia. Niech więc trwa ona wiecznie. Wznoszę kielich za Polskę, Polskę odrodzoną. Niech żyje w szczęściu i dobrobycie".

Po obiedzie odbył się raut z udziałem sfer dyplomatycznych, parlamentarnych i rządowych, wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa oraz członków Rady Am.-Pol. Izby Handlowej. Raut uświetnił swoją obecnością p. Prezydent Rzeczypospolitej.

Oferty i zapytania

Przy zgłoszeniach należy podać numer odnośnej oferty.

2321/24 Firma Nowojorska, wyrabiająca budynki stalowe (w stanie rozłożonym), poszukuje odbiorców.

4530/25 Firma nowojorska handlująca samochodami ciężarowemi, traktorami, lokomotywami spalinowemi i wagonami, samochodami osobowemi, generatorami, magnetami, przyborami samochodowemi i t. p. pragnie nawiązać łączność z firmami polskiemi.

4527/25 Przedsiębiorstwo nowojorskie poszukuje wielkiej ilości drutu wolframowego, drutu z powłoką miedzi borowej, oraz miękkiego drutu molibdenowego.

557/25 Dom importowy w Seattle, w stanie Waszyngtońskim, poszukuje solidnego kupca-agenta, obznajmionego z dostawą dla domów towarowych.

555/25 Firma w Cleveland pragnie oddać przedstawicielstwo na Polskę; wyrabia opony samochodowe.

Czasopisma i książki

Wyszczególniamy tylko główniejsze artykuły z treści nadsyłanych do Redakcji czasopism.

„Harcmistrz", Wiadomości Urzędowe, miesięcznik Nr. 3, Warszawa, organ Naczelnictwa Zw. Harcerstwa Polskiego. Zygmunt Wasilewski „Dziesięcioro wskazań".

„Przyrodnik" — miesięcznik poświęcony naukom przyrodniczym. Cieszyn, zeszyt I. Dr. Józef Fudakowski — „Z przyrody wysp Adrjatyku". — Witold Niesiołowski (Kraków) — „Niebylak Apollo" (notatka biologiczna).

„Przegląd Ogrodniczy" — organ Sekcji Ogr. Tow. Gospod. Wschod. Małopol. i Małopol. Tow. Ogr., miesięcznik, Lwów Nr. 2. Kazimierz Brzeziński „Krajowy Zakład Sadowniczy w Zaleszczykach 1899—1924", Stan. Schönfeld — „Uprawa sałaty wczesnej i rzodkiewki", Stefan Makowiecki — „Nasiona ogrodowe".

„Stenograf Polski" — organ Instyt. Stenogr. i Centr. Związku Stenogr. systemu Gabelsbergera-Polińskiego Rzeczypospolitej Polskiej, w Warszawie. Nr. 2. Komunikat Zarządu Centr. Zw. St. systemu Gabelsbergera-Polińskiego R. P. w Warszawie.

„Rynki Wschodniej Europy" — organ Inst. Gospod. dla stosunków z krajami Wschodniej Europy w Królewcu, oddział w Gdańsku, Nr. 2.

„Auto" — organ Automobilkluby Polski, Warszawa, Nr. 4.

„Lot Polski" — organ Ligi Obrony Powietrznej Państwa Warszawa, Nr. 16. J. E. „Samolot przyszłości", Mjr. A. Stebłowski — „Z techniki sterowców", Marjan Cześcik — „Na marginesach wspomnień prelegenta".

„Informacja Powszechna", wydawana przez „Informację Prasową Polską" w Warszawie, staje się coraz ciekawszym przeglądem tygodniowym, dając oprócz artykułów, b. obfity przegląd najciekawszych głosów prasy o aktualnych zagadnieniach doby bieżącej. Wydany obecnie podwójny Nr. 9/10 podaje wśród artykułów b. aktualne uwagi o nadużywaniu różnych haseł, które przez to stają się „hasłami bez treści". Oprócz tego artykułu zwracają na siebie uwagę artykuły: „Precz z obłudą" (o polityce Anglji), „Pragmatyka posłów", oraz b. aktualne „Echa", a w dziale życia artystycznego uwagi Ejsmonda p. t. „Ptasie Mleko". Przegląd prasy — gazeta gazet — jest bardzo obfity i ciekawy. Całość zredagowana żywo i ułożona b. przejrzyście. Redakcja i Administracja „Informacji Powszechnej" w Warszawie w „Informacji Prasowej Polskiej", ul. Bracka Nr. 5.

„Czasopismo Techniczne" — organ Ministerstwa Robót Publicznych i Polskiego Tow. Politechnicznego we Lwowie. Nr. 4. Inż. dr. Zygmunt Fuchs — „Zjawisko ujemnego ciśnienia w cieczach". Referat Inż. M. Nestorowicza — „Ustrój Administracji Drogowej w Polsce".

„Rolnik", — Tyg. Rolniczy Ilustrowany — organ urzędowy Tow. Gospodarskiego, Lwów, Nr. 10. Jerzy Turnau — „Jak gospodarzyć w obecnych warunkach?" Inż. Marjan Lityński — „Ogólne znaczenie wapna dla rolnictwa". T. A. Rysiakiewicz — „W przededniu XII Międzynarodowego Kongresu Rolniczego w Warszawie".

„Wiadomości o Polskiej Y. M. C. A.", Związku Młodzieży Chrześcijańskiej w Polsce. Biuletyn IV. Warszawa, 1925 roku. Prof. Wł. Horbacki — „Praca działu dla chłopców". „Kursa Letnie Polskiej Y. M. C. A.".

„Gazeta Rolnicza", pismo tygodniowe ilustrowane. Warszawa, Nr. 9. W. Leszczyński — „Kartki z podróży do Anglji". B. Dobrzycki — „Wpływ stosowania nawozów sztucznych na podniesienie produkcji rolnej".

„Wychodźca" — organ Polskiego Tow. Emigracyjnego. Tyg. poświęcony sprawom emigracji i reemigracji. Warszawa, Nr. 10. „W sprawie konwencji emigracyjnej z Francją" Apolonjusz Zarychta — „Do starego Kraju". „Nowe zarządzenia rządu francuskiego w sprawie pobytu cudzoziemców".

„Muzyka" — miesięcznik pod redakcją Mateusza Glińskiego. Warszawa. Nr. 1. St. Niewiadomski — „Stanisław Moniuszko" w świetle dwu ostatnich monografij. Ryszard Strauss — „O stylu operowym" (zamiast wstępu do opery „Intermezzo"). Adolf Chybiński — „Mazurki fortepianowe Karola Szymanowskiego".

„Ilustracja" — tygodnik, Warszawa, Nr. 9. Sto przedstawień „Don Juana" w teatrze Narodowym. Tekst Don Juana w spolszczeniu Miłaszewskiego.

„Przegląd Artystyczny" — dwutygodnik ilustrowany. Wilno. Nr. 1. Tadeusz Dmochowski — „Ze wspomnień o Andriollim".

„Wiadomości Filmowe". Czasopismo ilustrowane. Dwutygodnik. Warszawa, Nr. 2. „Niech żyje Teatr Przyszłości — Kino!" Jewreinów — „Wiadomościom Filmowym". Najpiękniejszy Film Bebe Daniels. Zofja Dromlewiczowa — „Historja o Człowieku, który napisał scenarjusz". Bruno Winawer — „Sztuka i Aparata".

„Iskry" — tygodnik dla młodzieży. Warszawa. Zeszyt 10. J. Bułhak — „Fotografja artystyczna". W. Tokarz — „W rosyjskiej szkole", K. Sosnowski — „Niczyje Owoce", St. Bełżecki — „Co się dzieje w pąkach na wiosnę". K. Rosinkiewicz — „O Złotym Śnie Lamikai", A. Urbański — „Opowiadania o dziejach Sandomierza".

Wykaz książek przenosimy do następnego numeru.

POLAK O PUBLICYSTYCE POLSKIEJ

Żednając Amerykanina, którego pogląd na publicystów polskich przytoczyliśmy na tej stronicy w poprzednim numerze, podziękowałem mu w imieniu polskiej braci piszącej, za jego tak chlubne mniemanie o nas, poczem zwracam się do kolegi, który słuchając słów jego, wpadł w jakiś stan osłupienia.

— Cóż ty na to?

Ocknął się, wydął wargę, zdjął z nosa szkła i przeczyścił je. Sięgnął do kieszeni, wyjął brudny skórzany futerał i niezgrabnie, drżącemi palcami, wyciągnął stamtąd papierosa. Zapalił, zakrztusił się, od kaszlu krew uderzyła mu do głowy i naraz wybuchnął:

— To potworne, to hańbiące naszą „jaźń" narodową. Jak śmie taki jankes, taki zmaterjalizowany kupczyk, cow-boy, tramp, drwić sobie z nas. My, jak on się wyraża, żurnaliści polscy, oddajemy życie nasze dobru publicznemu, narażamy się na kije, policzkowania, kamienowania; walczymy bez wytchnienia i bez końca za nasze ideały, za naszą narodową egzystencję, a on śmie, ten przybłęda zamorski, kpić sobie z tych naszych wszystkich wysiłków...

— Poczekaj — próbowałem stłumić wybuch wściekłości rozegzaltowanego kolegi — jesteś w okropnym błędzie. Nie zrozumiałeś naszego przyjaciela amerykańskiego. Zapewniam cię, że mówił on szczerze to, co myśli. Jest to ich cecha narodowa. Każdy Amerykanin szczyci się tem, że do starości pozostaje młodzieńcem, prawdę w oczy tnącym...

— Nie uwierzę, nigdy nie uwierzę, aby człowiek w dwudziestym wieku był tak naiwny. To przeczy wszystkim moim dotychczasowym obserwacjom psychologicznym. Każdy człowiek jest zdeprawowany, zepsuty otoczeniem, pokaleczony w tej ciągłej walce o chleb, o mieszkanie, o kobietę, o ideały...

— Wiesz przecie, — ciągnął dalej — że nigdy do żadnej partji nie należałem, że stoję „niejako" ponad tem wszystkiem, i to właśnie stanowisko daje mi możność rzeczowego i objektywnego sądzenia ludzi, a zwłaszcza naszych publicystów. Ale czyż można przejść obojętnie obok tego obskurantyzmu, jakim bałamuci opinję publiczną ten Iks z obozu prawicowego, gdzie jest uważamy za luminarza idei narodowej? Albo czy można z zimną krwią czytać te idjotyczne elukubracje Ygreka z obozu lewicowego, na którym trzyma się cała nasza postępowa, ajakże, progresywna myśl państwowa? Co tu dużo gadać! Weź np. tych Zetów, którzy niby to także, jak i ja, stoją ponad partjami... i wymiarami przestrzeni: każda ich myśl i każde ich słowo to jad, który zatruwa całe nasze społeczeństwo, całe pokolenie narodu polskiego. I czy po tem wszystkiem można szczerze i w dobrej wierze mówić o takich bzdurach, że nasz typowy i przeciętny publicysta jest szczytem doskonałości etycznej! To drwiny, panie-tego, których ja mu płazem nie przepuszczę. Jutro zaraz napiszę, jak to oni mówią „editorial", o przekupstwie i korupcji żurnalistyki amerykańskiej. Niech wie, że z nami żartować nie wolno, że jakieś tam pożyczki amerykańskie to jedno, ale że honor publicysty polskiego to materja całkiem inna. Ofensywy dziennikarskiej uczyć się już nie potrzebujemy, ćwiczymy się w niej nie mniej, niż te jankesy w sporcie...

— Drogi kolego, umityguj się... Odwróć swój światopogląd do góry nogami, a raczej — do góry głową, i spójrz na swą pracę nie z punktu widzenia ciągłej i zasadniczej walki ze wszystkiem i wszystkimi, a raczej zasadniczej współpracy i współdziałania wszystkich jednostek i warstw społeczeństwa.

TREŚĆ NUMERU TRZECIEGO

Okładkę, wyobrażającą bizona amerykańskiego, wykonał art.-mal. *Nowina-Przybylski.*

Sprostowanie: na str. 3 w 8-ym wierszu od góry zamiast Suropy, winno być: Europy.

WARUNKI PRENUMERATY:

Krajowa:		Zagraniczna:	
Roczna	zł. 27.—	Roczna	dol. 5.50
Półroczna	„ 14.—	Półroczna	„ 2.75
Kwartalna	„ 7.50	Kwartalna	„ 1.50

Numer pojedyńczy . . . zł. 2.50

Redakcja ma zaszczyt oznajmić, iż wszelkie rękopisy, odpowiadające programowi pisma, będą przez nią z należną uwagą rozpatrywane oraz kwalifikowane. Redakcja zwraca autorom te tylko rękopisy, przy których będzie załączona koperta zaadresowana i opłacona znaczkami pocztowemi.

Warszawa, Nowy-Świat № 72/74, Pałac Staszyca. — Tel. № 26-62. — Konto P. K. O. № 7,136.

ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH.

Wydawca STANISŁAW ARCT. Wice-Prezes Amer. Pol. Izby Handl.-Przem. w Polsce. Redaktor ALEKSANDER LACZYSŁAW

DRUK. M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

LISTA CZŁONKÓW AMERYKAŃSKO-POLSKIEJ IZBY HANDLOWO-PRZEMYSŁOWEJ W POLSCE

American Expres Co.
Atlantic Seaboard Flour Mills.
D/H. Aleksander Andrzejewski.
Sp. Samoch. „Auto-Salon".
Biuro Techn. Handlowe „Avia".
Arct Stanisław.
Bank Związku Spółek Zarobkowych.
Bank Handlowy w Warszawie.
Bank dla H ndlu i Przemysłu w Warszawie.
Bank dla Elektryfikacji Polski.
Bank Przemysłowców Polskich.
Bank Zjednoczonych Ziem Polskich.
Bank Ziemiański.
Bank Dyskontowy Warszawski.
Bank Polski Przemysłowy.
Bank Stowarzyszenia Mechaników.
Bank Śląski.
Bank Polski Emigracyjny.
Ł. J. Borkowski. Sp. Akc. „Elibor".
Eugenjusz Bojemski.
K. Buszczyński i S-wie Sp. Akc.
„B-cia Nobel" Sp. Akc.
Bronisław Barylski.
Ludwik Brangier.
„Krzysztof Brun i Syn".
Helena Bisping.
A. B. Barber.
Henryk Brun.
Jan Białopiotrowicz.
Cunard Steam Ship Co.
Klemens Czempiński.
Franciszek Czabański.
E. Cullis.
L. Cowell.
C. R. Cummings.
E. Chwatczyński.
R. Chełmicki.
Stanisław Centkiewicz.
Jan Czempiński.
Stanisław Dobrowolski.
Frank Eyman.
„Henryk Portini" Zakłady Przemysłowe.
Jerzy Fudakowski.
Sp. Akcyjna „Granum".
Hipolit Gliwic.
Charles H. Grasser.
Bronisław Gałczyński.
„C. Hartwig Two Akc".
Antoni Halski.
Jan Hebdzyński.
Bronisław Hłasko, Inż.
Konstanty Hejmowski.
International General Electric Co.
Jerzy Iwanowski.
August Iwański.
„B. Kasprowicz"
„T-wo Komispol Sp. Akc".
Stanisław Korsak Inż.
B/H. „Henryk Koskowski".
Towarzystwo Przemysłowo-Handlowe „Piotr Kosarski".
Leopold Kotnowski.
Feliks Kowalewski.
J. W. Krauze.
J. L. Kronenberg.
Stanisław Kolendo Inż.
Tadeusz Kurasiewicz.
Michał Kwapiszewski.
Maksymiljan Kolski.
Bolesław Krzywiec.
R. Krzemieniewski.
Koło Naukowe Słuchaczów Wyższej Szkoły Handlowej.
Kongregacja Kupiecka.
Aleksander Leszczyński.
Aleksander Laczysław.
Mikołaj Łoziński.
Cezary Łoziński.
Zygmunt Łypaczewski.
Stanisław Łubieński.
D/H. Matławski i Sp.
T-wo Akc. „St. Majewski".
D/H. „Herman Meyer".
Frank W. Morse.
Mateusz Mierzwiński.
Kazimierz Mystkowski.
Jadwiga Marusieńska.
Mikołaj Mirski.
Walenty Miler.
A. Nagórski.
Tadeusz Niklewicz.
Teodozy Nosowicz.
„Sp. Akc. Pacific"
Północne Towarzystwo Transportowo-Ekspedycyjne.
Polsko-Bałtyckie T-wo Handlowo-Transportowe.
Antoni Plutyński.
Maurice Pate.
Stanisław Pawlikowski.
Wacław Pogorzelski.
Kazimierz Porębski.
Stanisław Prus-Wiśniewski.
Franciszek Pułaski.
Witold Prądzyński.
Stanisław Pac.
Wacław Dominik Paszkowski.
Antoni Roman.
J. Rupiewicz.
Zygmunt Rytwiński.
Jan Raue.
Henryk Rybicki.
Gustaw Rozenblum.
Leighton Rogers.
W. Rayzacher.
D/H. „Adolf Świeca".
Zakłady Graficzne Straszewiczów.
Adam Szczepanik.
David Sarnoff.
Leon Stodolski.
Georg Schmidt Wwe.
Tadeusz Skarzyński.
Antoni Skarzyński.
Adolf Suligowski.
S. Surzycki.
Leon Stitzenberg.
Henryk Sz'olcman.
Mieczysław Szymański.
P. Seyfert.
Henryk Szampanier.
Józef Szczep.
Merle Scott.
Paul Super.
Dezydery Sączewski.
Stefan Szumański.
Stanisław Sroka.
Zdzisław Słuszkiewicz.
Mieczysław Szawleski.
Towarzystwo Kredytowe Przemysłu Polskiego.
J. Trojanowski.
Roman Troszczyński.
Stanisław Terlikowski.
Mieczysław Tuleja.
Zygmunt Telatycki.
United States Lines.
„Varsovie Automobile".
Patrick S. Verdon.
Western Union Telegraph Co.
„T. Winnicki i Sp."
„Wschodnio Azjatycka Kompanja".
Wielkopolska Izba Rolnicza.
Antoni Wieniawski.
M. Wierciński.
Kazimierz Wejchert.
Michał Woroniecki.
Władysław Wiśniewski Inż.
Tadeusz Wróblewski.
Zjednoczone Warszawskie Towarzystwo Transportu i Żeglugi Polskiej.
Zakłady Przemysłowe „St. Żerański i Sp.
T-wo Przemysł. - Handl. „Zawbor".
Związek Młodzieży Chrześciańskiej Y. M. C. A.
Jan Zagleniczny.
R. Zych Inż.

D. c. n.



DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41